WARZECHA OSTRO O POLSKICH POLITYKACH

Dworacy Waszyngtonu kontra dworacy Brukseli

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 23/683 1–7 CZERWCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Piotr Gontarczyk o nowym I prezesie Sądu Najwyższego

Ziemkiewicz o Polakach odznaczonych Europejskim Orderem Zasługi

Wielka przemiana Terlikowskiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Z LEWEJ TOMASZ TERLIKOWSKI Z OKŁADKI „DO RZECZY" Z 2016 R., A Z PRAWEJ – WSPÓŁCZESNE ZDJĘCIE

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HOŁD PRUSKI – NAJWIĘKSZY BŁĄD POLSKI?

Droga do hołdu – Prymas Jan Łaski przekonywał polskiego króla, że państwo krzyżackie musi zniknąć. Dlaczego Zygmunt I Stary postanowił zawrzeć kompromis i oszczędzić Krzyżaków?

„Cud" nad Nogatem – Bitwa pod Grunwaldem słusznie uchodzi za jeden z największych triumfów polskiego oręża. Jednocześnie jest to wręcz sztandarowy przykład zmarnowania znakomitej koniunktury politycznej

Sowieckie „strefy 51" – W czasach ZSRS w tzw. miastach zamkniętych testowano i produkowano najnowsze rodzaje broni, m.in. biologicznej. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wiele tych miast pojawiło się na mapach, ale ich mieszkańcy wciąż żyją pod kontrolą specsłużb

W łagrach, Auschwitz i leprozorium – Polscy kandydaci na błogosławionych bronili wiary, świadczyli o niej, żyli, myśląc o Bogu, a także o ludziach – nie tylko chrześcijanach

Dramat skradzionych dzieci Reunionu – To jeden z najbardziej haniebnych epizodów w dziejach Francji. I jeden z najbardziej zapomnianych

Nazistowski „męczennik" – NSDAP uczyniła z tego mordu bardzo przydatny mit; Horst Wessel stał się kimś w rodzaju nazistowskiego „męczennika". Ludzie, którzy brali udział w tym mordzie, szybko zostali okrutnie ukarani

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl b1c25d5852

W RZECZY SAMEJ

Ameryka nas uratuje?

PAWEŁ LISICKI

Charakterystyczną cechą polskiej debaty na temat wzrostu liczby amerykańskich żołnierzy w Polsce było całkowite abstrahowanie od rzeczywistej sytuacji USA i od coraz bardziej widocznego kryzysu, w jaki państwo to wpędził prezydent Donald Trump. Tak, polscy politycy, zarówno ci z opozycji, jak i reprezentujący rząd, zachowują się tak, jakby ich świadomość zatrzymała się w latach 90. XX w., jakby obecność wojska amerykańskiego w Polsce była wartością bezwzględną. Nie warto się zastanawiać ani nad jej kosztami, które przecież będą musieli ponosić Polacy, ani nad konsekwencjami lub możliwym ryzykiem – każdy głos wątpienia traktowany jest niemal jako przejaw zdrady narodowej. Po prostu dla USA nie ma alternatywy. Tymczasem łatwo zauważyć, właśnie obserwując to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy, że bliskie związki z Ameryką wcale nie muszą być zawsze korzystne.

Pierwszy przykład to dzieje Rady Pokoju, nowej instytucji, jaką nie tak dawno powołał do życia Donald Trump. Jej pierwszym celem miało być pilnowanie pokoju w Strefie Gazy i doprowadzenie do jej odbudowania. Jeszcze niedawno wielu sądziło, że może ona odegrać kluczową rolę w systemie światowego bezpieczeństwa, ba, zdarzały się głosy, że w przyszłości zastąpi ona ONZ. Ambitne plany zakładały pozyskanie 1 mld dol. z opłat za „dożywotnie członkostwo" od światowych liderów, 7 mld dol. deklaracji od państw członkowskich na pakiet pomocowy dla Strefy Gazy oraz kolejne 10 mld dol. bezpośrednio z budżetu USA. Brzmiało pięknie, nieprawdaż?

Tymczasem, jak podał „Financial Times", inicjatywa Donalda Trumpa praktycznie umarła. Oficjalny fundusz utworzony przy Banku Światowym na rzecz Rady Pokoju świeci pustkami. Według dziennika do tej pory światowi przywódcy nie wpłacili tam nic. Wszystko to robi wrażenie kompletnego humbugu – jak wynika z doniesień „FT", ponoć jakieś wpłaty pojawiły się nie na przejrzystym koncie Banku Światowego, ale… na specjalnym koncie w komercyjnym banku JPMorgan. Tyle że JPMorgan jest tyleż bankiem, co aktywnym graczem geopolitycznym.

Przedstawiciele Rady Pokoju tłumaczą w „FT", że stworzono kilka ścieżek finansowania, a „na tym etapie darczyńcy zdecydowali się skorzystać z innych opcji". Zapowiedzieli, że organizacja przedstawi raport finansowy własnej radzie wykonawczej, złożonej z urzędników Trumpa, „w czasie uznanym za stosowny". Obecnie sytuację ratują nieliczne wpłaty. Maroko przekazało ok. 20 mln dol., co pozwoliło na opłacenie biura wysokiego przedstawiciela w sprawie powojennej Gazy oraz pensji palestyńskiego komitetu technokratów. Z kolei Zjednoczone Emiraty Arabskie przekazały niedawno 100 mln dol. na szkolenie nowej policji w Gazie, ale program jeszcze nie ruszył, a środki zostały zamrożone. Tak wygląda najpoważniejsza inicjatywa, na jaką Ameryka zdobyła się w ciągu ostatnich lat!

Nie lepiej wygląda kwestia wojny USA z Iranem. Nie ma dnia, w którym Donald Trump nie donosiłby, że już za momencik, już za chwileczkę negocjatorzy osiągną porozumienie. Jak miałoby się to stać, jeśli obie strony nadal mają skrajnie przeciwne postulaty? Dlaczego Iran miałby otworzyć cieśninę Ormuz i oddać wzbogacony uran (żądanie amerykańskie), a USA wypłacić miliardowe odszkodowania i usunąć swoje bazy z Bliskiego Wschodu (postulaty irańskie)? Im dłużej owe rozmowy trwają, tym trudniej odróżnić, co jest w nich elementem PR – prezydent Trump za wszelką cenę chce udawać, że kontroluje sytuację – a co jest dyplomacją. A być może w całej tej historii chodzi o to, by umiejętnie dawkując informacje, wpływać na kursy ropy na światowych rynkach w taki sposób, żeby dorobili się na tym zwolennicy prezydenta USA? Jedyne, co pewne, to dramatyczny spadek poparcia dla Donalda Trumpa.

Podobnie łatwo zauważyć, jaki skutek miał sojusz z USA dla państw arabskich położonych nad Zatoką Perską. Mimo gigantycznych kosztów – szejkowie zgodzili się na stałe stacjonowanie amerykańskich żołnierzy na terytorium ich krajów oraz przeznaczali ogromne pieniądze na zakupy amerykańskiej broni – efekty okazały się gorzej niż mizerne. Irańskie rakiety praktycznie zniszczyły amerykańskie bazy. Te nie tyle odstraszały, ile przyciągały ataki. Krótko mówiąc: w obliczu irańskiego odwetu Amerykanie okazali się całkiem bezradni. Ci, którzy tyle zainwestowali w ich obecność, która miała dawać gwarancję bezpieczeństwa, musieli się srogo rozczarować. Z punktu widzenia państw arabskich może się okazać, że zamiast polegać na Ameryce, bardziej opłaca się samemu nawiązać relacje z Teheranem i doprowadzić do porozumienia.

Wszystkie te doświadczenia powinny być brane pod uwagę w Polsce. Nie oznacza to oczywiście, że z dnia na dzień można uznać, iż sojusz z USA jest dla Polski nieistotny, jednak, sądzę, nie wolno podchodzić do niego tak bezkrytycznie i naiwnie, jak to było możliwe wcześniej. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
WIELKA PRZEMIANA TOMASZA TERLIKOWSKIEGO
Ekspiacja bez końca i nowe akcenty

19 KRYSTIAN KRATIUK
HOMOREWOLUCJA WCHODZI BOCZNYMI DRZWIAMI

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
DWORACY WASZYNGTONU KONTRA DWORACY BRUKSELI
Klientelizm ponad podziałami

26 PIOTR GONTARCZYK
ŻYCIOWA MISJA SĘDZIEGO KAPIŃSKIEGO. NOWY I PREZES SĄDU NAJWYŻSZEGO

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UNIJCZYCY NA MEDAL. POLACY ODZNACZENI EUROPEJSKIM ORDEREM ZASŁUGI

30 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOMSKIM
REFERENDUM W KRAKOWIE – ZWYCIĘSTWO ZWYKŁYCH LUDZI

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
FAŁSZYWY ALARM

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
OBRONA CHESTERTONA
Sojusznik w walce z mrokiem

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
LITERATURA JEST KOBIETĄ!

38 MICHAŁ MURGRABIA
SPEKTAKULARNE BITWY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 WOJCIECH GOLONKA
NAJGORSZE PRZED UKRAINĄ?
Czerwone linie Rosji

47 ADAM WIELOMSKI
WYBIĆ SIĘ NA SAMODZIELNOŚĆ

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PAPIEŻ KONTRA AI

52 MAREK KORNAT
WYŻSZA KONIECZNOŚĆ. CO DALEJ Z BRACTWEM ŚW. PIUSA X

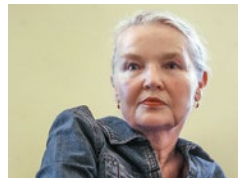

54 FILIP MEMCHES
SOCJOLOG WYKLĘTA. BIOGRAFIA JADWIGI STANISZKIS

56 MONIKA MAŁKOWSKA
NAZWISKO JAK JE ROZUMIEMY

HISTORIA

58 EDWARD STĘPIEŃ
MASAKRA POLAKÓW POD BATOHEM
Katyń Chmielnickiego

ŚWIAT

62 WITOLD REPETOWICZ
UPADEK IZRAELA
Bliski Wschód w ogniu

65 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK KIJÓW SAM SOBIE SZKODZI

68 ROBERT BOGDAŃSKI
STOLTENBERGA TĘSKNOTA ZA ROSJĄ

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
WALKA O KAPITAŁ
Koniec iluzji taniego pieniądza

74 RADOSŁAW WOJTAS
HANDEL NA BRUKU

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl b1c25d5852

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Michał Woźniak/East News, Andrzej Hulimka, Shutterstock, montaż: QBA/JAN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Powiedz mi, co jesz", Dariusz J. Gwiazdowicz, „DRz" nr 20/2026

Szanowna Redakcjo „Do Rzeczy", uśmiałem się do łez, czytając w tekście prof. Gwiazdowicza o badaniach naukowców z Nowej Zelandii, z których wynika, że weganie – z powodu ogromnej ilości błonnika – produkują więcej gazów cieplarnianych niż osoby jedzące mięso! To piękna, naukowa ironia wymierzona w aktywistów, którzy próbują wmówić nam, że jedzenie roślin zbawi świat.

Prawdą jest, że masowy chów bydła generuje podtlenek azotu i metan. Jednak ekolodzy celowo wrzucają do jednego worka całą produkcję mięsną. Dlaczego zapomina się o łowiectwie i dziczyźnie?

Pozyskanie dziczyzny ma zerowy ślad węglowy w porównaniu z transportowaną przez pół globu soją. Dzika zwierzyna żyje w swoim naturalnym środowisku, nie generuje kosztów sztucznej hodowli, a jej pozyskanie jest elementem niezbędnej, państwowej gospodarki leśnej. Dziczyzna to jedyne prawdziwe ekomięso na rynku. Warto, aby konserwatywne media przypominały o tym polskim rolnikom i konsumentom, odczarowując mit, że ekologia należy wyłącznie do lewicy i wegan.

Darz Bór
Krzysztof Wiśniewski

Dzień dobry,
[...] bardzo często mamy dostęp do żywności niezdrowej, niesmacznej, wysokoprzetworzonej itd. Należałoby tutaj promować żywność zdrową i smaczną, np. dziczyznę, produkty gospodarstw ekologicznych czy przede wszystkim polskie produkty regionalne.

Pozdrawiam
Maciej Strawa

Szanowna Redakcjo „Do Rzeczy", w artykule „Powiedz mi, co jesz" prof. Gwiazdowicz poruszył niezwykle istotny, a bagatelizowany problem: wpływ diety bezmięsnej na zaburzenia układu nerwowego oraz zdrowie psychiczne. Przytoczone dane o niedoborach witaminy B12, cynku i żelaza, które mogą prowadzić do stanów depresyjnych czy zaburzeń lękowych, powinny być ostrzeżeniem dla każdego, kto bezrefleksyjnie ulega modzie na radykalny weganizm.

Jako czytelnik od lat obserwujący rynek zdrowej żywności ubolewam, że w tekście nie rozwinięto tematu biochemicznego fenomenu dziczyzny. Mięso zwierzyny płowej (jeleni, saren) zawiera znacznie więcej łatwo przyswajalnego żelaza hemowego niż hodowlana wołowina czy wieprzowina, będąc jednocześnie bombą witaminową dla naszego mózgu i układu krążenia.

Skoro brak odpowiednich składników odżywczych bezpośrednio uderza w naszą kondycję psychiczną, promowanie dziczyzny powinno być elementem narodowej strategii zdrowia. Liczę na to, że na łamach „Do Rzeczy" pojawi się wkrótce rozwinięcie tego tematu, pokazujące, jak bogactwo polskich lasów może stać się naturalnym lekarstwem na schorzenia cywilizacyjne współczesnego człowieka.

Pozdrawiam serdecznie
Adam Mościcki

Od autora

Nasi Drodzy Czytelnicy mają całkowitą rację. W ostatnich latach wzrastają w naszym kraju świadomość żywieniowa oraz dbałość o zdrowie, co sprawia, że konsumenci coraz częściej zwracają uwagę na jakość, pochodzenie produktu i walory zdrowotne żywności. Powoduje to powstanie świadomej grupy konsumentów, którzy poszukują alternatywnego surowca w stosunku do zwierząt żywionych intensywnie (wysokowartościowymi paszami). Taką alternatywą może być mięso zwierząt dziko żyjących, które nie są zamykane w klatkach i „karmione" antybiotykami oraz sterydami, a strzał z broni myśliwskiej powoduje śmierć w ułamku sekundy bez stresu i cierpienia.

Dziczyzna to najzdrowsze mięso należące do kategorii żywności naturalnej, które posiada właściwości prozdrowotne. Dlaczego zatem jest ona rzadko spotykana na półkach w naszych sklepach i do tego bardzo droga? Co zrobić, by to zmienić?

prof. dr hab. Dariusz J. Gwiazdowicz

eprasa.pl b1c25d5852

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie od razu Kraków odwojowano

PIOTR SEMKA

Prawica z ogromną satysfakcją przyjęła odwołanie w referendum w Krakowie prezydenta Aleksandra Miszalskiego. Istotnie w podwawelskim głosowaniu zbiegły się wszystkie te elementy, które konserwatystów najmocniej irytują w polskiej polityce. Mieliśmy w krakowskim ratuszu typowego aroganta z Koalicji Obywatelskiej, mieliśmy wprowadzenie Strefy Czystego Transportu przy jednoczesnej podwyżce cen za bilety komunikacji publicznej, mieliśmy wreszcie nachalne wezwanie do zbojkotowania referendum. Jeśli dorzucić do tego histeryczną kampanię wzywającą do „olania" głosowania w wykonaniu przebrzmiałych już nieco autorytetów w rodzaju Róży Thun czy Krystyny Zachwatowicz, to stworzyła się wręcz mieszanka wybuchowa, która pozwoliła uzyskać odpowiednią frekwencję do odwołania prezydenta z KO.

Partia Donalda Tuska dostała zatem pod Krakowem efektowny prztyczek w nos. Ten sukces spowodował – jak to często bywa – falę spekulacji na temat kolejnych referendów w kolejnych metropoliach, które Tusk uważał do niedawna za swoje niepodzielne księstwa. Ale warto do tej fali optymizmu po prawej stronie wprowadzić parę trzeźwiących zastrzeżeń.

Po pierwsze, w Krakowie referendum się udało, bo tylko tu doszło do koalicji paru sił, które uznały, że nie można Miszalskiemu pozwolić na dalsze rządy. Od dawna działał w tym mieście liberalno-centrowy rywal tego polityka Łukasz Gibała.

Po drugie, silna była też frakcja dawnego prezydenta Jacka Majchrowskiego, któremu z Miszalskim nie było po drodze. I dopiero do tych dwóch wymienionych silnych przeciwników odwoływanego prezydenta dołączyła prawa strona.

Po trzecie, już teraz widzimy, że zarówno PiS, jak i Konfederacja, i wreszcie Korona Grzegorza Brauna ani przez chwilę nie zastanowiły się nad wyłonieniem wspólnego, ale pozapolitycznego kandydata. Od razu każde z nich zaczęło postrzegać nowe wybory jako okazję do zabłyśnięcia własnym kandydatem.

Jeśli KO wystawi jakieś silne nazwisko lub znane dobrze pod Wawelem, ale niebudzące takich kontrowersji, jakie budził Miszalski, to przy założeniu mniejszej mobilizacji społecznej ma szansę na wygraną. Partia Tuska może też wykonać sprytny manewr i wysunąć kandydata koalicyjnego, czyli Ireneusza Rasia, którego z PO usunięto i teraz związany jest z PSL-owską przybudówką dla konserwatystów pod nazwą Centrum dla Polski.

Miejmy nadzieję, że do jakichś rozmów jeszcze dojdzie, ale nie opuszcza mnie niepokojąca obawa. Wybory krakowskie jako przykład samodzielnych startów skłóconych kandydatów prawicy, z których każdy ugra miniwynik, a realny sukces być może przypadnie albo kandydatowi popieranemu przez KO, albo Łukaszowi Gibale. Z prawicą w roli statystów przyglądających się, jak wygrywają inni. Patrzmy na ten spektakl uważnie, bo to jest ostrzeżenie przed tym, co może stać się po wyborach do Sejmu w 2027 r. ©℗

PIERWSZA POLKA Z GWIAZDKĄ MICHELIN

Zwyciężczyni drugiej edycji programu „MasterChef Polska" Beata Śniechowska została pierwszą kobietą w Polsce, której restauracja (wrocławska Baba) otrzymała gwiazdkę Michelin. Łącznie w Polsce mamy już 10 lokali z tym prestiżowym wyróżnieniem łącznie (w tym roku doszły cztery nowe). Aż dwie gwiazdki kolejny rok z rzędu utrzymała zaś krakowska Bottiglieria 1881.

FOT. MICHAŁ KLAG/REPORTER

POLSKI ŻOŁNIERZ UNIEWINNIONY

Wojskowy Sąd Garnizonowy w Lublinie orzekł, że szeregowy, który w marcu 2024 r. oddał 12 strzałów ostrzegawczych w stronę grupy kilkunastu agresywnych migrantów, którzy nielegalnie sforsowali granicę w Dubiczach Cerkiewnych, jest niewinny. – Żołnierz po to został wysłany na granicę, żeby chronić jej nienaruszalności, i to robił – tłumaczył sędzia ppłk Radosław Hunek, przypominając, że „osoby, które przekraczają granicę wbrew przepisom, popełniają przestępstwo". Wyrok jest nieprawomocny. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl b1c25d5852

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Czerwony dywan Tuska

Donald Tusk złożył oficjalną wizytę w Wielkiej Brytanii. Po co tam pojechał? Mówiąc prosto, żeby podpisać sojuszniczą umowę o współpracy wojskowej, analogiczną do tej, którą podpisał jakiś czas temu z Francją i jaką szykuje z Niemcami. Sam premier ujął to bardziej kwieciście: pojechał „wznieść nasze stosunki na maksymalny możliwy poziom wzajemnych relacji".

Jak maks, to maks – musiał premier powiedzieć coś takiego, żeby wszystkim buty spadły. I powiedział. Uzasadnił podpisanie układu obronnego argumentem: „Historia uczy, że sojusz z Wielką Brytanią jest zawsze wiarygodny". Naprawdę, tak właśnie powiedział, proszę sprawdzać, gdzie kto chce.

Nie trzeba być absolwentem studiów historycznych (a Donald Tusk przypadkiem akurat jest), żeby wiedzieć, że historia uczy czegoś dokładnie przeciwnego. Jak podsumował Cat-Mackiewicz: „Anglia zawsze chciała od Polski tylko jednego: żeby nas nie było". W latach 1918–1921 rząd brytyjski robił wszystko, żeby nie dopuścić do powstania niepodległej Polski, a przynajmniej obciąć ją do rozmiarów Księstwa Warszawskiego, o czym prof. Andrzej Nowak pisał w znakomitej książce „Pierwsza zdrada Zachodu". O drugiej zdradzie, tej z Teheranu i Jałty, gdzie Wielka Brytania z wdziękiem zignorowała wszystkie zobowiązania, które wobec nas była podjęła kilka lat wcześniej, by pchnąć nas na Hitlera i zyskać czas na dozbrojenie się, aż się już nie chce wspominać, tkwi to zadrą w naszej historii do dziś. Ale przecież nie byliśmy żadnym wyjątkiem: to, jak Wielka Brytania podpuściła do wojny z Niemcami Jugosławię, by potem zostawić Serbów i Chorwatów na pastwę ludobójstwa i okupacji, to była dopiero perfidia, jakiej żaden inny kraj nigdy się nie dopuścił.

Wydawało mi się dotąd, że nikt nie przebije naiwności i nadęcia ministra Becka, któremu wystarczyło, że Anglicy rozwinęli przed nim czerwony dywan. Tymczasem dziś, gdy Anglia jest już tylko cieniem dawnej swej siły, premier Polski sam zawiózł do Londynu ten czerwony dywan, by go rozwijać przed gospodarzami. ©℗

#WARTO

Prezenty dla dzieci

JAN POSPIESZALSKI

Co przygotował rząd na Dzień Dziecka?

1. Dług, który będą spłacać nasze dzieci, czyli środki z SAFE wydatkowane są w sposób chaotyczny i niekorzystny. Do końca maja Agencja Uzbrojenia musiała podpisać umowy z zakładami produkującymi uzbrojenie. Presja czasu sprawiła, że MON w popłochu zmuszało spółki zbrojeniowe do podpisywania skrajnie niekorzystnych aneksów.

2. W dobie nasilonego kryzysu psychicznego młodzieży, wobec zamętu aksjologicznego, rząd zredukował lekcje katechezy i etyki, odbierając uczniom możliwość kształtowania pozytywnego systemu wartości, gdzie jest miejsce na wierność, dobro, piękno i szacunek wobec drugiego człowieka. A teraz, kilka dni temu, posłowie KO zerwali pracę sejmowej komisji obradującej nad obywatelskim projektem ustawy „TAK dla religii i etyki w szkole" (pod którym zebrano 500 tys. podpisów).

3. W ostatnich dniach maja MEN opublikowało podstawy programowe tzw. edukacji zdrowotnej, promującej model seksualności wypłukany z więzi, kontekstu rodziny i odpowiedzialności. Program zniechęca do macierzyństwa i rodzicielstwa, nobilitując wynaturzone formy płciowości i seksualności. ©℗

SPROSTOWANIE UNIWERSYTETU KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO

„W artykule Jana Pospieszalskiego pod tytułem „Zamiatanie pod dywan" (Do Rzeczy nr 19/679) opublikowano **nieprawdziwe informacje, które wprowadzają w błąd czytelnika.** Autor artykułu nie kontaktował się z władzami UKSW w żaden sposób formalny, dlatego nie mógł otrzymać odpowiedzi na rzekome pytania. Ponadto, wniosek o sprostowanie kierowany przez UKSW do redakcji nie miał związku z rzekomymi pytaniami, **a z nieprawdziwymi informacjami zawartymi we wcześniejszym tekście tego samego autora".**

eprasa.pl b1c25d5852

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

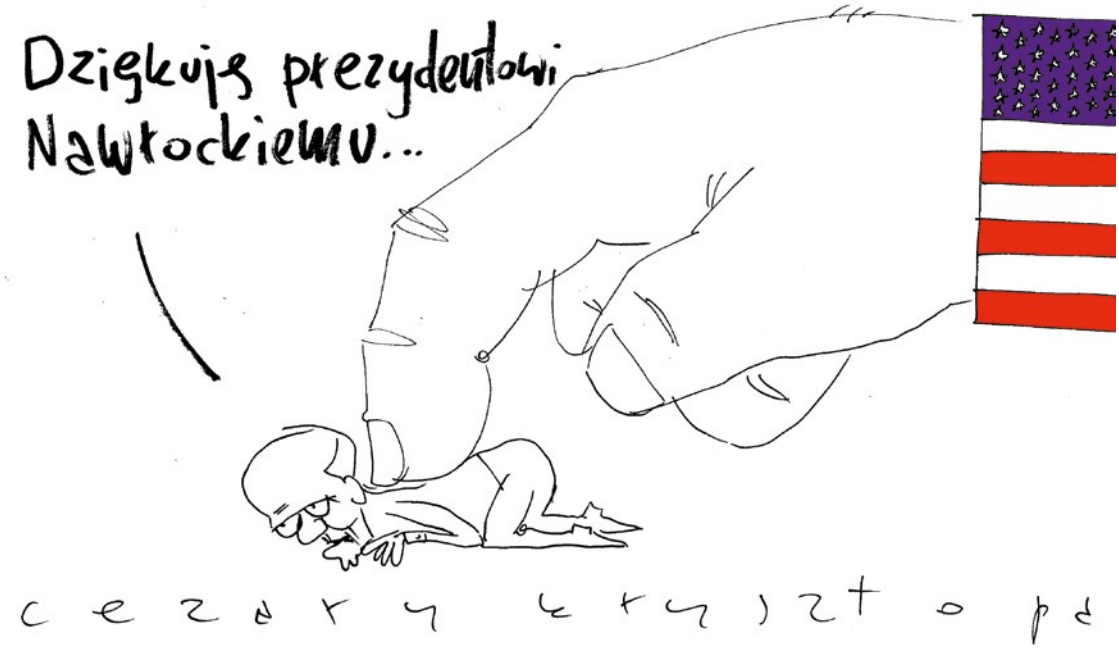

ĆWIERKOT

Lewica zmienia uczelnie

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

No i bardzo dobrze, że Ryszard Petru zostanie wiceministrem rozwoju, gdyż ułatwi to pracę komentatorom politycznym, a w życie nasze szarawe wniesie element baśniowy. Stop. Wiem, że występują w przyrodzie potężne rankingi nieoczywistych jego powiedzonek, więc subiektywnie jako numer jeden Petruizmów przedstawiam swój typ, świadom, że jest to katalog niezamknięty. Stop. Uwaga, oto najlepsze powiedzonko naszego Ryśka, który oczywiście jest fajnym chłopakiem: „Kręcenie filiżanką w szklance bez cukru". Stop. Cymes, choć ciężko to zwizualizować. Oczywiście teoretycznie powinno pojawić się pytanie: Czy Ryszard Petru ma kwalifikacje na wiceministra rozwoju? Stop. Nie zapominajmy, że to jednak rząd Tuska, więc pytanie jest bez sensu.

Minister kultury Marta Cienkowska wpadła na pomysł, żeby dopłacać do emerytur artystom, bo nie płacili ZUS albo płacili bardzo mały i na starość mają za mało, a chcieliby więcej. Stop. Ja wiem, że obóz Tuskowo-Cienkowskowy ma powody, żeby odwdzięczyć się za poparcie w czasie kampanii wyborczej różnym Sewerynom, Jandom czy czystej patologii jak Jaś Kapela, licząc przy tym, że dalej będą wdzięczni, a wybory na horyzoncie i przyznać muszę, że pomysł, żeby na emerytury dla nich zrzucali się ciężko pracujący ludzie, uważam za genialny. Dla opozycji genialny. Powodzenia. Stop.

Wiceministrem sportu została Żaneta Cwalina-Śliwowska, kiedyś od Hołowni, a teraz nie wiadomo, gdzie jest Hołownia, więc po prostu brawo, brawo! Stop. Dużą popularność, rozpoznawalność z domieszką sławy przyniósł jej występ w TVN, w czasie którego brawurowo odpowiedziała na pytanie: „Ile mamy w Polsce województw?", „Nie wiem". Stop. Po pierwsze, pani zanim związała się z Hołownią, żyła z tańca (nie żartuję), po drugie nie musi wiedzieć, bo – jak już wspominaliśmy – będzie w rządzie u Tuska, a po trzecie, takie stanowisko może mieć dla niej walor edukacyjny. Może jej ktoś powie? Stop. Jak mawiał Józef Stalin: „Kadry decydują o wszystkim".

Lewica złożyła projekt ustawy, dzięki której na polskich uczelniach, które całkowicie nie liczą się na świecie, ma być lepiej. Stop. Jeden z pomysłów to zastąpienie terminu „pracownik niebędący nauczycielem akademickim" terminem „pracownik administracji akademickiej". Dziękuję za uwagę. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

BEZ FILTRA

„Chirurg gwiazd" Krzysztof Gojdź kilka lat temu przeniósł swoją działalność do Stanów Zjednoczonych. Jego kliniki medycyny estetycznej działają m.in. w Miami i Los Angeles. Gojdź może się pochwalić 200-metrową willą w West Hollywood. W wywiadzie udzielonym Żurnaliście lekarz przyznał, że w tym rejonie nie jest już tak bezpiecznie jak wcześniej. Krzysztof Gojdź nie gryzł się w język. – Czarny obrabował mi ten dom w biały dzień i nie czułem się już tam bezpiecznie [...]. Ten czas mieszkania w Los Angeles, w Hollywood już dobiegł końca. Ludzie uciekają z tego miasta, głównie do Miami [...]. LA się zmieniło przez ostatnie 5–10 lat. To nie jest bezpieczne miasto. Jak mieszkałem czy w Beverly Hills, czy West Hollywood, to są dwie dzielnice, gdzie faktycznie można mieszkać w miarę bezpiecznie. Ale jeżeli się mieszka na wzgórzach – teraz powiem coś rasistowskiego – czyli tam, gdzie bezdomny czarny nie wjedzie swoim wózkiem z dobytkiem, to tam jest bezpiecznie – stwierdził. Chirurg poszedł za ciosem. – Jeśli chodzi o stolice Europy, to Warszawa to jest chyba jedyna ostoja jeszcze, gdzie są biali, gdzie jest bezpiecznie. Pojedź do Berlina, pojedź do Paryża, nie daj Boże, do Londynu. Ja tam się nie czuję bezpiecznie – mówił. Gość Swakowskiego nie zna chyba pojęcia „polityczna poprawność", bo mówił dalej. – Biała rasa powinna rządzić w Stanach Zjednoczonych [...]. Nie, nie jestem rasistą, jak mnie się spytasz [...]. Mam mnóstwo przyjaciół czarnoskórych. Bardzo sobie cenię ludzi czarnoskórych, którzy do czegoś doszli i faktycznie ciężko pracują. Ale czarnoskórzy przestępcy, bezdomni, psują... właśnie to, co się myśli o czarnoskórych – zakończył. Czy był to ostatni wywiad dr. Krzysztofa Gojdzia w polskim mainstreamie?

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

WJAZD NA PODCAST

Gdy mówisz o interesach, mów ciszej. Chyba że czujesz się tak wszechwładny, iż niestraszny ci UOKiK i takie inne. Od niedawna podcaster Żurnalista, czyli Dawid Swakowski (tak, znowu o nim), przestał zasłaniać twarz. Wcześniej opublikował na YouTube nagranie „Nazywam się Dawid Swakowski", gdzie opowiedział o swoich problemach finansowych z przeszłości (niech państwo uwierzą, było ich sporo). Poruszył też temat wywiadów opłacanych przez gości, tzw. rozmów sponsorowanych. – Jeżeli ktoś przychodzi promować książkę, film, serial, to są zazwyczaj rozmowy sponsorowane, które odbywają się za pieniądze. Ale są też rozmowy za pieniądze, które odbywają się, bo ktoś jest biznesmenem albo kimś nieatrakcyjnym medialnie. Ale te historie można opowiedzieć ciekawie. Wtedy ludzie kupują u mnie odcinki sponsorowane. Nie istnieje coś takiego, że kogoś wybielamy albo robimy rozmowę polityczną ze względu na to, żeby kogoś wizerunek ocieplić. Takie rzeczy nie istnieją – przekonywał. Od pewnego czasu opłacanym wywiadom przygląda się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Teraz oficjalne stanowisko przedstawił szef instytucji. – Nie jesteśmy przeciwko marketingowi i influencerom. Zależy nam na tym, żeby każdy, kto ma do czynienia z treścią, która została opłacona, dobrze był o tym poinformowany. W ten obszar bardzo mocno weszliśmy, stąd żądanie wyjaśnień choćby od Żurnalisty. Oczekujemy bardzo obszernych informacji, aby dowiedzieć się, które z konkretnych nagrań mogły być opłacone, jak zostały prawidłowo oznakowane – podkreślił Tomasz Chróstny w programie „Onet Rano". Podcaster może ponieść poważne konsekwencje – w przypadku stwierdzenia naruszeń grozi mu kara finansowa sięgająca 10 proc. rocznego obrotu. W przypadku Swakowskiego nie będą to drobniaki, oj, nie będą.

EXPERIENCE PONAD FASHION

Z pamiętniczka podróżniczki. Kinga Rusin wraz z ukochanym podbija Azję, co jest szeroko relacjonowane na Insta. Dzieje się tyle, że nie ma czasu na shopping. „Fashionistki zrozumieją mój »ból«. Przykre, ale nie przywiozę do Polski ani kimona, ani żadnej torebki, ani żadnego szałowego, japońskiego ciucha. Za mało czasu, żebym tu jeszcze miała ogarnąć modę, gdy dni wypełnione są kaskadami przeżyć i nawet na sen zostaje niewiele czasu. Zamiast ubrań będę miała wspomnienia!" – wyjaśnia była gwiazda TVN. „Lubię takie przeskoki! Z upalnego Tokio 1124 km na północ – do Shiretoko, krainy przypominającej klimatem, przyrodą i temperaturą Alaskę... Z Markiem nie ma nudy! I na pewno nie ma żadnych »wolnych przebiegów«, o czym po 16 wspólnych latach powinnam już wiedzieć. Ale mimo tego naiwnie zasugerowałam luźniejszy dzień w Tokio na... zakupy, licząc na to, że może Marek chce już trochę odpocząć. I co dostałam? Podróż shinkansenem na... Hokkaido!" – przekazała Rusin. „Marek stwierdził, że nie zostajemy dłużej w Tokio, skoro ma zacząć tu padać, tym bardziej że już zdążyliśmy zwiedzić wszystkie interesujące nas muzea. Z kolei interesujące mnie sklepy nie znajdowały się pod dachem, w galeriach handlowych, tylko wzdłuż dużych ulic, więc zmoknięcie byłoby nieuniknione. Nie przywiozę więc do Polski modowych perełek... Przywiozę za to mnóstwo wspomnień, nie tylko z Honsiu, Kiusiu czy Sikoku, ale też z leżącej najbardziej na północy wyspy Hokkaido" – stwierdza Kinia. Chyba jakoś przeżyjemy. Chyba. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak pewnie wiecie, okazało się, iż Kraków nie dorósł do demokracji ani do referendum i prezydent Miszalski został odwołany, co może tylko rozzuchwalić te egzotyczne koalicje wszystkich Konfederacji, Razem, PiS i – o zgrozo! – ruchów miejskich do tego, aby podobne akcje urządzać w kolejnych polskich miastach.

Oczami wyobraźni już widzimy ten motłoch oszalały z nienawiści do wszystkiego, co związane z Koalicją Obywatelską, jak z każdej strony otacza Warszawę, zbliżając się niebezpiecznie do stołecznego ratusza, mający obrzmiałe gęby pełne frazesów o demokracji, a w sercach tylko chęć wywołania politycznej awantury.

A przecież do tego, aby nie iść na referendum, zachęcały czołowe autorytety społeczno-kulturalne Krakowa, z Andrzejem Sikorowskim na czele, a młodzież, ewidentnie skręcająca w stronę brunatnej prawicy i awanturującej się, tej gorszej lewicy, nie miała ochoty ich słuchać. Przecież Sok z Buraka postował godnie i zapamiętale, przecież politycy prosili i nawoływali, a jednak się nie udało.

Na szczęście nie musimy przesadnie dużo myśleć, co poszło nie tak i dlaczego poszło nie tak, iż wyjaśniły nam to autorytety, które ekstrapolowały na grunt krakowski swoje jak zawsze celne i błyskotliwe diagnozy ogólnopolskie.

Otósh prezydenta Miszalskiego odwołali mieszkańcy dzielnic peryferyjnych Krakowa. Wiecie, dresy z Nowej Huty, słoiki z Ruczaju czy studenciaki z podkarpacia zameldowane czasowo gdzieś na miasteczku AGH. Brzmi znajomo, prawda? Podobnie jak na PiS, Konfederację i wygląda na to, że na Razem też, głosują mniej zamożni i gorzej wykształceni janusze z grażynami, tak prezydenta Krakowa odwołali napływowi mieszkańcy bez certyfikatu prawdziwego Krakusa od trzech pokoleń, u których w domach nie całowało się portretu Franciszka Józefa xD.

No i teraz już widzimy, że w konsekwencji będziemy mieli polityczną hucpę, którą zawdzięczamy awanturniczej polityce organizatorów i inicjatorów referendum, i Kraków jeszcze skończy z jakimś Braunem jako prezydentem. Przecież nam tu wtedy zabiorą status miasta akademickiego, Braun zamknie Ujot, a jedyną uczelnią pozostanie Uniwersytet Papieski. Czy na pewno o to w tym wszystkim chodziło?

Wogóle jakby tak się zastanowić nad instytucją referendum, to wychodzi, iż jest ona zbędna, ponieważ – niestety, znowu – Polacy nie potrafią z niej odpowiedzialnie korzystać. To dokładnie tak, jak z wyborami – kiedy dostają za dużo wolności, to wybierają jakiś PiS i potem się męczymy osiem lat z Kaczafim na szczycie państwa.

Zastanawiamy się więc, czy demokracja w Polsce ma jakąś przyszłość? Na razie sondaże są korzystne, iż na czele wciąż pozostaje KO, ale wiecie – znów ktoś wyciągnie niepotrzebnie kolejne 27 niespełnionych tzw. obietnic z kampanii wyborczej i się zacznie.

Naszym zdaniem warto byłoby rozważyć – do czasu ukonstytuowania prawdziwego społeczeństwa obywatelskiego, które nie ulega emocjom, ale głosuje rozumnie, poważnie – czy nie zawiesić instrumentów demokratycznych? Przeciesh w Krakowie wszyscy byli pełni dobrej woli, a koniec końców wyszło przynajmniej niezręcznie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Każdemu wolno

Władek, a to znasz? Przychodzi Murzyn do baru z papugą na ramieniu. Barman mówi: „O, fajne, skąd masz?"...
No nie, Włodek. Jak tak można?

Normalnie, do baru przecież każdemu wolno wejść. Murzynowi też.
Nie o tym mówię. Jak można mówić „Murzyn"?

Przecież teraz prywatnie jesteśmy, to nie posiedzenie Sejmu.
Ale sam się oburzałeś...

Ty jakiś pedał jesteś czy co?
Ech... I co z tym barem?

A papuga na to: „W Afryce pełno takich biega". ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Ja się zastanawiam, dlaczego kasjerka w Lidlu jest bardziej uprzywilejowana i zarabia więcej na kasie niż ja po 15 latach pracy intelektualnej".

***JAŚ KAPELA**, poeta, w Kanale Zero*

eprasa.pl b1c25d5852

PIERWSZE „HUSARZE” SĄ JUŻ W POLSCE

W 32. Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku koło Łodzi wylądowały już trzy pierwsze F-35 Lightning II, czyli najnowocześniejsze samoloty wielozadaniowe V generacji, które potrafią m.in. niczym myśliwce zwalczać statki powietrzne wroga, niczym bombowce zwalczać cele naziemne i nawodne, a także wykonywać misje rozpoznawcze.

To pierwszy w polskim lotnictwie supermyśliwiec zaprojektowany tak, by był trudno wykrywalny przez radary przeciwnika. W 2020 r. Polska zamówiła 32 maszyny F-35A „Husarz” wraz z pakietem logistycznym i szkoleniowym. W momencie podpisywania warta 4,6 mld dol. (równowartość ok. 18 mld zł) umowa była drugim co do wielkości kontraktem zbrojeniowym w historii Polski. Maszyny produkowane są w zakładach koncernu Lockheed Martin. Do dziś polska armia odebrała 12 samolotów F-35, ale większość z nich pozostaje wciąż w USA, gdzie służą do szkolenia polskich pilotów i techników. Dostawy kolejnych supermyśliwców mają potrwać do roku 2030.

Kraje europejskie – m.in. Belgia, Dania, Holandia i Włochy – złożyły łącznie zamówienia na niemal 600 egzemplarzy F-35 Lightning II. ©℗

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl b1c25d5852

eprasa.pl b1c25d5852

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Chryja, chryja i po chryi. Chodzi o awanturę wokół nowego I prezesa Sądu Najwyższego, Zbigniewa Kapińskiego. Bokser prezydent Karol Tadeusz pokonał bez trudu przeciwników w pierwszej rundzie przez nokaut. Sędzia powołany, causa finita. Czas, żeby tu i ówdzie przyzwyczajono się do myśli, że samiec alfa na prawicy jest jeden. I że nie jest nim żaden z aktualnych prezesów aktualnych prawicowych partii ani tym bardziej ich frakcji.

Wielu zadaje sobie pytanie: Po co w chryję wokół Kapińskiego pakował się szeregowy poseł Jarosław Kaczyński? Usłyszeliśmy od wiewiórki z Nowogrodzkiej, że celowo, żeby pokazać odrębność od ośrodka prezydenckiego. No i aby pokazać radykałom, iż PiS to właściwe miejsce dla nich oraz dla ich głosów. Dożyliśmy pięknych czasów dla radykałów – wszędzie ich potrzebują! Dotąd było odwrotnie.

Ciekawa rzecz: w uzupełnieniu powyższej informacji usłyszeliśmy od jednej z nowogrodzkich wiewiórek, że szeregowy poseł prezes do radykałów zalicza również TV Republikę. I że też w sumie zależy mu na sojuszu. W sumie się nie dziwimy. Na scenę telewizyjną wjeżdża Newsmax, o którym mówi się na mieście, że będzie wspierał grupę morawiańską.

Trzeba natomiast ujawnić, że losy tego, kto ostatecznie zostanie I prezesem Sądu Najwyższego, ważyły się do samego końca. Na ostatniej prostej biegło łeb w łeb już tylko dwóch zawodników: Paweł Czubik i Zbigniew Kapiński. To, że metę jako pierwszy minął Kapiński, zawdzięcza on nie tyle sobie, ile aktywnym zakulisowo kibicom Czubika. Uznano bowiem, że zachowują się oni niesportowo.

Już po zwycięstwie Kapińskiego jeden z panów G. został uświadomiony, że swego czasu jego drogi przecięły się z nowo mianowanym prezesem. Jak się okazało, sędzia Kapiński orzekał nie tylko w kwestii TW „Bolka", lecz także w sprawach Ireny Dziedzic i niejakiego Tomasza Turowskiego. I to orzekał dla nich tak korzystnie, że wytoczyli oni procesy jednemu z Panów G. Wprawdzie ów Pan G. ostatecznie wygrał, ale jedna z tych spraw została rozstrzygnięta dopiero w Strasburgu. Nasi znajomi twierdzą jednak, że od tego czasu sędzia się zmienił.

Ze zmienionym, dobrym sędzią Kapińskim dobre relacje utrzymuje przynajmniej część PiS. Co dodaje smaczku oficjalnej linii prezesa, który odcina się od prezydenta Karola Tadeusza i od Kapińskiego. Bo nie wszyscy są tak surowi jak prezes. Wiemy o paru prominentach PiS regularnie jadających obiadki z Kapińskim, wiemy, że srogi Mario Kamiński broni w tym sporze Nawrockiego, wiemy też, że Kapiński parę razy spotykał się na przyjazne pogawędki z Przemysławem Czarnkiem. My w ogóle wiemy dużo, ale niechętnie.

Z zainteresowaniem przyjęliśmy informację towarzysza pierwszego sekretarza Sejmu, Włodzimierza Czarzastego, o zleceniu kontroli w biurach poselskich Ziobry i Romanowskiego. Sprawa istotnie jest ciekawa. Na przykład taki Ziobro – jak wiadomo – ukrywa się w Ameryce. Zatem czego może dotyczyć

eprasa.pl b1c25d5852

kontrola w jego polskim biurze? Ani chybi tego, czy w biurze nie ukrywa się aby jakaś Ameryka, ukrywająca Ziobrę. My jesteśmy za tym, żeby niekonwencjonalne sposoby ukrywania Ameryki identyfikować i przekazywać, no cóż, do Ameryki właśnie. Ma ona wielu wrogów, więc technologie ukrywania się są w cenie.

Z jeszcze większym zainteresowaniem przyjęliśmy inicjatywę obdarzenia artystów dopłatami do ubezpieczeń, co zaproponowała jedna z naszych ulubionych ministrów, czyli ta od kultury. Od dawna bowiem uważamy, że w Polsce artyści to ludzie ubodzy. Nie tylko materialnie. Czekamy więc na inne metody ich ubogacenia, niekoniecznie finansowe.

W Krakowie trwa rozpaczliwa łapanka, kto ma stanąć w wyborcze szranki przeciw Łukaszowi Gibale o schedę po odwołanym w referendum prezydencie Miszalskim. Łapanka dotyczy i PiS, i KO. Mamy propozycję dla KO – wystawcie szefa swoich struktur, niejakiego Szczęsnego Filipiaka. „Kogo?" – spytacie. Nigdy nie słyszeliście tego nazwiska? Nic dziwnego. KO się nim nie chwali. Ale ciężko się chwalić, zwłaszcza w Krakowie, facetem, który zakończył edukację na zawodówce.

Nas powyższa powściągliwość nie dziwi. Swego czasu jeden z Panów G. napisał książkę, w której podał badania dotyczące członków ówczesnej PO. Okazuje się, że na tle mas członkowskich Szczęsny Filipiak i tak się wyróżnia, gdyż wbrew opinii o młodych, wykształconych, z wielkich miast aktyw tej partii jest raczej z prowincji i z solidnym wykształceniem też ma zwykle kłopoty.

Tymczasem najważniejsza część aktywu, znaczy Zły Donald Tusk i jego akolici, nieustannie obraduje nad scenariuszami na przyszłość. Wielkie poruszenie tu i ówdzie wywołała podana przez nas tydzień temu ploteczka, że jako przyszły premier po rekonstrukcji wymieniana jest Magdalena Sobkowiak-Czarnecka. Nas bardziej zainteresowała wiadomość od wiewiórek, że w spotkaniach na Parkowej udział bierze doświadczony w bojach na niwie kultury płk Bartłomiej Sienkiewicz. Czyżby wymiana premiera miała mieć charakter siłowy, jak wejście do TVP?

Na Parkowej tradycyjnie rozważa się także ewentualność wyborów przedterminowych, żeby wykorzystać rozsypkę po prawej stronie, gdzie PiS i duża Konfa mocno są pogubione, a jako tako radzi sobie jedynie mała Konfa od wielkiej korony. Pojawił się jednak problem w postaci odwołania Miszalskiego w Krakowie. Bo jest teraz spór: czy to sygnał, by iść na wybory, zanim się wszystko zawali, czy wręcz przeciwnie – jest to sygnał, że już się zawaliło, więc trzeba za wszelką cenę przetrwać do końca kadencji.

Przeciwko wcześniejszym wyborom protestują zieloni bracia z Peezelu oraz czerwońce od Czarzastego. To ostatnie nas nie dziwi. Naprawdę myślicie, że Wołodia Sweterek, znany też jako Wielki Przewodniczący Czao, da się odspawać od fotela marszałka Sejmu przed upływem kadencji? Aż nam się przypomniała „Bajka ruska" Zbigniewa Herberta: „Przyrósł car do tronu. Nogi tronowe pomieszały się z nogami carskimi. Ręka wrosła w poręcz. Nie można go było oderwać. A zakopać cara ze złotym tronem – żal".

Wracając do Krakowa. Nie wierzcie w plotki o tym, że kandydatką PiS będzie Małgorzata Wassermann. Otóż nie będzie. Głównie dlatego, że nie chce. Zresztą cóż to dla niej miałaby być za atrakcja. Mogła być przecież marszałkiem Sejmu po Kuchcińskim, w każdym razie tego chciał prezes. Ale że długo nie mogła się zdecydować, to prezes wskazał Elżbietę Witek.

Za to lista chętnych do kandydowania niepisowców jest bardzo długa. Na przykład taki impersonator ambasadora w USA, czyli Bogdan Klich. Jak zjechał na Wielkanoc do Krakowa, to nie wiadomo, dlaczego szeroko informował o swej głębokiej krakowskości. Znaczy my wiemy dlaczego. I wy teraz już też.

Na walkę o fotel prezydenta Krakowa mają też chęć przedstawiciele porozbijanej Polski 2050, czyli Paweł Śliz oraz Rafał Komarewicz, ten poseł, który się odgraża, że odejdzie z efemerydy o nazwie Centrum. Na prawo od PiS pojawił się w Krakowie pomysł, żeby wystawić prof. Andrzeja Nowaka, a plotki krążą też o starcie dziennikarza Witolda Gadowskiego. Którego zresztą inni podejrzewają, że będzie walczył o Sejm z list Grzegorza Brauna. Na razie pomagał braunistom organizować spotkanie w Myślenicach.

Apropos Brauna i Krakowa. W mieście Kraka już po referendum odbył się protest rolników. Na tych protestach w różnych miastach często pojawiają się brauniści, a czasem i sam Braun. W Krakowie demonstranci wraz z Braunem ruszyli na małopolski sejmik. Gdy jechali windą, napotkali wsiadającego do niej przewodniczącego sejmiku Jana Dudę, ojca eksprezydenta Andrzeja Sebastiana. Nie chciał wsiąść, ale został wciągnięty. Było warto. Podczas krótkiej przejażdżki między piętrami przekonano go, by udzielił na forum sejmiku głosu Braunowi. Wyszło na to, że po Braunie przemawiał jeszcze Zawiślak. W sumie był to godzinny festiwal braunizmu na oczach zdumionych i wściekłych radnych PiS oraz KO.

W Krakowie trwa rozpaczliwa łapanka, kto ma stanąć w wyborcze szranki przeciw Łukaszowi Gibale

Zamykając wątek Krakowa i dzisiejszą rubrykę, z rozmaitych wypowiedzi kolegów Miszalskiego z KO po jego odwołaniu jedna rozbawiła nas szczególnie. Otóż jeden z działaczy komentując fakt, że Miszalski był i prezydentem, i szefem lokalnych struktur, żalił się, że „Olek był pochłonięty Krakowem i nie miał czasu na partię". Panowie, bez jaj! Gdyby Olek miał czas na partię i kierował nią tak jak Krakowem, to z KO w tym mieście zostałyby tylko buty, i to dziurawe. Więc w sumie… może my też żałujemy? ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

Ekspiacja bez końca i nowe akcenty

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Piotr Semka

Tomasz Terlikowski przekracza kolejne granice. W wielkim wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" popiera już legalizację „małżeństw" osób tej samej płci i homoadopcje. Kolejna faza w ideowej odysei chorążego „Kościoła otwartego"

Analiza ewolucji poglądów Tomasza Terlikowskiego to zadanie wymagające sporej uwagi, ale bardzo pouczające. Zmiana myślenia znanego niegdyś z pryncypialności publicysty katolickiego dobrze pokazuje, jak szybko przesuwają się granice jego akceptacji dla dekompozycji tradycyjnego światopoglądu katolickiego. Co w tej mierze mówi nam ostatni spory wywiad w dzienniku Adama Michnika?

Jeśli ktoś naiwnie zakłada, że wywiady z Terlikowskim w czołowym organie prasowym polskiego obozu liberalnego stają się coraz mniej wymagające dla Terlikowskiego, to jest w sporym błędzie. Nie widać żadnej taryfy ulgowej dla niegdysiejszego ideowego grzesznika. Co więcej, można odnieść wrażenie, że surowe egzaminowanie z dawnych błędów staje się swoistym rytuałem, który Terlikowski musi zaakceptować, jeśli chce pojawiać się nie tylko na łamach pisma z ulicy Czerskiej.

Nieprzypadkowo do przeprowadzenia rozmowy wyznaczono młodego dziennikarza Sebastiana Słowińskiego, który w trakcie wywiadu zaznacza, że już w liceum uważał się za geja i wcześniejsze poglądy Terlikowskiego przyjmował z głębokim niepokojem. Pierwsza część rozmowy wygląda jak swoiste niegdysiejsze zebranie w epoce stalinowskiej z obowiązkową samokrytyką. Gdy Terlikowski zaczyna sam od wyznania: „Wie pan, ja mam łatkę fanatyka", to natychmiast dostaje – bynajmniej nie kurtuazyjną – kontrę: „Ale kiedyś był pan fanatykiem. Pamiętam swoje gimnazjalne czasy, kiedy mówiło się o panu jako »katotalibie«. Był pan głosem zamkniętego, agresywnego katolicyzmu". Po tym surowym początku rozmówca sygnalizuje, że teraz czas na nieco łaskawsze potraktowanie. Słowiński kurtuazyjnie przyznaje: „Dziś mówi pan całkiem inaczej. Co się zmieniło od pana pierwszej, wydanej w 2004 r. książki pt. »Tęczowe chrześcijaństwo. Homoseksualna herezja w natarciu«?". Terlikowski, broniąc się, przypomina, że był krytyczny wobec przemian kulturowych, ale też zawsze pozostawał bardzo krytyczny wobec hierarchii Kościoła katolickiego. Z wyrzutem wskazuje: „Rzadko się pamięta, że sprawa abp. Stanisława Wielgusa to efekt mojego tekstu". Opowiada też, jak Ekke Overbeek, wydając pierwszą książce o ofiarach pedofilii w polskim Kościele, umieścił na okładce jako zachętę fragment tekstu Terlikowskiego. W charakterze alibi przypomina, że po tym, jak kard. Dziwisz zobaczył cytat, wymusił na franciszkanach odwołanie rekolekcji akademickich, które Terlikowski miał prowadzić w Krakowie. I jeszcze raz apeluje o łaskawość wobec swojej osoby.

TRZY DEKADY ROZTEREK CZY TYLKO CZTERY LATA?

„Łatwo się pamięta o tym pierwszym [Terlikowskiego – przyp. P.S.] wizerunku,

eprasa.pl b1c25d5852

o tym drugim już trudniej. Nie zapominajmy też, że nawet w okresie swojego najtwardszego okresu publicystycznego rozmawiałem ze wszystkimi... także z »Gazetą Wyborczą«. Mówię to gwoli uzupełnienia, bo to nie jest tak, że kiedyś broniłem Kościoła, a teraz go atakuję".

Terlikowski nie wspomina, że kwestia rozliczenia udziału duchowieństwa we współpracy z komunistyczną SB nigdy nie była osią ostrego sporu po prawej stronie. Takie tytuły jak „Gazeta Polska" czy „Rzeczpospolita" na początku lat dwutysięcznych, a potem „Uważam Rze" i „Do Rzeczy" nigdy nie ograniczały dyskusji na temat potrzeby wyjaśnienia niedobrych epizodów z przeszłości hierarchów i księży. Owszem, zdarzało się, że np. „Nasz Dziennik" i Radio Maryja przeprowadzały desperackie akcje w obronie wizerunku abp. Wielgusa w kontekście jego współpracy z SB, ale była to tendencja, która po prawej stronie nie dominowała. Terlikowski zaś dziś próbuje sugerować, że jego odważne stawianie spraw lustracyjnych w kontekście Kościoła było początkiem krytycyzmu, który doprowadził go do rewizji swoich poglądów na kwestie obyczajowe.

Takie tworzenie legendy samego siebie nie robi najlepszego wrażenia. Ale Sebastian Słowiński nie ustępuje i nadal napiera: „Racja, ale ciekawi mnie, co takiego się w panu zmieniło".

W odpowiedzi zaczyna się refleksja Terlikowskiego, którą mogliśmy już przeczytać wcześniej w paru innych wywiadach, m.in. na łamach magazynu „Press".

„Wiele rzeczy (się zmieniło). Wtedy miałem trzydzieści kilka lat, a teraz mam pięćdziesiąt kilka. Moje dzieci dorosły i w tej chwili mają wiele do powiedzenia w dynamicznym dialogu ze mną".

I tu znów przy lekturze wywiadu pojawiają się spore wątpliwości. Terlikowski sugeruje, że metamorfoza jego poglądów nastąpiła między okresem, kiedy miał trzydzieści kilka lat, a czasem obecnym. To znów czysta manipulacja. Wielka przemiana niegdysiejszego inteligentnego i rzeczowego obrońcy Kościoła przed modernistyczną rewolucją to zjawisko w swojej najbardziej wyrazistej fazie obejmujące ostatnie pięć lat.

Najważniejszym momentem zmiany poglądów Terlikowskiego był wywiad w TVN24 latem 2022 r., w którym dziennikarz tej stacji Piotr Jacoń, powołując się na swoje doświadczenie ojca transpłciowej córki (co wyraźnie zaznaczał), skłonił Terlikowskiego do pierwszej z licznych później samokrytyk i odcinania się od wcześniejszych poglądów.

Ten przełom widać też, śledząc listę publikacji książkowych Terlikowskiego.

Jeszcze w latach 2020–2021 wydawał takie tytuły jak: „W szkole Maryi. Różaniec z Wenantym Katarzyńcem", Kraków 2020; „Iskra wyjdzie z Polski. Apokaliptyczne objawienia Miłosierdzia Bożego", Kraków 2020; „Ursula de Jesus. Cierpienia dusz czyśćcowych w relacji XVII-wiecznej mistyczki z Peru", Kraków 2020 czy „Franciszek Blachnicki. Ksiądz, który zmienił Polskę", Kraków 2021.

Po granicznej dacie 2022 r. wcześniejsze liczne biografie postaci zasłużonych ludzi Kościoła wyparowały z listy zainteresowań Terlikowskiego jak kamfora.

Ukazały się za to już tylko trzy pozycje: „Wygasanie. Zmierzch mojego Kościoła", Kraków 2023; „To ja, Judasz. Biografia apostoła", Wydawnictwo Literackie 2024; „Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski", SIW Znak, Kraków 2024 – wszystkie o dużym ładunku transgresji lub krytyki Kościoła.

Najnowsza książka bohatera tego tekstu – „Szaweł – historia prawdziwa" – zapowiada się raczej jako polemika z tradycyjnym postrzeganiem św. Pawła.

DROGA NA SKRÓTY

Terlikowski do powodów swojej metamorfozy światopoglądowej dorzuca doświadczenie przewodzenia komisji powołanej przez zakon dominikanów dla wyjaśnienia nieprawości, których dopuścił się zakonnik tego zgromadzenia o. Paweł M. Nie wszystko oczywiście ze swojego dawnego światopoglądu Terlikowski porzuca. Choć trudno nie odnieść wrażenia, że jest to raczej kokieteryjne zastrzeganie się, iż w sumie tak bardzo się nie zmienił. Podkreśla, że sam siebie uważa za konserwatystę; choć zaznacza, iż nie uważa „gender" za ideologię, to subtelnie dorzuca, że wciąż nie zgadza się z tezą, że „płeć jest uwarunkowana tylko kulturowo, bo ma także wymiar biologiczny".

Niekiedy jednak w jednym zdaniu potrafi on pomieszać mnóstwo wątków na wzór splątanego węzła. Próbka? Proszę bardzo: „Ostrożnie podchodzę do koncepcji wielości płci, większość ludzi przeżywa płeć w jeden z dwóch sposobów, ale nie kwestionuję tego, że są osoby, które przeżywają płeć inaczej".

To ostatnie zdanie jest bardzo typowe dla nowego sposobu myślenia Terlikowskiego. Nie ma mowy o jakiejś obiektywnej ocenie rzeczywistości. Ważne jest tylko to, za kogo ktoś siebie uważa. I w myśl tej zasady niegdysiejszy szef TV Republika mówi, że ostrożnie podchodząc do koncepcji wielości płci, jednocześnie nie kwestionuje tego, że są osoby, które przeżywają płeć inaczej. Można się domyślić, że w myśl tej zasady, np. w wypadku sporu w sporcie o udział osób o ewidentnych cechach fizycznych męskich w zawodach kobiecych, dla Terlikowskiego kluczowe będzie uszanowanie przekonania, że osoby takie uznają się za kobiety i wszelkie zabranianie im startu z innymi zawodniczkami jest zamachem na ich godność. I na dodatek grzechem z punktu widzenia chrześcijańskiego szacunku dla bliźniego.

HOMO, WIADOMO!

Ale cała pierwsza faza rozmowy to tak naprawdę wstęp do ideowego „głównego dania", czyli tematu związku osób jednej płci. Na pytanie: „Czy dwójka kochających się kobiet może stworzyć rodzinę?" Terlikowski odpowiada: „Może, i wiele takich par tworzy (rodzinę). Możemy prawnie się spierać, czy pary homoseksualne mogą być uznawane za małżeństwa, ale nie ma wątpliwości, że są to pełnowartościowe rodziny. Jeżeli ludzie żyją razem i się wspierają, są rodziną. Niektóre homoseksualne pary wychowują nawet dzieci i uważam, że mają do tego prawo. I znów możemy się spierać, czy dopuścić do adopcji dziecka przez parę jednopłciową, ale są już takie pary, które wychowują dzieci adoptowane przez jednego z partnerów. To się dzieje i to są dzieci tych ludzi, mają prawo je wychowywać. Osobną kwestią jest też przysposobienie (prawna procedura uznania dziecka za własne) dziecka z poprzedniego związku jednego z partnerów. To moim zdaniem dla dobra dziecka powinno być możliwe".

Terlikowski stawia tezę, że pary homoseksualne powinny być uznawane

eprasa.pl b1c25d5852

za małżeństwa i że są to pełnowartościowe rodziny. Jest to zdanie oczywiście sprzeczne z nauczaniem Kościoła. Ale po postawieniu tezy sprzecznej z dotychczasowym nauczaniem katolickim Terlikowski puszcza oko do swoich bardziej konserwatywnych zwolenników. „Możemy prawnie się spierać, czy pary homoseksualne mogą być uznawane za małżeństwa". Jeśli Terlikowski uważa homozwiązki za pełnowartościowe rodziny, to niby dlaczego stawia pogląd, że można się w tej sprawie spierać? Bo co? Bo to jest jakaś sprawa mało ważna? Tak jak wybór, czy chce się lody waniliowe czy truskawkowe w cukierni? Jeśli dokonał zmiany poglądów i uważa homozwiązki za rodziny takie jak wszystkie, to po co ta wzmianka o możliwości spierania się?

Kolejny etap w rozmowie Słowińskiego z Terlikowskim to problem stawiany przez dziennikarza „Gazety Wyborczej": „Dla takich rodzin nie ma miejsca w Kościele". I tu oczywiście Terlikowski rozpoczyna opowieści, których nie można zweryfikować, o matce, której kapłan poradził, żeby córkę lesbijkę wypędziła z domu. Kolejna opowieść Terlikowskiego mająca budzić moralne oburzenie to opowieść o rodzinie dwóch mężczyzn, którzy są razem od wielu lat, ale ich rodziny nigdy się ze sobą nie spotkały. Terlikowski puentuje tę sytuację tak: „Dlaczego (tak postępowały)? Bo są religijne. Przeraża mnie to zwłaszcza dlatego, że powodem tych sytuacji ma być katolicyzm. Pytam: Czy to naprawdę jest katolicyzm?".

Dlaczego Terlikowski odmawia tym rodzinom moralnego stosunku do związku, którego nie akceptują? Zaznaczmy, że Terlikowski nie podaje, iż owe rodziny zerwały stosunki z jednym czy drugim mężczyzną. Być może obdarzają ich miłością, ale np. nie chcą, aby taka para przychodziła na ich imieniny czy urodziny ojca czy matki? Czy mają czy nie mają do tego prawa?

Zresztą Terlikowski bardzo sprawnie miesza te rzeczy, bo chwilę potem wdaje się w rozważania: „Oczywiście niektórym osobom chodzi o to, aby w ten sposób »naprostować« swoje dzieci. Czym zatem jest miłość? Deklaracją czy relacją? Jest powiedzeniem: »bardzo cię kocham, więc zrywam z tobą relacje« czy jednak powiedzeniem: »bardzo cię kocham, chcę być z tobą blisko, nawet jeśli nie rozumiem czy nawet jeśli jest to dla mnie trudne«".

Porównajmy te dwa zdania. W swoim pierwszym przykładzie Terlikowski nie wspomina, że rodziny dwóch mężczyzn żyjących w stałym związku zerwały relacje ze swoimi bliskimi. Jako zarzut stawia jedynie, że obie rodziny partnerów nie utrzymują ze sobą – domyślam się – towarzyskich relacji. Parę linijek później wkłada w usta swoich potencjalnych podmiotów krytyki sprawdzone do karykatury stanowisko: „Bardzo cię kocham, więc zrywam z tobą relacje".

Trudno nie uznać takich technik perswazyjnych za psychologiczną i emocjonalną manipulację.

Okładka „Do Rzeczy" nr 28/2016, a na niej Tomasz Terlikowski i Jan Pospieszalski jako obrońcy Polski przed terrorem „postępowców"

RUCHOMY HORYZONT

A więc kolejne bariery padły. Terlikowski jest już zwolennikiem legalizacji małżeństw osób tej samej płci i nie widzi problemów w homoadopcji. A jednocześnie uwielbia w swoim stylu prowokować. „Część katolików uzna moje słowa za herezję? Nie mam z tym problemu". Terlikowski nie oprotestowywał tak wyzywającego tytułu w „Gazecie Wyborczej", ale gdy wybuchło oburzenie po prawej stronie, już na swoim koncie na Facebooku natychmiast wchodzi w rolę skrzywdzonej niewinności. Terlikowski pisze: „Herezja to bardzo poważny zarzut i poza jego rzuceniem trzeba go udowodnić. A tego nikt nie zrobił, a nie zrobił, bo nie ma w moich słowach zanegowania żadnego dogmatu Kościoła. Nie ma w nich również relatywizmu moralnego, bo ja nigdzie nie zanegowałem istnienia obiektywnych norm moralnych i prawa moralnego".

Gdy czytałem te słowa, uświadomiłem sobie, że tego typu ekwilibrystyka staje się w polskim Kościele coraz częstsza. Niedawno wydawnictwo Więź opublikowało książkę jezuity Jamesa Martina „Budując most – jak Kościół katolicki i społeczność LGBT mogą nawiązać relację opartą na szacunku, współczuciu i delikatności". W przedmowie do książki ks. Jacek Prusak, także jezuita, ale i psychoterapeuta, pisze o trudnej sytuacji katolików LGBT. I teraz – jak wyjaśnia – nie wystarcza, że mają kochać Boga i bliźniego, muszą jeszcze pamiętać, że Bóg ich kocha, ale nie w pełni. Prusak tak definiuje rzekome przesłanie Kościoła dla nich: „Bóg nie kocha twojej orientacji. Nie stworzył cię takim, jakim jesteś, nie możesz też w pełni akceptować siebie, bo to grzech". Prusak w oskarżycielskim tonie buduje puentę: „Przez takie narracje osoby queerowe przypłacają chęć bycia w Kościele zdrowiem psychicznym".

Zarówno w wypowiedziach Terlikowskiego, jak i w słowach ks. Jacka Prusaka pojawia się swoisty szantaż moralny. Albo wbrew tradycyjnemu nauczaniu Kościoła będą oni przekonywani o całkowitej akceptowalności swojego typu związków, albo inaczej każdy, kto zachęca ich do niewchodzenia w tego typu relacje, naraża się na zarzut pchania ich w kierunku depresji lub nawet groźby samobójstwa. A w ślad za tym idzie oczywiście potępienie wszelkich prób analizy, czy można odejść od takiej skłonności.

Wszystko musi się odbywać na zasadzie albo – albo. Albo stuprocentowa akceptacja, albo wzięcie na siebie moralnej odpowiedzialności za tragedię. I znów nie sposób nie zwrócić uwagi na wysoce manipulacyjny charakter tego typu retoryki. Uwielbia ona przedstawianie skrajnych przypadków, dramatycznych scenariuszy życiowych i swoisty maksymalizm etyczny.

Paweł Milcarek, twórca kwartalnika „Christianitas", po przeczytaniu tego wywiadu napisał: „To ostateczny pogrzeb Tomka Terlikowskiego, którego pamiętamy".

No cóż. Obawiam się, że przed niegdysiejszym publicystą „Frondy" jeszcze niejeden zakręt ideowy. W dziele reformowania myślenia katolików strona liberalna przyjmuje zasadę „ruchomego horyzontu żądań". Przyjdzie zweryfikować jeszcze niejeden dzisiejszy pewnik.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Homorewolucja wchodzi bocznymi drzwiami

Krystian Kratiuk

Szef polskiego rządu do spółki z instytucjami europejskimi spełniają w końcu marzenie środowisk wrogich cywilizacji chrześcijańskiej. Oto polskie urzędy mają uznawać „małżeństwa jednopłciowe" zawarte za granicą. Wszystko dzieje się przy oczywistym łamaniu polskiej konstytucji, nie mówiąc już o tradycji i kulturze

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Trwało to bardzo wiele lat – znacznie więcej niż trwa obecna kadencja Sejmu. Starali się o to politycy, milionerzy, globaliści, celebryci i inni przeróżni promotorzy homoseksualizmu. Ale Polacy dzielnie się bronili.

Aż do teraz. Donald Tusk, przez wiele lat wcale niepałający wielką wolą legalizacji związków jednopłciowych, umiejętnie grający tym tematem, a czasem wręcz szantażujący tęczową część wyborców, w końcu zdecydował się na ten ruch. To on bowiem, po chwili wyraźnego wahania mającego po raz kolejny zbadać nastroje społeczne, zdecydował się na haniebny, przechodzący do annałów najgorszych decyzji polskich rządów krok. To za sprawą jego politycznej decyzji rząd zdecydował się na zlecenie Urzędom Stanu Cywilnego transkrypcji aktów „małżeństwa" zawartego przez dwie osoby jednej płci w innych krajach Unii Europejskiej.

Powtórzmy wyraźnie, bo wydaje się, że wciąż mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Nie chodzi o związek partnerski dwóch mężczyzn czy kobiet. Chodzi o małżeństwo. Małżeństwo. Ale osób tej samej płci. Ma być teraz uznawane przez polskie urzędy i traktowane na równi z normalnym, prawdziwym małżeństwem.

NAMASZCZONY PREMIER

Trudno byłoby orzec, dlaczego Tusk zdecydował się na to teraz, gdyby nie postawić mocnej tezy – on w tym właśnie celu wrócił do kraju. Donald Tusk został namaszczony przez europejskie salony, by ostatecznie zdemolować polski, postchrześcijański system wartości i dokończyć rewolucję obyczajową. Dokończyć to znaczy wprowadzić jej żądania do polskiego systemu prawno-administracyjnego. A do tego potrzeba było kilku czynników.

Po pierwsze, należało odsunąć od władzy mniej lub bardziej prawicową prawicę. Tusk sprawdził się w tej kwestii świetnie i doczekał się już naśladowców, na razie na Węgrzech.

Po drugie, należało pokazać konserwatystom, że już nigdy nie będą rządzić bezkarnie. Że czas europejskiej tolerancji dla prawicowych rządów się skończył i że muszą wiedzieć, iż ludzie pokroju Tuska idą odebrać im władzę przy pełnej aprobacie Brukseli. Ale również, że ludzie ci cieszą się brukselskim błogosławieństwem w sprawie… wsadzania konserwatystów do więzienia. To przecież właśnie cieszący się poparciem europejskich salonów Tusk przerwał niepisaną zasadę obowiązującą do tej pory w III RP – straszymy się nawzajem rozliczeniami, ale jednak do więzień na masową skalę się nie wsadzamy. Spektakl najpierw z posłami Maciejem Wąsikiem i Mariuszem Kamińskim, potem z ks. Michałem Olszewskim, posłem Dariuszem Mateckim, wreszcie z listami gończymi za ministrami z rządu PiS i odbieraniem immunitetu takim osobom jak Daniel Obajtek, a także sporządzenie na początku kadencji „listy Sienkiewicza", a więc listy konserwatywnych, prawicowych czy chrześcijańskich

eprasa.pl b1c25d5852

organizacji, na które należało znaleźć haka, służyły konkretnemu celowi. Wszystko to miało pokazać zarówno polskim politykom, jak i politykom prawicy w innych krajach europejskich, że czas, w którym mogą swobodnie rządzić oraz starać się o rząd dusz, się skończył. Że wysłannicy Brukseli zrobią wszystko, by konserwatyści nigdy nie doszli do władzy, a tam, gdzie rządzą, upadli z hukiem.

Po trzecie wreszcie, Tusk przyniósł ze sobą obietnicę ostatecznego rozwiązania kwestii moralności chrześcijańskiej w polskim systemie prawnym. To dlatego próbował – wbrew konstytucji – przeforsować ustawę o aborcji, a zdawszy sobie sprawę z parlamentarnej arytmetyki i braku obsadzenia przez jego człowieka Pałacu Prezydenckiego, zdecydował się na obejście prawa. Zwróćmy bowiem uwagę, że protesty środowisk feministycznych, wszystkie te czarcie marsze i inne przerażające widowiska za czasów rządu PO nie powróciły na ulice. A przecież prawo się nie zmieniło. Dlaczego więc nie protestują? Myliłby się ten, kto chciałby zadowolić się odpowiedzią mówiącą, że tamte protesty służyły tylko odsunięciu PiS od władzy. Otóż za rządów Donalda Tuska po prostu aborcja, choć nie jest legalna, de facto nie jest też nielegalna – ponieważ nikt nie ściga lekarzy dokonujących morderstw prenatalnych w podziemiu ani matek zlecających dzieciobójstwo. A mówi się nawet o 100–150 tys. takich przypadków w roku. Część z nich dokonywana jest bez udziału lekarza, mowa bowiem o tzw. aborcjach farmakologicznych, wykonywanych w domu przy wsparciu organizacyjnym instytucji feministycznych. Ich też nikt nie ściga. I nikogo to nie obchodzi. Nie obchodzi to policji, prokuratury, rzecznika praw dziecka – wszystko właśnie dzięki politycznym decyzjom Tuska.

W efekcie czytamy o takich sytuacjach jak pomoc Aborcyjnego Dream Teamu w wykonaniu aborcji selektywnej na jednym z bliźniaków. Tego, który przeżył, rodzice i lekarz oszczędzili, gdyż chcieli mieć jedno dziecko. Zdarzyły się dwa, więc jedno skazano na śmierć. Jeszcze kilka lat temu organizacja ta nigdy nie zdecydowałaby się na publiczne ogłaszanie takiego barbarzyństwa. Dzisiaj jednak jej członkowie wiedzą, że mogą.

ZŁAMANA KONSTYTUCJA

Najpierw Andrzej Duda, a potem Karol Nawrocki na urzędzie prezydenta zapowiadali wetowanie wszelkich ustaw dotyczących kolejnego arcyważnego tematu dla europejskiej, antychrześcijańskiej rewolucji. Ale Tusk postanowił obejść i ten problem. Po ponad dwóch latach upewniania się, że wszelkie próby naginania lub łamania konstytucji uchodzą mu płazem, że media wciąż otaczają go parasolem ochronnym, a Bruksela przestała interesować się polską praworządnością minutę po ogłoszeniu wyników wyborów parlamentarnych z roku 2023, podjął decyzję, że dokona nad Wisłą homorewolucji, całkowicie ignorując konstytucję.

Wpisanie do polskiej konstytucji formuły „związek kobiety i mężczyzny" miało zapobiec uznawaniu lub tworzeniu instytucji podobnych do małżeństwa dla par jednopłciowych. Czyli dokładnie temu, co robi dziś Tusk

To bowiem właśnie oznacza decyzja o transkrypcji aktów tzw. małżeństw jednopłciowych. Trwa przy tym festiwal obłudnego rozdwojenia jaźni polityków rządzącej koalicji – jedni z nich głoszą bowiem, że chodzi wyłącznie o techniczną rejestrację dokumentu, inni zaś triumfalnie ogłaszają, że polscy obywatele tej samej płci mogą w końcu, oczywiście dzięki Unii Europejskiej, zostać uznani za małżeństwo w Polsce. I w jednym mają rację – to wszystko rzeczywiście dzieje się z inicjatywy instytucji unijnej, którą jest Trybunał Sprawiedliwości UE. Jego orzeczenie, potwierdzone przez polityczną decyzję polskiego NSA, rzeczywiście daje im taką możliwość. Ale wyrok TSUE stanowi ewidentne naruszenie kompetencji państwa członkowskiego – Polski – gdyż Unia Europejska nigdy nie otrzymała kompetencji do regulowania prawa małżeńskiego i rodzinnego w konkretnych krajach.

A przecież zarówno decyzja NSA, jak i nieuprawnione żądanie sędziów unijnych, a także sama polityczna decyzja Tuska stoją w rażącej sprzeczności z zapisami polskiej konstytucji. Ta mówi o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny. Wpisanie zagranicznego aktu małżeństwa dwóch osób tej samej płci do polskiego rejestru narusza zatem podstawowe zasady porządku prawnego Rzeczypospolitej.

Artykuł 18 konstytucji stanowi wszak normę wykluczającą możliwość prawnego traktowania związków jednopłciowych jak małżeństw. Z rozlicznych analiz prawnych, w tym dokonywanych przez Ordo Iuris, jasno wynika oczywistość – wpisanie do konstytucji formuły „związek kobiety i mężczyzny" nie było przypadkowe, ale w pełni świadome, i miało zapobiec uznawaniu lub tworzeniu instytucji podobnych do małżeństwa dla par jednopłciowych. Czyli dokładnie temu, co robi dziś Tusk.

Mimo że kierownicy Urzędów Stanu Cywilnego powinni odmawiać transkrypcji związków jednopłciowych, rząd wywiera na nich polityczną presję. W zdecydowanej większości dużych polskich miast (a to w nich przecież głównie mieszkają owi europejscy „homomałżonkowie") rządzi przecież partia Tuska. A kierownicy urzędów obsadzani są przez prezydentów i burmistrzów miast…

LATA PRÓB

Tak oto, po wszystkich tych zręcznych manipulacjach i nadużyciach, Tusk może zameldować w Brukseli wykonanie zadania. Może jeszcze nie ostatecznie, może jeszcze nie da się obwieścić triumfu, gdyż prezydent jeszcze przez parę lat będzie blokował rozwiązania wprost zmieniające prawo, ale już można zasłużyć na solidną pochwałę europejskich przywódców. Nie tylko politycznych, lecz także ideologicznych.

Warto bowiem przypomnieć, że triumf homorewolucji w Polsce – a tym byłoby ustawowe zrównanie praw homozwiązków z małżeństwem kobiety i mężczyzny – jest w Brukseli oczekiwany od dziesiątków lat. W referendum, w którym Polacy mieli zdecydować o wejściu do Unii, nie

eprasa.pl b1c25d5852

było jednak o tym ani słowa. Ci, którzy przestrzegali przed prohomoseksualnymi zakusami eurokratów, wyzywani byli wtedy od oszołomów, ciemniaków i faszystów oraz marginalizowani. Większość z nas nadal dobrze to pamięta.

Jednak mało kto dziś pamięta, że już parę miesięcy po decyzji Polaków w referendum rządząca wówczas postkomunistyczna lewica przygotowała swoisty prezent dla wspaniałomyślnie przyjmujących nas do swego grona zachodnich Europejczyków. Oto już na przełomie lat 2003 i 2004 powstał senacki projekt ustawy o związkach partnerskich, promowany wówczas przez Marię Szyszkowską. Dotyczył par jednopłciowych i miał dawać m.in. ochronę majątkową, dziedziczenie, możliwość regulacji wspólnego dorobku, dostęp do informacji i niektóre przywileje małżeństw. Po zmasowanej kampanii wysyłania listów do senatorów – inspirowanej przez Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi – projekt upadł.

Lewica wracała do tej sprawy później kilkukrotnie, zawsze z tym samym rezultatem. SLD samodzielnie proponował kolejny projekt w roku 2011, potem ramię w ramię z Ruchem Palikota w 2013 r., a w ramach petycji obywatelskiej tożsame środowiska apelowały o to do Sejmu w 2017 r. W aktualnej kadencji parlamentu upadł kolejny już projekt Lewicy, ale nadal procedowany jest rządowy projekt ustawy o „statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu".

DEKADY PROPAGANDY

A przecież równolegle do prób legislacyjnych wciąż trwa równie ważna walka, mająca na celu zmianę poglądów Polaków na temat homoseksualnego stylu życia oraz przywilejów, które miałyby należeć się na równi związkom jednopłciowym i małżeństwu. Wydano na nią gargantuiczne pieniądze, przez ponad dwie dekady homopropagandy liczone już z pewnością w dziesiątkach miliardów dolarów.

W 2003 r. Kampania przeciw Homofobii uruchomiła akcję „Niech nas zobaczą", pierwszą tak dużą kampanię społeczną pokazującą gejów i lesbijki w przestrzeni publicznej. Od 2001 r. w Warszawie, a od 2004 r. również w innych miastach zaczęto organizować tzw. marsze równości, którymi kroczą rozmaici ludzie, nierzadko roznegliżowani, demonstrujący swoje przywiązanie do swobody seksualnej i najdziwniejszych dewiacji, jak choćby człapiący na czworaka mężczyźni przebrani w skórzane maski psów.

W latach 2010–2011 prowadzono ogólnopolską kampanię „Miłość nie wyklucza", która promowała związki partnerskie i pokazywała pary jednopłciowe na plakatach oraz billboardach w kilkunastu miastach.

W 2016 r. Kampania przeciw Homofobii zainicjowała Tęczowy Piątek – szkolną akcję „solidarności z młodzieżą LGBTQI+". Pierwsza edycja objęła 75 szkół, a później liczba zaangażowanych w nią szkół rosła. I rośnie do dziś.

W 2016 r. wystartowała kampania „Przekażmy sobie znak pokoju", przedstawiana przez KPH jako pierwsza w Polsce wspólna akcja organizacji LGBT i niektórych, skrajnie progresywnych środowisk katolickich.

W 2019 r. prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podpisał Warszawską Deklarację LGBT+, przygotowaną przy udziale Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza i organizacji społecznych. Dokument miał rozpoczynać „proces wdrażania rozwiązań dotyczących bezpieczeństwa i równego traktowania społeczności LGBT+ w stolicy". W tym samym roku Trzaskowski objął warszawską „paradę równości" patronatem prezydenta stolicy, a udział w wydarzeniu lub jego promocji wzięli rozliczni celebryci, m.in. Margaret, Natalia Siwiec, Maffashion, Maja Ostaszewska, Kayah, Dawid Podsiadło, Doda, Martin Stankiewicz, Aleksandra Domańska czy Honorata Skarbek.

Na początku 2020 r. Bart Staszewski zaczął fotografować się przy miejscowościach, których samorządy przyjęły uchwały prorodzinne, ustawiając przy nich tymczasowe tablice „LGBT-free zone". Ta kłamliwa akcja wywołała wielkie reperkusje międzynarodowe.

We wrześniu 2020 r. kilkudziesięciu ambasadorów i przedstawicieli organizacji międzynarodowych podpisało list poparcia dla praw osób LGBT w Polsce z konkretnymi żądaniami wobec polskich władz. Zdumiewająca, skrajnie daleka od zasad dyplomacji akcja była ponawiana w kolejnych latach. Ambasador USA Georgette Mosbacher ośmieliła się nawet powiedzieć, że uważa, iż „w tej sprawie Polska stoi po złej stronie historii".

Wymieniłem tu tylko niektóre starania homoseksualnej międzynarodówki, nie wspomniawszy przecież nawet o tak mocno oddziałujących na odbiorców kanałach propagandy, jak telewizyjne programy rozrywkowe, hollywoodzkie filmy i seriale z serwisów streamingowych, każdego dnia tłukące do głów Polaków, że „it's OK to be gay".

BÓG I BOŻKI

Mimo tego po latach tych starań i strumienia zagranicznych pieniędzy, dzięki niezłomnej walce licznych polskich środowisk patriotycznych, konserwatywnych, katolickich i prawicowych, wciąż nie nastał w Polsce taki układ polityczny, który mógłby wprowadzić do prawodawstwa ustawę o związkach partnerskich, nie mówiąc już nawet o homomałżeństwach.

Robi to teraz, bocznymi drzwiami, Donald Tusk. Ten sam, który kilka dni później klękał i przeżegnał się przed grobem Jana Pawła II.

Premierowi zadedykujmy zatem słowa polskiego papieża, wypowiedziane po jednej z pierwszych prohomoseksualnych rezolucji Parlamentu Europejskiego. „Trzeba jednak powiedzieć, że rezolucja Parlamentu Europejskiego domaga się prawnego uznania nieładu moralnego. Parlament w sposób nieuprawniony nadał walor prawny zachowaniom dewiacyjnym, niezgodnym z zamysłem Bożym" – mówił Ojciec Święty 20 lutego 1994 r. na Placu św. Piotra. „Nie może stanowić prawdziwej rodziny związek dwóch mężczyzn lub dwóch kobiet, a tym bardziej nie można przyznawać takim związkom prawa do adopcji osieroconych dzieci. Dzieciom tym wyrządza się poważną krzywdę, ponieważ w takiej rodzinie zastępczej nie znajdują ojca i matki, ale dwóch ojców albo dwie matki" – tłumaczył papież Polak.

Jan Paweł II komentował wówczas „rezolucję w sprawie równych praw homoseksualistów i lesbijek we Wspólnocie Europejskiej". Tak samo zapewne skomentowałby dziś wyroki, orzeczenia i decyzje TSUE, NSA i Donalda Tuska. Ale zagraniczni przyjaciele Tuska z pewnością skomentują to inaczej. Ze sporą radością, iskrą pogańskich bogów, kwieciem elizejskich pól.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl b1c25d5852

Klientelizm ponad podziałami

Premier Donald Tusk składa w Sejmie informację o sytuacji międzynarodowej i bezpieczeństwie Polski. W ławie sejmowej siedzą posłowie PiS (od lewej): Ryszard Terlecki, Jarosław Kaczyński, Mariusz Błaszczak, 7 marca 2025 r. FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Ten Prusom gardłuje, ten Wiednia partyzant,
ów ruskiej się chwyta sukienki.
A troską każdego szczęśliwa ojczyzna –
stąd modły, przekleństwa i jęki.

Łukasz Warzecha

Prawo i Sprawiedliwość czapkuje Ameryce, Koalicja Obywatelska – Unii Europejskiej. Różnice w postawach są subtelne, ale istotne. Z kolei Konfederacja i partia Razem z chęci wyzwolenia się z tradycyjnych kompleksów zrobiły wręcz swój znak firmowy

Tak w piosence „Elekcja" z 1993 r. podsumowywał I Rzeczpospolitą Jacek Kaczmarski. Jak jednak wiadomo, przedwcześnie zmarły bard pod figurą Rzeczypospolitej Obojga Narodów maskował na ogół Polskę współczesną, jaką widział wokół siebie. Była w tym i taka myśl, że pewne rzeczy się nie zmieniają i tak jak pogrążały republikę szlachecką, tak mogą pogrążać kraj po odzyskaniu pełni suwerenności, po 1989 r.

Jakiś czas temu, a było to już kilka tygodni po rozpoczęciu wojny USA i Izraela z Iranem, zdarzyło mi się prowadzić na kanale Super Ring rozmowę z jednym z posłów PiS. Pytałem go, czy rozpoczynając uderzenie na Iran, Donald Trump nie zagroził jednak naszemu bezpieczeństwu. Raz, że cały światowy układ dostał w ten sposób potężny cios i tak już rozchwiana równowaga zachwiała się jeszcze bardziej. Dwa, że wiążąca się z tym podwyżka cen ropy stanowi obciążenie dla całego prawie Zachodu, także dla Polski. Pieniądze, które musimy wydać na droższe ropę i gaz moglibyśmy zamiast tego wydać na zbrojenia. A przecież i tak mamy fatalną sytuację budżetową. Po trzecie – Stany Zjednoczone nadwyrężają potężnie własne zasoby oraz siły w konflikcie bez wyraźnego celu i zakończenia, przez co coraz mniej uwagi mogą poświęcić naszej części świata, a więc stają się coraz mniej pewnym sojusznikiem. W ten sposób sprzyjają również narracji centralistów unijnych, którzy argumentują, że Unia Europejska musi się jednoczyć, rezygnując z weta, aby być w stanie zastąpić w kwestiach bezpieczeństwa USA.

eprasa.pl b1c25d5852

O to wszystko pytałem wspomnianego posła, który jednak wił się jak piskorz, byle nie powiedzieć jednego krytycznego słowa na temat amerykańskiej administracji. Po programie, już poza kamerami, zauważyłem w rozmowie z nim, że taka postawa nie za bardzo pozwala poszerzać bazę wyborców, ponieważ coraz większa część Polaków o poglądach ogólnie prawicowych jest krytyczna wobec działań Stanów Zjednoczonych. Poseł zafrasował się i odrzekł: „No wiem, wiem. Ale prezydent Trump jest tak wrażliwy, tak bardzo trzeba uważać, co się na jego temat mówi!".

W tej anegdocie uderzają dwie kwestie. Pierwsza to przekonanie posła partii, zapatrzonej w Amerykę jak w obrazek, że Biały Dom drobiazgowo analizuje każdą wypowiedź każdego, nawet trzeciorzędnego przedstawiciela partii opozycyjnej i na tej podstawie może kształtować swoją politykę. Takie widzenie USA to nakładanie na to państwo klisz z Polski, gdzie personalne niesnaski mogą być ważniejsze niż jakiekolwiek racje strategiczne. To również zaprzeczenie istnieniu instytucjonalnego systemu czy tzw. głębokiego państwa (deep state), stabilizującego kurs Ameryki niezależnie od tego, kto nią w danej chwili rządzi.

Druga kwestia to paraliżujący strach przedstawiciela polskich wyborców przed wygłoszeniem choćby jednego krytycznego zdania wobec amerykańskiego prezydenta, mimo że taka krytyka nie musi przecież być szaleńcza, frontalna ani agresywna, a też są dla niej wszelkie podstawy. Trudno wskazać, które z tych zjawisk jest gorsze. To drugie wskazuje jednak na niemal zabobonne, magiczne traktowanie przymierza z USA.

CO Z AMERYKAŃSKIMI ŻOŁNIERZAMI?

Opisywana rozmowa odbyła się jeszcze przed sytuacją ze wstrzymaniem – taka przynajmniej jest wersja oficjalna – rotacji pancernej grupy brygadowej (czyli trochę ponad 4 tys. żołnierzy) US Army do Polski. Stan rzeczy przypomina w tej sprawie wojnę na Bliskim Wschodzie. W tym ostatnim przypadku nie wiadomo właściwie, czy ona nadal trwa czy nie, czy aktualnie działa rozejm, czy cieśnina Ormuz jest drożna oraz na jakim etapie aktualnie są negocjacje irańsko-amerykańskie. Dzień przed napisaniem tego artykułu czytałem, że trwa chwiejny rozejm i toczone są rokowania; w dniu pisania przeczytałem, że Amerykanie przeprowadzili kolejne uderzenia na Iran w konsekwencji ataków tegoż dronami morskimi na statki handlowe. Co podobno nie oznacza, że zawieszenie broni się skończyło. Wątpię, żeby ktokolwiek był w stanie zrozumieć, na jakim etapie konflikt się obecnie znajduje. To zresztą również podkopuje amerykańską wiarygodność.

Niestety, w przypadku wojsk amerykańskich w Polsce jest podobnie. Nikt przecież nie odwołał informacji o wstrzymaniu przyjazdu do Polski grupy brygadowej. Nikt również nie przedstawił nam przyczyn takiej decyzji. Ba, nie jest nawet jasne, czy w końcu polscy politycy, ci najważniejsi, wiedzieli o tym posunięciu, zanim zaczęły o nim informować media. Nie bardzo także wiadomo, co oznacza wpis Donalda Trumpa na portalu Truth Social, w którym zapowiedział on, że do naszego kraju ma trafić „dodatkowe" 5 tys. żołnierzy. Dodatkowe – w stosunku do czego? Do stanu po wstrzymaniu rotacji czy dodatkowe oprócz rotowanych żołnierzy, którzy jednak do Polski przyjadą? Skąd ci „dodatkowi" żołnierze mają się wziąć? Czy będą to oddziały wycofywane z Niemiec czy przyjadą z samej Ameryki? A może z jeszcze innego regionu? Nie wie tego zapewne również prezydent Karol Nawrocki, który chełpi się, że „decyzja" jest skutkiem jego specjalnych relacji z prezydentem Trumpem. Na razie jednak trudno pisać słowo „decyzja" bez cudzysłowu, skoro mówimy tylko o wpisie w mediach społecznościowych. Nie znamy żadnych konkretów ani harmonogramu.

W postawie PiS wobec USA pod przywództwem prezydenta Trumpa pojawia się w dodatku paradoks. Obchodzenie się z amerykańską administracją jak z jajkiem potwierdzałoby mianowicie złośliwe diagnozy polskich trumpofobów, twierdzących, że Trump jest nadwrażliwym narcyzem, niezdolnym do przyjęcia jakiejkolwiek krytyki, a jego prywatne upodobania i fobie kształtują strategię Stanów Zjednoczonych. Trudno powiedzieć, czy politycy partii Jarosława Kaczyńskiego zdają sobie sprawę z tego paradoksalnego wymiaru ich własnych opinii.

Żeby zrozumieć, jak przemożna jest potrzeba znalezienia zagranicznego patrona po tej stronie sceny politycznej, warto przypomnieć sobie jeszcze sytuację sprzed sześciu lat. Donald Trump przegrał wybory jesienią 2020 r., a Joe Biden objął rządy na początku roku kolejnego. Dla tradycyjnie bijących pokłony przed Waszyngtonem polityków PiS był to potężny problem, bo w polskiej polityce główne obozy są kompletnie niezdolne do oddzielania spraw strategicznych od światopoglądowych. Dlatego jednym z naczelnych argumentów PiS na rzecz podziwu dla Trumpa są elementy jego polityki wewnętrznej, takie jak uderzenie w ruch woke czy walka z nielegalną imigracją, choć jako żywo dla Polski nie ma to niemal żadnego znaczenia. Analogicznie dojście do władzy prezydenta z nominacji demokratów, z progresywną agendą, spowodowało, że PiS z jednej strony nie mógł wyrzec się swojej strategicznej uległości wobec USA; z drugiej – trudno było deklarować wieczną przyjaźń z lewicowym prezydentem. Można powiedzieć, że wojna na Ukrainie spadła PiS z nieba – jakkolwiek niesmacznie by to brzmiało. Wobec Rosji, wspólnego wroga, obsesyjnie wręcz antyrosyjski PiS mógł uznać, że światopoglądowe różnice z Joe Bidenem nie mają już znaczenia i można powrócić do retoryki wiecznej przyjaźni z Ameryką. Zabawnie było przypomnieć sobie kpiny z „dziadka Joe", wypisywane na Twitterze wcześniej przez niektórych polityków PiS, gdy później ci sami politycy rozpływali się w zachwytach nad amerykańskim przywódcą podczas jego niespecjalnie zresztą udanej podróży do Polski w lutym 2023 r.

PODKOPYWANIE POCZUCIA BEZPIECZEŃSTWA

Donald Trump generuje dzisiaj dla Prawa i Sprawiedliwości podobny kłopot jak niegdyś Biden – tyle że na odwrót. Tutaj istnieje daleko idąca zgodność retoryczna w sferze światopoglądowej, lecz coraz bardziej problematyczne stają się konkretne działania waszyngtońskiej administracji, funkcjonalnie wspierając unijną orientację przeciwnego obozu politycznego. Ameryka jest przez Polaków uznawana za coraz mniej wiarygodnego partnera i jest to właśnie pokłosie prezydentury

eprasa.pl b1c25d5852

Donalda Trumpa. Aczkolwiek przyznać trzeba, że nasz kraj i tak wyróżnia się wciąż na tle innych państw UE.

W niedawnym badaniu serwis Politico zapytał respondentów w 24 europejskich krajach, czy byliby za ulokowaniem (bądź utrzymaniem, jeżeli już tam są) amerykańskich baz wojskowych. Tylko w dwóch państwach liczba zwolenników takiego rozwiązania przewyższała liczbę jego przeciwników: w Rumunii (39,8 do 37,3 proc.) oraz w Polsce. I tylko u nas odsetek zwolenników amerykańskich baz był wyższy niż połowa badanych: wyniósł 50,6 proc., 23,2 proc. było przeciwko. To ewenement. Na przykład we Francji było to zaledwie 10,1 do 57,7 proc., w Niemczech – 29,8 do 39 proc., a w Danii (chwilowo wygaszony spór z Ameryką o Grenlandię) 13,2 do aż 62,2 proc. Przy czym nietrudno zrozumieć, że Polacy w bazach USA upatrują sposobu na zwiększenie bezpieczeństwa, którego poczucie nieustannie podkopywane jest nawet nie tyle działaniami Rosji lub wypowiedziami jej przedstawicieli – które mało kto w naszym kraju śledzi – ile bardziej wypowiedziami rodzimych polityków, takimi jak ta Donalda Tuska, że kraj NATO zostanie zaatakowany przez Władimira Putina już w ciągu najbliższych miesięcy. Ta motywacja wyjątkowego wyniku sondażu przeprowadzonego w Polsce to jednakowoż coś odmiennego od programowego klientelizmu, prezentowanego od lat przez ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego.

Klientelizm ma jednak więcej niż jedną postać. Po przeciwnej stronie równie długa jest tradycja czapkowania Brukseli. Nie ma tutaj jednak, zwłaszcza obecnie, stuprocentowej równowagi. Różnice w postawach są subtelne, ale istotne. Postawa klientelizmu wobec Waszyngtonu jest czytelniejsza, ponieważ dotyczy konkretnego państwa z jednym, prezydenckim ośrodkiem władzy. Dlatego też niekonsekwencje czy problemy są w tym wypadku znacznie czytelniejsze i wyraźniejsze. UE natomiast z samej swojej natury jest bardziej „magmowata", a ogólna deklaracja „bycia europejskim" daje jednak większe możliwości manewru, z których Donald Tusk dzisiaj umiejętnie korzysta. Źródła władzy w UE są trudniejsze do odkodowania, są bowiem rozdzielone pomiędzy Komisję Europejską – jedyny organ, wyposażony w inicjatywę ustawodawczą, Parlament Europejski – mający swój udział w procedurze współdecydowania, unijną biurokrację, która zwłaszcza w strukturze KE działa z zaskakującą inercją, a wreszcie – najważniejsze unijne stolice, reprezentowane na spotkaniach Rady UE oraz Rady Europejskiej (ta ostatnia nie jest organem decyzyjnym).

W polskiej polityce główne obozy są kompletnie niezdolne do oddzielania spraw strategicznych od światopoglądowych

NIECHĘĆ DO PROWADZENIA SUWERENNEJ POLITYKI

To rozmycie powoduje, że bezwzględna „europejska" lojalność obozu lewicy wizerunkowo jest elastyczniejsza niż amerykańska lojalność obozu PiS. Możliwe jest chociażby dystansowanie się – przynajmniej deklaratywne – wobec niektórych pomysłów Komisji Europejskiej, np. dotyczących dalszych postępów Zielonego Ładu, ale nie wobec samej UE, ponieważ zawsze można odnieść się do innych instytucji lub innego zakresu działań wspólnoty. Tusk – na co zwracał ostatnio uwagę w ciekawej analizie Paweł Musiałek, prezes Klubu Jagiellońskiego – umiejętnie przejął część postulatów PiS i czy to się podoba, czy nie, zaczął je częściowo realizować. Dotyczy to np. ograniczenia napływu legalnej imigracji choćby poprzez ostrzejsze reguły, dotyczące przyjmowania zagranicznych studentów (spoza UE).

Nie zmienia to postaci rzeczy, że rdzeniem unijnego klientelizmu, który nieustannie widać w przekazie rządzącej koalicji, jest napływ pieniędzy. Osią sporu z PiS stało się właśnie dlatego KPO, a nowa długoletnia perspektywa finansowa 2028–2035 będzie bez wątpliwości przedstawiana jako gigantyczny sukces. Jest to mocno naciągana teza. W 2025 r., nie licząc środków z KPO (przypominam, że jest to w całości kredyt), czysto finansowy bilans netto środków unijnych wyniósł jedynie 4,6 mld euro, czyli niespełna 20 mld zł. Szału nie ma, a jest wiele kosztów, których takie proste wyliczenie nie bierze pod uwagę, wynikających dla przykładu z konieczności realizowania przez przedsiębiorców absurdalnych zobowiązań także biurokratycznych, związanych z realizacją polityki klimatycznej.

Tak jak w swoim klientelizmie wobec Waszyngtonu PiS obsesyjnie obawia się większej asertywności, tak w polityce unijnej dostęp do coraz mniejszych pieniędzy oraz puste frazesy w rodzaju „praworządności" czy „europejskości" mają uzasadniać pozostawanie w głównym nurcie z okazjonalnymi bryknięciami, które premier może potem przedstawiać jako dowód na to, że dba o polski interes. To posunięcia choćby takie jak spóźnione zaskarżenie do TSUE umowy z krajami Mercosur.

Jeżeli na te dwie postawy spojrzeć z dystansu, to widać jedną ich wspólną cechę: immanentną niechęć czy nawet niezdolność najważniejszych ugrupowań do prowadzenia suwerennej polityki na poziomie koncepcyjnym. Wiadomo, że realistycznie rzecz biorąc, kraj taki jak Polska – tej wielkości, na takim poziomie rozwoju i położony w takim miejscu na mapie – musi mieć sojuszników, dbać o relacje z nimi, starać się zagwarantować sobie poprzez nie pomyślność i względne bezpieczeństwo. Jest jednak zasadnicza różnica pomiędzy traktowaniem sojuszy jako wielowektorowego uzupełnienia naszej własnej polityki i instrumentu jej prowadzenia a bezwolnym w większości podążaniem za oczekiwaniami i żądaniami zewnętrznych metropolii.

Sytuacja nie jest jednak beznadziejna. Skłonność do czapkowania siłom zewnętrznym wydaje się szczególnie silna u polityków starszego pokolenia, w dominujących jeszcze wciąż partiach, w ramach których jest oczywiście replikowana również przez tych młodszych. Mocno odmiennym językiem próbują mówić politycy z ugrupowań aspirujących, które z wyzwolenia się z tradycyjnych kompleksów zrobiły wręcz swój znak firmowy – jak Konfederacja czy po przeciwnej stronie partia Razem. Jak by to jednak wyglądało w praktyce – tego nie wiemy. W wariancie pesymistycznym można założyć, że nastąpiłaby adaptacja członków tych ugrupowań do modelu klientelistycznego, w którym III RP funkcjonuje niemal od swojego zarania.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

JACEK GNIADEK:
„EKONOMIA BOŻA I LUDZKA”,
HANS HERMANN HOPPE:
„KRÓTKA HISTORIA CZŁOWIEKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1017~~ ZŁ

518,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 499 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b1c25d5852

Piotr Gontarczyk

Życiowa misja sędziego Kapińskiego

Sędzia Zbigniew Kapiński podpisał się pod złym wyrokiem w sprawie lustracyjnej Wałęsy i ponosi za ten wyrok współodpowiedzialność. Ale ośmielając się osądzać tę sprawę, należy próbować sprawiedliwie zważyć: Ile jest w tym wszystkim osobistej odpowiedzialności wspomnianego sędziego i czy popełniony ćwierć wieku temu błąd przekreśla inne jego dokonania? Uważam, że nie

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

W 1998 r. zostałem pracownikiem Biura Rzecznika Interesu Publicznego kierowanego wtedy przez sędziego Bogusława Nizieńskiego. W kolejnych latach pomagałem przygotowywać merytorycznie wnioski o lustrację wnoszone przez moich Znamienitych Przełożonych (oprócz rzecznika byli to prokurator Krzysztof Lipiński i sędzia Krzysztof Kauba), ale też wiele godzin siedziałem na sali sądowej w czasie procesów lustracyjnych. Moje kontakty z owym sądem były jednak znacznie szersze: czytałem akta w kancelarii tajnej i sekretariatach, a w czasie tzw. procesów prezydenckich analizowałem dokumenty (m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego), które UOP dostarczał kilka godzin przed posiedzeniami sądu (!). Przez kilka lat obserwowałem i przysłuchiwałem się, z kim w tym sądzie mam do czynienia. Wyglądało to źle: nie wszyscy sędziowie przykładali się do pracy i zachowywali właściwie. Tak jak w przypadku lustracji ówczesnego marszałka Sejmu Józefa Oleksego, w przeszłości agenta wywiadu wojskowego PRL. Niektórzy sędziowie wręcz przymilali się do tego starego, ale jednak wpływowego komucha z PZPR, a potem SLD. Któregoś dnia, szukając w sądzie wypożyczonych z kancelarii tajnej akt sprawy Oleksego, trafiłem do jednego z sędziowskich gabinetów. Napotkałem lustrującego i lustrowanego konsumujących wspólnie butelkę koniaku. Pełna fraternizacja.

Ponieważ sprawa Oleksego była w mojej gestii jako historyka, analizowałem i opracowywałem dla sędziego Nizieńskiego akta archiwalne, podpowiadałem rzeczy istotne, tłumaczyłem dokumenty Agenturalnego Wywiadu Operacyjnego, które były (w rzekomo polskim wojsku) sporządzane po rosyjsku (!). Regularnie bywałem na rozprawach lustracyjnych w tej sprawie.

Pytania zadawane przez sędziego Zbigniewa Kapińskiego, nacechowane znajomością akt i poruszanych zagadnień, przekonały mnie, że mimo kantów i uników (np. przekładanie rozpraw) lustrowanego tu zapadnie wyrok stwierdzający kłamstwo lustracyjne. Tak się stało. Dopiero po kolejnych procesowych wygibasach innych sędziów tę sprawę „skręcono" wyrokiem, że wypełniając oświadczenie lustracyjne na „nie", Oleksy działał „w uzasadnionym błędzie", bo rzekomo nie wiedział, że był agentem wywiadu. To tak samo wiarygodne ustalenie jak to, że Oleksy nie wiedział o nadaniu mu przez wywiad sowiecki w połowie lat 80. pseudonimu Olin.

W innych sprawach lustracyjnych sędzia Kapiński zachowywał się na ogół rzeczowo. Z niektórymi jego wyrokami – np. w sprawie Wałęsy – nie zgadzam się, ale nawet sędzia Bogusław Nizieński wypowiadał się o nim z szacunkiem, zaliczając go do ludzi rzetelnych.

TW „BOLEK"

Ustawa lustracyjna z 1997 r. to porażka III RP. Zawiódł ustawodawca, tworząc ułomne prawo, potem Trybunał Konstytucyjny orzeczeniem z 1998 r. jeszcze je „rozmył", zaostrzając kryteria możliwości uznania kogoś za agenta. Patologie pogłębiło powstające w sądzie lustracyjnym orzecznictwo. Wytworzył się taki obyczaj, że praktycznie niemożliwe było skazanie kogokolwiek bez jakichś rękopiśmiennych dokumentów: zobowiązania, donosu, albo pokwitowania. Współtwórcą tego orzecznictwa był sędzia, którego materiały agenturalne z czasów

eprasa.pl b1c25d5852

PRL znalazły się w archiwum UOP bodaj rok od początków jego orzekania. Kiedy informacje na temat jego przeszłości zostały upublicznione, to z uśmiechem powiedział on, że nie ma dowodów jego współpracy, bo niczego nie napisał i nie podpisał. W takim systemie, wobec skali niszczenia dokumentów SB w latach 1989–1990, w przypadku ok. 90 proc. agentów nie było szans udowodnienia im przed sądem agenturalnej współpracy.

W takich warunkach w 2000 r. odbyła się lustracja Wałęsy. Dowody były skromne. Teczkę personalną i teczkę pracy Wałęsy (dziś już o tym wiemy) ukradł Kiszczak i trzymał w pawlaczu na daczy, a to, co w 1992 r. zebrał w tej sprawie minister Antoni Macierewicz, Wałęsa ukradł i zniszczył w latach 90., jak był prezydentem. W świetle obowiązujących w tym sądzie reguł stwierdzenie, że Wałęsa złożył niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne, było nieprawdopodobne. Nawet więcej: wykluczone, bo zdając sobie sprawę, jak szczupłym materiałem dowodowym dysponuje, rzecznik Krzysztof Kauba na koniec rozprawy złożył wniosek nie o stwierdzenie, że Wałęsa skłamał, tylko o umorzenie sprawy w obliczu niedających się usunąć wątpliwości. To dowód, że był świadomy, że nie miał szans wygrać. Mimo istnienia takiej możliwości sąd lustracyjny nie zastosował jej nigdy w żadnej sprawie. Obowiązywała tu bowiem żelazna zasada prawa karnego in dubio pro reo – wszelkie wątpliwości tłumaczy się na korzyść oskarżonego. Tak zapadł wyrok, że Wałęsa złożył zgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne. A wszystko to po trwającym niewiele dni sądowym chaosie, w którym niemożliwe było rzetelne zbadanie sprawy.

Te patologie funkcjonowania lustracji opisałem w oddzielnym rozdziale książki „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii" napisanej w 2008 r. ze Sławomirem Cenckiewiczem. W kolejnym rozdziale przeanalizowałem pełen luk, błędów i przeinaczeń wyrok w tej sprawie. Podtrzymuję to, co tam napisałem, i nie zgadzam się z pojawiającym się twierdzeniem, że problem tkwił tu tylko w braku dokumentów. Ten wyrok jest po prostu zły. Ale jeżeli mowa o winie, to należy ją rozkładać sprawiedliwie: zła ustawa uchwalona przez Sejm, „rozmywające" lustrację orzeczenie TK, złe orzecznictwo, które wytworzyło się w czasie realizowania lustracji. To wszystko nie zmienia jednak faktu, że sędzia Kapiński podpisał się pod złym wyrokiem i ponosi za ten wyrok współodpowiedzialność. Ale ośmielając się osądzać tę sprawę, należy sobie zawiązać oczy i próbować sprawiedliwie zważyć: Ile jest w tym wszystkim osobistej odpowiedzialności wspomnianego sędziego i czy popełniony ćwierć wieku temu błąd przekreśla inne jego dokonania? Uważam, że nie.

MISSION IMPOSSIBLE

Po likwidacji Wydziału V (Lustracyjnego) Sądu Apelacyjnego w Warszawie sędzia Zbigniew Kapiński orzekał w Wydziale Karnym tegoż sądu; zajmując się głównie sprawami kryminalnymi, ale o różnym kalibrze i odcieniach. W czerwcu 2015 r. do mediów przebiła się informacja, że jako sędzia sprawozdawca wygłosił uzasadnienie dla wyroku podtrzymującego karę dwóch lat więzienia w zawieszeniu dla Czesława Kiszczaka jako członka „związku przestępczego o charakterze zbrojnym", który w 1981 r. wprowadził w Polsce stan wojenny. Ten wyrok to klęska „michnikowszczyzny" od ćwierćwiecza opowiadającej o „mniejszym złu" i „człowieku honoru". To także ciekawy punkt odniesienia do opisu PRL lat 80., rządzonej przez „związek przestępczy o charakterze zbrojnym" Jaruzelskiego.

W 2022 r. sędzia Kapiński awansował do Sądu Najwyższego, wkrótce został prezesem jego Izby Karnej z nominacji prezydenta Andrzeja Dudy (2023). Wtedy głośne stały się dwie jego decyzje: wyrok i zarządzenie. Badając okoliczności dokonania zmian personalnych w Prokuraturze Krajowej przez Adama Bodnara i inne „moje typy", stosujące prawo „tak jak je rozumiemy", Kapiński stwierdził w wyroku, że to było kompletne bezprawie. Dużo poważniejsze konsekwencje prawne i rozgłos uzyskało jego zarządzenie z 2024 r. w sprawie wniosków w sprawie wyłączenia z orzekania tych, o których ukuto i wprowadzono w obieg publiczny pojęcie „nieprawidłowo wybranych sędziów" (inaczej: „neosędziów"). Zarządzenie sędziego Kapińskiego nakazało pozostawianie bez rozpoznania wniosków adwokatów różnych bandytów, gwałcicieli i morderców oraz innej prawniczej menażerii kwestionującej umocowanie znacznej części polskich sędziów. Ustne uzasadnienie zarządzenia przestrzegało przez skutkami anarchizacji wymiaru sprawiedliwości. Wtedy sędzia Kapiński był wiwatowany w TV Republika, gdzie miał znakomite wystąpienie. Wówczas krytykował kolegów, którzy stali się „politykami w togach", przestrzegał przed łamaniem zasad ukrywanym za parawanem „opinii prawnych", ostrzegał, że jak tak dalej pójdzie, to po prostu stracimy ojczyznę. Jakby te teksty razem pozbierać, to wyjdą naprawdę ważne, współczesne „przestrogi dla Polski".

Nie mam wątpliwości, że mianując Zbigniewa Kapińskiego na I prezesa Sądu Najwyższego, prezydent Karol Nawrocki podjął decyzję najlepszą z możliwych. Było jasne, że rozlegnie się skowyt TVN-ów i Onetów z gardłowaniem „autorytetów" obecnej władzy: od sędziego Michała Laskowskiego, prof. Wojciecha Sadurskiego, Jacka Murańskiego począwszy, a na mistrzu intelektu ze stolicy USA – stanu Waszyngton Waldemarze Żurku skończywszy. Ale cios nadszedł tu także z niespodziewanej strony. Wzbudził się jednoosobowy Komitet Ocalenia Publicznego, pisząc ostro do prezydenta Rzeczypospolitej na „Ty" i tupiąc, że sobie nie życzy na stanowisku I prezesa SN człowieka, który kiedyś wydał zły wyrok w sprawie „Bolka". Zaatakowała też TV Republika, która wcześniej wynosiła Kapińskiego pod niebiosa.

W dziedzinie powstrzymania destrukcji polskiego wymiaru sprawiedliwości sędziego Kapińskiego czeka prawdziwa mission impossible, ponieważ po drugiej stronie stoi niszcząca państwo, zacietrzewiona Targowica. Nie wróżę mu sukcesu, bo do spacyfikowania rozbestwionych wsparciem zagranicy rokoszan sędzia Kapiński nie dysponuje adekwatnymi narzędziami. Takimi chociażby, jak możliwość pozbawiania statusu sędziego, a potem chwytania za kołnierz przez cieciów i wyrzucania z budynków sądów zdrajców i awanturników. To mocna powtórka z polskiej anarchii z wieków XVII–XVIII. Tym bardziej wszyscy, którym leży na sercu dobro „tej umiłowanej ojczyzny", nie powinni tracić rozumu. Ich obowiązkiem jest wspieranie prezydenta Karola Nawrockiego i misji sędziego Kapińskiego. Nie wolno próbować ich szturchać ani im przeszkadzać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Lech Wałęsa odbiera Europejski Order Zasługi FOT. PHILIPPE BUISSIN/EP/EU

Unijczycy na medal

Rafał A. Ziemkiewicz

Zgodnie z ubiegłoroczną uchwałą PE Order Zasługi przyznawany jest „w uznaniu osiągnięć osób, które wniosły znaczący wkład w integrację europejską lub w propagowanie i obronę wartości zapisanych w Traktatach". O propagowaniu i obronie wartości trudno tu mówić – raczej o mechanizmie „odznaczenia resortowego"

Pewnie mało kto by w ogóle usłyszał o istnieniu czegoś takiego jak Europejski Order Zasługi, gdyby nie Lech Wałęsa. Nie dlatego, że go odznaczono – to pewnie mało kogo interesuje; Wałęsa, jak i inni bohaterowie rządzącego salonu, regularnie przywozi z podróży zagranicznych rozmaite tytuły, dyplomy honorowe czy baretki i jeśli nawet kiedyś były one zauważalnym elementem „dystrybucji szacunku", to dawno już zdążyły wszystkim spowszednieć. Nie dlatego, że podczas odbierania odznaczenia w Parlamencie Europejskim na sali nie było większości posłów PiS i Konfederacji, a ci, którzy byli, ośmielili się nie wstać. Rządowe media rutynowo podchwyciły to jako powód do oburzenia, sam Wałęsa ogłosił przejawem „głupoty" – przy czym głupota nieobecnych polegać miała na tym, że stracili okazję do posłuchania, co Wałęsa miał do powiedzenia. Większość czytelników zgodzi się chyba, że to niewielka strata. Wałęsa ciekawy jest jedynie wtedy, a i to w szczególny sposób, gdy zmyśla kolejne niestworzone wersje swojej dawnej współpracy z SB, a o tym chyba na ceremonii w parlamencie nie mówił.

Były czasy, kiedy „news" o tym, że czarnosecinna prawica odmawia należnej czci „największemu z Polaków" i „legendarnemu przywódcy", rozgrzewał przynajmniej media społecznościowe prorządowej „bańki", ale i tam zdeprecjonowanie byłego prezydenta nie budzi już ani oburzenia, ani żadnej w ogóle reakcji. Może szkoda, bo nowo ustanowiony order i ceremonia jego wręczania, jeśli ktoś wie, o co w istocie poszło, dają asumpt do istotnej refleksji nad obecnym stanem tworu zwanego Unią Europejską.

WZÓR EUROPEJSKOŚCI

Ordery – słowo pochodzi od „zakon", bo pierwotnie szło nie o medal czy inny honorowy artefakt, będący jedynie symbolem przynależności, ale właśnie o przynależność do ekskluzywnego bractwa – z założenia służyć mają budowaniu jakiejś założycielskiej opowieści i wspólnoty. Nie przypadkiem pojawiły się, a w każdym razie stały się modne, w okresie przełamywania średniowiecznego rozdrobnienia feudalnego i budowania z małych księstewek i hrabstw większych królestw. Piłsudski, warto przypomnieć, gdy w proteście przeciwko „sejmokracji" zrzekł się wszystkich urzędów i przysługujących mu apanaży, zachował sobie tylko jedną funkcję: przewodniczenie kapitule Virtuti Militari.

Bez wątpienia intencje Parlamentu Europejskiego, gdy w ubiegłym roku ustanawiał odznaczenie przyznane dwa tygodnie temu po raz pierwszy, były podobne: dać obywatelom UE wzór „europejskości". Wyszło nieco inaczej – pokazano, że postulowana „europejskość" jest tak naprawdę, diabli wiedzą czym, ale na pewno nie tym, czym być miała.

Miała być, dziś już trzeba to przypominać, wyrazem solidarności wszystkich europejskich narodów, które stworzyły mechanizm pokojowego rozsądzania swoich sporów i sprzeczności interesów, co pozwala im zgodnie występować wobec zewnętrznego świata jako jeden podmiot światowej polityki. W czasach prof. Geremka uważano za absolutny pewnik, że wspólnotowe instytucje służą

eprasa.pl b1c25d5852

obronie interesów mniejszych krajów przed egoizmem większych. Tak formułowano wszelkiego rodzaju wytyczne i plany: trzeba wzmacniać się Brukseli, bo silna Bruksela będzie przeciwwagą dla Berlina i Paryża, naturalnym wyrazicielem wspólnej, europejskiej racji stanu przeciwko partykularyzmom. Dlaczego miało tak być? Szczerze mówiąc: mocą „wishful thinking", czyli – jak tłumaczył to pojęcie Melchior Wańkowicz – „chciejstwa".

W istocie cała budowana struktura, czego w Polsce nie chciano zauważać, szybko odeszła od „europejskiej solidarności" ku „skuteczności". A skuteczność jest tym większa, im węższa jest grupa decyzyjna i im silniejsze ma narzędzia wymuszania posłuchu. Łatwym do zaobserwowania skutkiem procesu zapoczątkowanego próbami narzucenia „europejskiej konstytucji" jest fakt, że obecna Unia stała się polem doraźnych porozumień unijnych mocarstw. Zasada jednomyślności, która miała gwarantować solidarność, została odrzucona, ale do przekształcenia Europy w jedno centralnie zarządzane państwo jeszcze daleko. Większość przełomowych decyzji zapada dzięki przekonaniu przez Niemcy i przeważnie (ale nie zawsze) sprzyjającą mu Komisję Europejską do swoich zamierzeń kilku innych państw „starej Unii". Z jednej strony, towarzyszy temu zarzucanie pozorów działania traktatowego, np. w sprawie porozumienia Mercosur, gdzie KE w interesie Berlina zignorowała wnioski Parlamentu Europejskiego i ewentualne przyszłe orzeczenia TSUE. Z drugiej, unijna wierchuszka coraz bardziej bezceremonialnie kontroluje mniejsze państwa członkowskie, korumpując lokalne elity i ingerując w wybory na szczeblu krajowym, tak by osadzać w prowincjonalnych stolicach powolnych sobie polityków.

Wymyka się to całkowicie dawnej opowieści o Europie jako „wspólnocie równych" i miejscu, gdzie narody dawniej ze sobą walczące w cywilizowany sposób wyważają swe oczekiwania i osiągają satysfakcjonujący dla wszystkich kompromis. Wypadałoby zatem zbudować opowieść nową, bardziej pasującą do powszechnie zauważanych faktów. Wydawało się, że ustanowienie europejskiego panteonu poprzez wybór i uhonorowanie bohaterów europejskiej integracji temu właśnie ma służyć.

Wyszło tak samo, jak przy poprzedniej próbie stworzenia Rady Autorytetów, których media nazwały „europejskimi mędrcami". Co charakterystyczne, wówczas też Polska, akurat również rządzona przez Tuska, zgłosiła Lecha Wałęsę. Najwyraźniej premier bardzo wysoko ocenia udzielane mu przez „legendarnego przywódcę" propagandowe wsparcie i chętnie płaci za nie europejskimi zaszczytami, niezbyt się przy tym martwiąc, że je w oczach Polaków kompromituje.

Drugim polskim laureatem pierwszej edycji europejskich Orderów Zasługi został Jerzy Buzek. Przez pół kadencji pełnił on funkcję przewodniczącego Parlamentu Europejskiego i – naprawdę bez złośliwości – trudno przypomnieć sobie jakikolwiek sukces, który wówczas osiągnął. Zwoływał posiedzenia, przewodniczył im, wypełniał funkcje reprezentacyjne, słowem – robił to samo, co na jego miejscu robiłby każdy inny. Nikt nie twierdził, że to Jerzy Buzek, z racji swych cnót i umiejętności, jest szczególnie potrzebny Europie w funkcji rotacyjnego przewodniczącego, raczej przeciwnie – nie ukrywano, że powierzenie jej byłemu premierowi Polski ma symbolicznie dowartościować nasz kraj.

ODZNACZENIE RESORTOWE

Zgodnie z ubiegłoroczną uchwałą PE Order Zasługi przyznawany jest „w uznaniu osiągnięć osób, które wniosły znaczący wkład w integrację europejską lub w propagowanie i obronę wartości zapisanych w Traktatach". O propagowaniu i obronie wartości też trudno tu mówić – raczej o mechanizmie „odznaczenia resortowego", przyznawanego za tzw. wysługę lat. Ale czy w takim razie wszyscy pozostali przewodniczący parlamentu, którzy byli nimi przez pełną kadencję, nie powinni dostać po dwa takie ordery?

Wrażenie, że chodzi o „odznaczenie resortowe", pogłębia fakt, że na liście uhonorowanych znalazło się wielu byłych urzędników KE i innych wspólnotowych organów, których szczególne zasługi, poza przeurządowaniem swojej kadencji, trudno sobie przypomnieć – m.in. Valdas Adamkus, Viviane Reding, Jean-Claude Trichet. Odznaczono również grupę byłych szefów państw: prezydenta Finlandii Sauli Niinistö, Portugalii – Anibala Cavaco Silvę czy kanclerza Austrii Wolfganga Schüssela. O dziwo, załapał się też jeden kardynał, Pietro Parolin, choć od czasów Rocca Buttiglionego wiadomo, że wyznawca katolicyzmu, z uwagi na nauczanie Kościoła w kwestii homoseksualizmu, jest niezgodny z „europejskimi wartościami" co do zasady.

„Znaczący wkład w integrację europejską lub w propagowanie i obronę wartości zapisanych w Traktatach" okazali się także wnosić prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski, i ukraińska działaczka na rzecz praw człowieka Ołeksandra Matwijczuk. Trudno się dziwić, że szacowny parlament chciał ich uhonorować. Ale czy naprawdę Ukraina toczy wojnę w obronie „traktatowych wartości" UE, nie mówiąc już o integracji? Jeśli dodać do tego czarnoskórego koszykarza z Grecji, amerykańskiego restauratora i aż czterech członków grupy rockowej U2, powstaje nie żaden panteon, ale raczej grono celebryckie, i to – delikatnie mówiąc – dziwaczne.

TŁO DLA MERKEL

I ono właśnie stanowić miało tło dla najważniejszej uhonorowanej: Angeli Merkel. To właśnie przypięcie jej orderu, bynajmniej nie Wałęsie, było powodem opuszczenia sali przez polskich europosłów. W istocie wieloletnia kanclerz Niemiec ma znaczące zasługi, ale raczej dla Władimira Putina na sojusz, z którym bezwarunkowo stawiała przez wiele lat i od gazowych rur, którego uzależniła Europę. Merkel swym „serdecznie zapraszamy" stała się też w oczach całej Europy sprawczynią masowego napływu migrantów. Przypięcie jej Europejskiego Orderu Zasługi nie może być odebrane inaczej niż jak zagranie wszystkim sceptykom i krytykom obecnego stanu Unii Europejskiej na nosie. Może i popełnialiśmy błędy, ale nikt nas nie będzie z nich rozliczać i nikt nam nie zabroni popełniać ich dalej, a najmniej jakaś europejska opinia publiczna czy europejscy wyborcy. Sami się w wąskim gronie unijnych elit wybieramy, sami swoją pracę oceniamy, a na koniec kariery sami sobie przyznajemy ordery i zaszczyty. Bo tak. A Europa ma nas słuchać.

I podziwiać. Kto nie podziwia, ten dopuszcza się – jak ujął to Wałęsa – „politycznej głupoty". I – jak podsumowały to oddane mu media – „skandalu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Z Witoldem Gadowskim, pisarzem, publicystą, jednym z inicjatorów referendum w Krakowie w sprawie odwołania prezydenta miasta i rady miejskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zwycięstwo zwykłych ludzi

RYSZARD GROMADZKI: Wynik referendum w Krakowie to zwycięstwo dobrze pojętej obywatelskości, nieskażonej partyjniactwem? Tak należy to czytać?

WITOLD GADOWSKI: Chciałbym, żeby było czytane w taki sposób, ale to dopiero przełamanie pierwszych barier. Przełamanie okupacji dużych miast przez partie polityczne. Tutaj, w Krakowie, zwyciężyli krawiec, dostawca jedzenia, szewc. Zwykli ludzie. Dzięki temu, że udało się ich zjednoczyć, że uwierzyli w swoją siłę, dokonaliśmy pierwszego wyłomu. Nie udało się odwołać beznadziejnej i bezproduktywnej rady miasta.

Zabrakło bardzo niewiele...

Niewiele, ale się nie udało. Nasz plan był taki, że odwołujemy i prezydenta, i radę miasta. Dlatego musimy walczyć dalej. Ale jest to sygnał, że można, że da się, że nic nie jest zabetonowane na wieki wieków amen.

Już widać, że politycy będą chcieli wykorzystać to zwycięstwo zwykłych ludzi w Krakowie w swoich partyjnych gierkach. Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, mówi, że po odwołaniu „krakowskiego Tuska" czeka nas fala podobnych referendów w innych dużych miastach.

To przejaw bezczelności polityków. Są jak muchy, które zlatują się tam, gdzie jest pożywienie. Więc zleciały się do Krakowa, bo zdarzyło się tam coś, czego nie rozumieją, bo ani Czarnek, ani PiS tego nie rozumie, ale próbują to wykorzystać dla swoich durnych interesów. Dodam tylko, że kiedy zbieraliśmy podpisy przed referendum, PiS nie dostarczył ich prawie wcale, dezorganizował działalność komitetu referendalnego i cały czas utrudniał nam działanie, bojąc się, że odwołamy im ten 12-osobowy „klubik" radnych w radzie Krakowa. Przy takiej aktywności wyjątkową bezczelnością jest teraz podpinanie się pod to, co wydarzyło się w Krakowie 24 maja.

Czy można powiedzieć, że to, co wydarzyło się w Krakowie w niedzielę 24 maja, przywróciło wiarę w instytucję referendum jako podstawowego narzędzia demokracji bezpośredniej? Referenda inicjowane wcześniej przez Andrzeja Dudę czy przez PiS przy okazji wyborów w 2023 r., a ostatnio przez prezydenta Nawrockiego zamiast angażować, raczej odpychają od niego obywateli poprzez totalne zagmatwanie. W Krakowie miało miejsce nie pozorowane, lecz prawdziwie obywatelskie referendum.

eprasa.pl b1c25d5852

Tylko takie referenda mają sens. Politycy wykrzywiają ideę referendów. Zarówno Duda, jak i Nawrocki tak sformułowali propozycję pytań referendalnych, że właściwie można się tylko rozpłakać. Oni nie rozumieją, czym jest referendum. Natomiast w referendum musi być proste pytanie, o co walczymy, co dokładnie chcemy zmienić, do jakiego stanu chcemy doprowadzić. My w Krakowie walczymy o odzyskanie wpływu na samorząd. A więc także na miliardy złotych, które są w budżecie miasta, które trwonione są i wydawane na kolesi. To jest prosty przekaz, z tego powodu w referendum w Krakowie zaangażowali się zwykli ludzie. Dlatego jest to zwycięstwo zwykłych ludzi, a nie żadnych polityków.

Z badania przeprowadzonego przez jeden z ośrodków badania opinii w kwestii motywacji uczestników referendum w Krakowie wynika, że istotnym powodem, dla którego ludzie poszli głosować, była sprawa Strefy Czystego Transportu, sankcjonująca realną segregację mieszkańców.

Istotnie takie badania się pokazały, ale nie wierzmy w badania tak jak w Biblię, bo są one przecież robione na czyjeś zlecenie. Chociaż rzeczywiście Strefa Czystego Transportu wywołała spontaniczny bunt. Ludzie zaczęli się gromadzić i mówić „dość tego!". Dość segregacji ludzi, dość wyznaczania tego, kto jest tu ważniejszy, a kto mniej. Ale głównym motywem, dla którego ludzie poszli do referendum, jest złe zarządzanie miastem. To spadło na Miszalskiego, ale narastało od 24 lat, dlatego że miastem bardzo źle i w sposób skorumpowany rządził „komuch" Jacek Majchrowski.

Używając określenia „skorumpowany", mam na myśli to, że przez lata kupował sobie pieniędzmi z budżetu miasta przychylność kolejnych grup obywateli czy środowisk opiniotwórczych. Zarówno zadłużenie miasta, jak i katastrofa komunikacyjna, a przede wszystkim bezkarność deweloperów – to wszystko narastało od 24 lat. Miszalski zebrał już tylko owoce tego zjawiska. Miasto było tragicznie zarządzane, w Krakowie żyje się coraz gorzej. Ludzie to odczuwają, dlatego poszli głosować w referendum. I Majchrowski, i Miszalski niszczyli tkankę miasta, co w Krakowie jest szczególnie ważne.

Kraków to nie jest siedlisko sypialni czy kombajnów, w których się mieszka. Kraków to jest tkanka miejska, to jest tradycja, to są przywiązania, to są miejsca, nadużyję tego słowa, kultowe.

Zarówno Duda, jak i Nawrocki tak sformułowali propozycję pytań referendalnych, że można się tylko rozpłakać

Kraków – miasto z duszą...

Właśnie tę duszę niszczył Majchrowski, a później Miszalski. Przejawem tego były targi dla dorobkiewiczów trwające na Rynku Głównym, sprawiające, że w salonie miasta śmierdziało zepsutą kiszką.

Przykład Krakowa może być zaraźliwy? Mieszkańcy innych polskich metropolii mogą zechcieć pójść waszym tropem? Nie chodzi o zmiany dla samych zmian, a ukrócenie patologii, które rozpanoszyły się w samorządach wielkich miast. Czy takie obywatelskie inicjatywy, bez „politycznej czapy" nad nimi, mogą się udać także gdzie indziej?

Tak, myślę, że to może się udać. Jakiś czas temu zacząłem lansować ideę, którą nazwałem lokalizmem, jako przeciwstawność dla globalizmu i pewnych mechanizmów globalizujących. Wtedy wszyscy się śmiali, mówiąc, że to abstrakcja. A ja zacząłem to przekładać na działania lokalne. Dlatego powstał Ruch Obrony Polaków i zakładamy „Gniazda". Cały ten ruch, ta myśl skupiona jest na działaniu lokalnym. Zatem skoro udało nam się wypracować model sukcesu, połowicznego, ale jednak sukcesu w Krakowie, to bardzo chętnie upowszechnimy ten model na inne miejsca. Polega on na bardzo prostych rzeczach. Trzeba się po prostu dogadać. W Krakowie dogadaliśmy się od zwolenników Zandberga do zwolenników Brauna. Wszyscy działali solidarnie, żeby osiągnąć sukces referendalny. To jest fenomen. Z powodu istnienia wyższego celu zawiesiliśmy na kołku spory ideologiczne. Bo czy tor jest dobrze położony czy most jest dobrze zbudowany to nie jest kwestia lewicowości czy prawicowości, tylko solidności i uczciwości. A przecież solidność i uczciwość nie mają barw politycznych. Udało nam się to wytłumaczyć na poziomie lokalnym i jesteśmy gotowi upowszechniać to w innych miejscach, pokazując, że warto się dogadywać, żeby osiągnąć cel.

Można założyć, że po sukcesie referendum w Krakowie zaczną się podchody wobec jego inicjatorów. Próby rozbicia grupy inicjatywnej. System musi przecież jakoś zareagować.

To już się zaczęło. Odczuwam to na własnym przykładzie, dlatego że wiele środowisk i osób, powiem nieskromnie, zwróciło się do mnie, proponując, żebym kandydował na prezydenta miasta, uciekając się przy tym do różnych argumentów.

I co? Będziesz kandydował?

Wszyscy ci ludzie nie potrafią zrozumieć, kiedy mówię „nie, dziękuję". Wiem, czym jest Kraków, potrafię doradzić, czy coś zorganizować, ale zarządzanie miastem trzeba zostawić komuś, kto jest młodszy, ma większą energię i zdolności polityczne. Prezydent miasta nie może mówić w taki sposób jak ja. Nie owijać w bawełnę różnych kwestii. Musi być politykiem, łączyć jak najwięcej osób. Więc świadomy swoich ograniczeń od razu odmówiłem. To nie jest sprawa pychy, tylko oceny kompetencji. Pracowałem w urzędzie miasta, gdy prezydentem był najlepszy prezydent Krakowa w tym wieku, czyli Andrzej Gołaś. Wtedy udało się dużo zrobić. Myślę, że mam naprawdę wiele do zaoferowania nowemu prezydentowi, jeżeli uda nam się wygrać wybory.

Czy środowisko grupy inicjatywnej referendum ma swojego kandydata na prezydenta Krakowa?

Tak. Będzie kandydat obywatelski. Nie będzie to kandydat wymarzony dla różnych środowisk. Będzie to kandydat kompromisu, ale taki, który może zwyciężyć i zwycięży, o czym jestem przekonany. To jest realna ocena sytuacji. Oczywiście ta jedność działań referendalnych w tej chwili trochę się kruszy, ale to założyliśmy w naszym planie, bo wiemy, że pojawi się wielu kandydatów, w tym mniej lub bardziej egzotycznych, i będą obozy, które będą ze sobą walczyły. My będziemy przede wszystkim dbać o to, żeby nie doszło do konfliktów, które wykluczą rozmowy, i żeby język tej debaty politycznej nie był zbyt brutalny. Na szczęście wybory odbędą się w czasie wakacji, co trochę ułatwi zadanie. Wszystko po to, żeby później zwycięzca wyborów mógł zjednoczyć cały ruch referendalny wokół siebie. Taki jest plan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Straż interweniowała po zgłoszeniu o pożarze w mieszkaniu prezydenta RP w Gdańsku, 25 maja 2026 r. FOT. RAPORT Z TRÓJMIASTA

Fałszywy alarm

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Głupie żarty, polityczny spisek, a może element wojny hybrydowej? Państwo wydaje się bezradne wobec akcji fałszywych alarmów

Chciałbym bardzo wyraźnie podkreślić, że wszystkie służby podległe paniom, panom powinny dołożyć maksymalnych wysiłków, żeby dokonać identyfikacji osób, które się tym zajmują i tymi prowokacjami, i jak najszybciej doprowadzić do ich zatrzymania – powiedział premier Donald Tusk, zwracając się do ministrów i przedstawicieli służb biorących udział w nadzwyczajnej odprawie w siedzibie Rządowego Centrum Bezpieczeństwa w Warszawie.

Naradę zwołano dzień po tym, jak w sobotę 23 maja wieczorem służby wyważyły drzwi w domu rodzinnym prezydenta Karola Nawrockiego w Gdańsku. „Doszło do kolejnego fałszywego zgłoszenia przez numer 112. Tym razem dotyczyło to rodzinnego domu prezydenta RP w Gdańsku. Służby pod nieobecność domowników wyważyły drzwi i weszły do mieszkania" – przekazał wtedy rzecznik głowy państwa Rafał Leśkiewicz. „Od kilkunastu dni służby są paraliżowane przez fałszywe zgłoszenia uderzające w dziennikarzy oraz osoby publiczne związane z prawicą. Przez kilkanaście dni rządzący nie potrafią odpowiednio zareagować. Dziś atakowane są osoby znane publicznie, za chwilę to zagrożenie może dopaść każdego. Dlatego potrzeba zdecydowanej reakcji. Wszystkie te przypadki muszą zostać wyjaśnione" – dodał.

SERIA ATAKÓW

Najpierw było zgłoszenie o pożarze, a potem o zagrożeniu życia dziecka. W mieszkaniu znajdowały się tylko zwierzęta. Sprawca fałszywego alarmu użył aplikacji Alarm 112, w której wysyła się SMS z opisem rzekomej sprawy. Służby ustaliły już, na kogo zarejestrowano telefon. – Ustalamy, gdzie przebywa ta osoba i co ma wspólnego z tym zdarzeniem – powiedział „Rzeczpospolitej" prok. Mariusz Duszyński, rzecznik gdańskiej prokuratury. W poniedziałek 27 maja wszczęła ona śledztwo w tej sprawie. Prowokatorzy znali adres tego lokalu (jest on podany w oświadczeniu majątkowym prezydenta w formie zanonimizowanej). Wiedzieli także, że nie jest chroniony przez SOP.

„Ich działania wyglądały tak, jakby na bieżąco kontrolowali akcję służb i reagowali na ich działania. Wygląda to tak, jakby inicjatorzy działań mieli dostęp do komunikacji pomiędzy służbami. Albo ktoś z nich był w rejonie, gdzie wszystko się rozgrywało, i obserwował z zewnątrz działania strażaków i policjantów […]. Prowokatorzy mieli doskonałe rozpoznanie – zaatakowali, gdy w obu mieszkaniach nie było nikogo z domowników. Według naszych nieoficjalnych informacji służby podejrzewają, że fałszywe zgłoszenia dotyczące mieszkania rodziny prezydenta zostały dla kamuflażu wysłane z wykorzystaniem tzw. sieci Tor, czyli trasowania cebulowego (z ang. onion routing). Technika ta służy do anonimowej komunikacji w sieci" – poinformowała „Rz".

W ten sposób można uniemożliwić namierzenie IP urządzenia użytego do prowokacji. Oznacza to, że zamiast sprawcy (sprawców) służby dotrą do osoby, pod którą się podszyto. I tyle.

W ubiegłym tygodniu szef MSWiA poinformował, że z związku z alarmami zostały zatrzymane trzy osoby. Marcin Kierwiński dodał, że wobec jednej z nich zastosowano areszt. Minister przekazał, że są to osoby ok. 20-letnie, które mają na koncie problemy z prawem. Chodzi o cyberataki na Tomasza Sakiewicza, prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego (fałszywy alarm o ładunku wybuchowym w jego ogrodzie) oraz byłego szefa BBN Sławomira Cenckiewicza (fałszywe zamawianie posiłków). Zapewnił że namierzona zostanie również osoba, która stoi za fałszywym alarmem w domu rodzinnym prezydenta Karola Nawrockiego. Według szefa MSWiA, „bardzo mocną motywacją wśród tych ludzi jest chęć zaistnienia". – Są to osoby, które też mają swoje sympatie polityczne, ale to będzie przedstawiać prokuratura – stwierdził. Jeden z zatrzymanych usłyszał zarzut udziału w dwóch zdarzeniach – chodzi o jeden atak na TV Republika oraz zgłoszenie dotyczące posesji Jarosława Kaczyńskiego. Dzień później premier Donald Tusk potwierdził czwarte zatrzymanie w sprawie TV Republika.

W przypadku redaktora naczelnego Telewizji Republika Tomasza Sakiewicza mogło dojść do nadużyć ze strony służb. „Jestem na Wiktorskiej ...popełniam samobójstwo, mam na sobie pas szahida,

eprasa.pl b1c25d5852

wy...ę wszystko" – e-mail o takiej szokującej treści miał wywołać akcję policji w mieszkaniu dziennikarza. W piątek 15 maja przed godz. 14 rozpoczęło się wejście do domu Sakiewicza. Policja użyła kajdanek wobec przebywającej tam asystentki prezesa TV Republika, co wywołało ogromne oburzenie, ponieważ nie wykazywała ona agresji. Interwencja trwała ok. godziny. Policja informowała w oficjalnych komunikach o zatrzymaniu w tej sprawie 53-latka.

W kontekście alarmów uderzających w dziennikarzy i polityków związanych z prawicą warto rozróżnić dwa pojęcia – „spoofing", czyli podszywanie się pod inną osobę, instytucję lub urządzenie w celu wyłudzenia pieniędzy, danych lub zainfekowania sprzętu złośliwym oprogramowaniem – oraz „swatting" – fałszywe zawiadomienie służb ratunkowych o sfabrykowanym, poważnym zagrożeniu życia lub zdrowia. Seria aktów swattingu wobec redakcji TV Republika rozpoczęła się 13 maja. Po godz. 16 do redakcji w sercu Warszawy przyjechały policja i straż pożarna, którym zgłoszono zagrożenie bombowe. Służby niczego nie znalazły. Kolejnego dnia pogotowie otrzymało wezwanie do pobitej osoby w siedzibie Republiki.

Później były zgłoszenia ze wskazaniem adresów domowych najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy stacji (np. o odkryciu ludzkich zwłok). Terrorysta z pasem szahida miał rzekomo zamknąć się w łazience Michała Rachonia. – W przypadku Michała Rachonia i Kasi Gójskiej oraz mnie wezwania służb miały miejsce dwukrotnie, mimo iż za pierwszym razem się one nie potwierdziły. Co więcej, po raz drugi służby weszły już z nakazem przeszukania – powiedział Tomasz Sakiewicz „Rzeczpospolitej".

Cyberatak dotknął też byłego szefa BBN Sławomira Cenckiewicza. Sprawców dotychczas nie wykryto. W badanie sprawy zaangażowano Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości, Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz wojskowych. Fałszywe zgłoszenia zostały zakwalifikowane jako sabotaż internetowy. Według ustaleń gazety przy pierwszych fałszywych alarmach z maja sprawcy używali serwerów w krajach skandynawskich; później serwerów w Rosji. Nie ma oficjalnego potwierdzenia, że w każdym z przypadków jest ten sam sprawca, a także występowania wątku rosyjskiego.

ROSYJSKI ŚLAD?

Opozycja oskarża rządzących o nieudolność. PiS chce dymisji szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego. Z TV Republika wybrzmiewają zarzuty o atak na wolność słowa. Tomasz Sakiewicz ma pretensje do policji. „Jednym z najważniejszych praw człowieka w zachodniej cywilizacji jest prawo do nienaruszalności prywatnego domu. To prawo może być podważone tylko w bardzo ważnej sprawie i za zgodą sądu, nawet jeżeli ta zgoda jest wydawana wstecznie. Ciężar odpowiedzialności za legalność tych działań spoczywa na policji i jej nadzorcach. Nielegalne przekraczanie progu prywatnego domu przez policję to symboliczne i rzeczywiste przekroczenie progu cywilizowanego świata" – pisał na swoim blogu. „Rosjanie już nie muszą wysyłać dronów i rakiet, żeby zdestabilizować państwo. Wystarczy, że zadzwonią na 112" – stwierdził.

Jeden z zatrzymanych usłyszał zarzut udziału w dwóch zdarzeniach – chodzi o jeden atak na TV Republika oraz zgłoszenie dotyczące posesji Jarosława Kaczyńskiego.

Czy fala fałszywych alarmów to stosowana m.in. przez Rosję „operacja pod fałszywą flagą"? – Typowe cechy modus operandi takich środowisk obejmują: wykorzystywanie zagranicznych serwerów VPS i infrastruktury pośredniczącej do utrudnienia identyfikacji sprawców, korzystanie z telefonii internetowej, spoofingu numerów oraz usług anonimizujących, prowadzenie działań seryjnych wobec celów o wysokim znaczeniu medialnym, wywoływanie silnego efektu emocjonalnego i politycznego przy minimalnych kosztach operacyjnych, prowokowanie reakcji służb i instytucji państwowych w celu późniejszego wykorzystania medialnego oraz eskalowanie polaryzacji społecznej poprzez wzmacnianie konfliktów politycznych i informacyjnych – komentował dla „Rz" Tomasz Safjański, profesor Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej, wicedyrektor Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Transgranicznym.

CEL OSIĄGNIĘTY

Jeśli celem prowokatorów jest sianie zamętu, to został on osiągnięty. Na antenie TV Republika podano dane internetowego streamera Jana Adryańskiego, przedstawiając go jako osobę odpowiedzialną za fałszywe wezwania służb. Problem w tym, że Adryański jest od kilku lat ofiarą spoofingu. „W audycji na żywo w TVR pan Michał Rachoń wypowiedział moje imię i nazwisko jako osoby odpowiedzialnej za fałszywe wezwania służb do dziennikarzy TV Republika… Polska policja od grudnia 2023 nie potrafi złapać sprawców fałszywych zgłoszeń, podszywających się pode mnie, a po rozkręceniu afery z dziennikarzami są tak zakręceni, że robią mi (poszkodowanemu) przeszukanie o 22 w nocy i konfiskują sprzęt elektroniczny. Mimo że od 2023 mieli już setki takich zgłoszeń i chyba już każdy funkcjonariusz, strażak i ratownik w Gliwicach zna mnie i wie o sprawie. Piszę tego posta, bo kto wie, czy jutro z rozpędu nie aresztują i mnie (jak tego biednego 53-latka). Dlaczego? Bo adres mailowy zgłoszeń brzmiał jan.adryanskixxxxx@outlook.com (serio). Myślicie, że sprawcy stosują jakieś wyszukane metody? PO PROSTU WYSYŁAJĄ ZWYKŁEGO E-MAILA. Albo piszą na czacie do Rzecznika Praw Dziecka. Nikt nie musi dzwonić, nie ma żadnego spoofingu i innych zaawansowanych metod. Zwykły mail na adres jednej z setek prokuratur (zazwyczaj do wszystkich jednocześnie), podpis z kartofla pod pismem i sprawa rusza" – napisał.

Internetowy twórca twierdzi, że w ciągu roku był przesłuchiwany 10 razy w charakterze świadka kilku zabójstw. „Podjazd trzech wozów strażackich i karetki wraz z patrolem policji, bo przyszło zawiadomienie z tableta dla głuchoniemych, że odkręcam gaz i się wysadzam? Nie ma problemu, za pieniądze podatników jeździmy w kółko nawet kilka razy dziennie" – relacjonuje dalej. „Policja wie o sprawie od lat i nie jest w stanie nic zrobić. Sprawa wykracza poza granice Polski, więc jeśli zachodnie służby do tej pory nie pomogły, to nie miejmy złudzeń... […]. Koszt dla atakującego – 0 zł. Koszt dla państwa? Miliony. Jako że temat znam od 3 lat, wiem o innych osobach, które nawet dłużej są w taki sposób nękane" – podsumował Adryański.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Obrona Chestertona

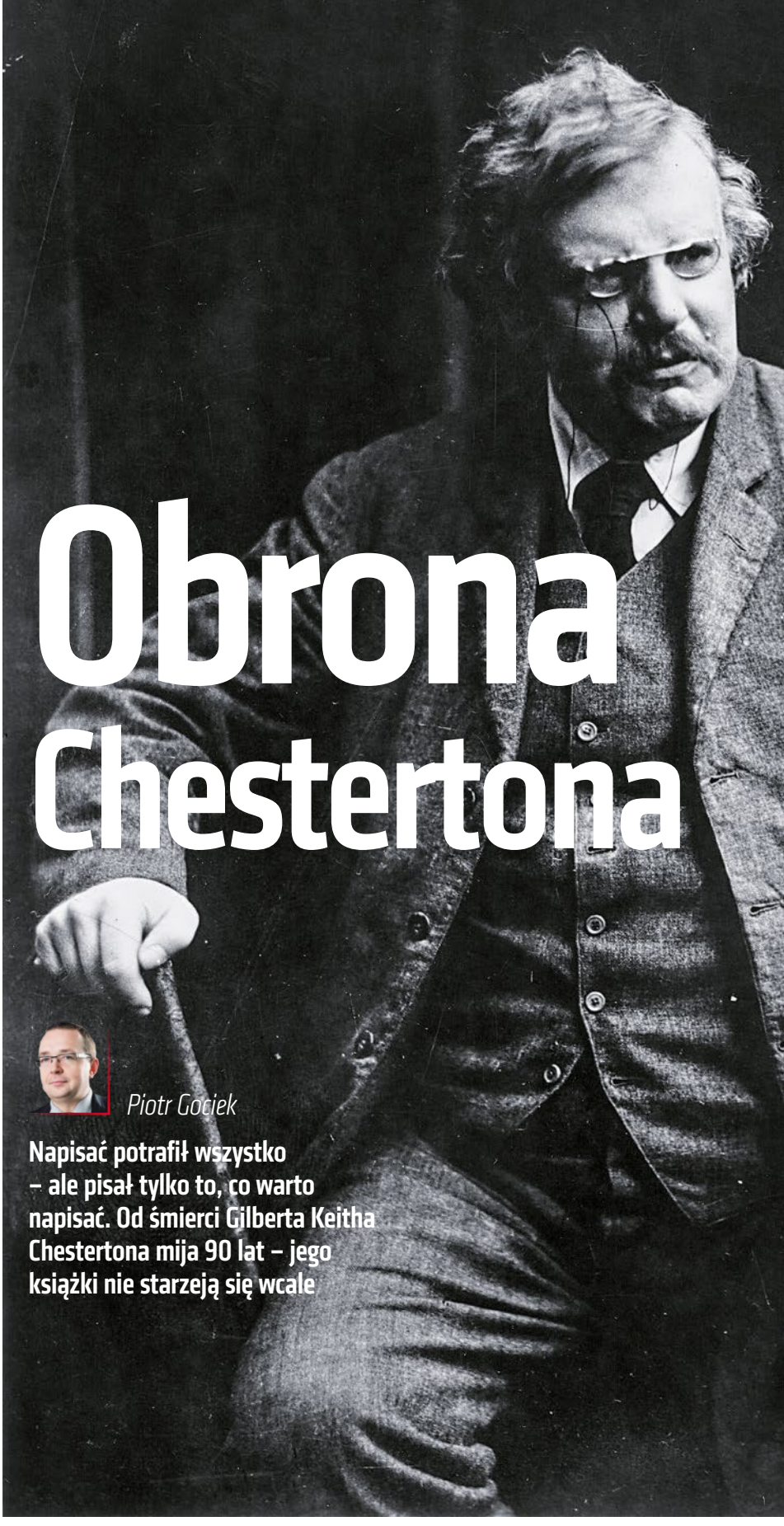

Piotr Gociek

Napisać potrafił wszystko – ale pisał tylko to, co warto napisać. Od śmierci Gilberta Keitha Chestertona mija 90 lat – jego książki nie starzeją się wcale

Gilbert K. Chesterton – niektórzy wciąż o nim pamiętają. Kilka miesięcy temu polecałem czytelnikom „Do Rzeczy" wznowienie opowiadań zebranych o Ojcu Brownie. Dziesięć lat temu, w 80. rocznicę śmierci pisarza, świetny esej napisał o nim w „Teologii Politycznej" Krzysztof Sadło. Filozof Wojciech Golonka zarówno opublikował w ostatnich latach świetne wprowadzenie w myśl pisarza („G.K. Chesterton, Polska i polityka"), jak i przybliżył go w roli religijnego polemisty („Protestantyzm oczami Chestertona"). Fronda wznawia jego głośne książki: „Heretycy", „Ortodoksja", „Wiekuisty człowiek". W antykwariatach warto szukać książek Jagi Rydzewskiej „Chesterton. Dzieło i myśl" oraz „Obrońca wiary".

OBROŃCA TRADYCJI

Niby jest więc nieźle, ale przekonany jestem, że powinno być lepiej. W dzisiejszym świecie Chesterton jest kimś więcej niż klasykiem, do którego warto sięgać w ramach uzupełniania luk w lekturach obowiązkowych. Jest bezcennym sojusznikiem w walce z mrokiem zapadającym nad światem. Nadchodzi 90. rocznica jego śmierci (przypadnie 14 czerwca, zmarł w 1936 r.), jest więc okazja, by do powrotu do Chestertona wezwać, by jego dzieło przypomnieć, by hołd raz jeszcze złożyć.

Paradoksalnie wielki dorobek Chestertona utrudniać może jego wychwalanie, żyjemy bowiem w świecie zero-jedynkowym, w świecie etykietek, gdzie wszystko musi być jasne i proste – Tolkien to ten od „Władcy Pierścieni", Fitzgerald to ten od „Wielkiego Gatsby'ego", a Miłosz to ten od Nobla. A od czego jest Chesterton? Od wszystkiego. Poeta, dziennikarz, powieściopisarz, dramaturg, krytyk, biograf, historiozof – wyliczała Jaga Rydzewska. A także buntownik przeciw epoce i Rycerz Ducha Świętego.

W PRL sprawa była jasna, bo królował Chesterton powieściopisarz. Jeśli już można było znaleźć na półkach jego książki (zwykle wydawane przez PAX), to były to „Latająca gospoda", „Człowiek, który był Czwartkiem", „Napoleon z Notting Hill". No i kilkakrotnie wznawiana książka o św. Franciszku. Moją przygodę z Chestertonem zacząłem od „Napoleona z Notting Hill" i – szczerze mówiąc

FOT. GRANGER/GRANGER HISTORY COLLECTION/FORUM

eprasa.pl b1c25d5852

– niewiele wtedy z opowieści zrozumiałem. Nie dlatego, że jest to historia szczególnie skomplikowana, ale dlatego, że byłem za młody, z głową pełną Indian Szklarskiego, pilotów myśliwców Fiedlera i obrazów poszukiwanych przez Pana Samochodzika. Trudno bowiem docenić dzieła obrońcy tradycji, nie wiedząc jeszcze, co to właściwie jest ta „tradycja" i dlaczego jest ważna.

Po latach doceniłem smak tej powieści, ale wcześniej zakochałem się w książce „Człowiek, który był Czwartkiem". Ta niby prosta książeczka kryje w sobie wiele znaczeń. Wyprzedza o pół wieku literaturę absurdu, wyprzedza Franza Kafkę (na podobieństwa z „Zamkiem" wskazuje filozof John Gray), pozostaje powieścią zadziwiająco współczesną (powstała w 1908 r.). Główny bohater najęty zostaje przez Scotland Yard, by inwigilować tajny spisek anarchistów, po awansie do wewnętrznego kręgu organizacji odkrywa, że wszyscy liderzy spisku są tak naprawdę agentami policji, w dodatku rozgrywanymi przeciw sobie nawzajem przez lidera. Powieść nosi podtytuł „koszmar" i zwiastuje koszmary XX stulecia, jest jednocześnie studium samotności, groteską polityczną, thrillerem metafizycznym, chrześcijańską alegorią odwołująca się pod koniec wprost do Ewangelii św. Marka.

Czytałem więc i czytałem, nie wiedząc o tym, że prawdziwy Chesterton jest przed nami ukryty

„Latająca gospoda" to powieść o Anglii przyszłości, w której postępowy islam zakazuje spożywania trunków, bohaterowie próbują zatem, wędrując od knajpy do knajpy z własną beczułką, oszukać system, bo życie zawsze silniejsze jest od bzdurnych przepisów – Polacy wiedzą to doskonale. Wspomniany już „Napoleon z Notting Hill" to hymn ku czci wolności i samorządności. Opowieści o Ojcu Brownie – niesłychanie popularne i za życia, i po śmierci pisarza – to nie tylko intrygujące zagadki detektywistyczne, lecz także przypowieści moralne. Są one kryminałami w tym najbardziej podstawowym i potrzebnym nam sensie: rozwiązanie tajemnicy przywraca ład moralny w świecie. Co więcej, czasem do tego rozwiązania dochodzi samoistnie; przydałoby się tu do analizy ukute przez Tolkiena pojęcie „eukatastrofy".

PRAWDZIWA TWARZ

Czytałem więc i czytałem, nie wiedząc o tym, że prawdziwy Chesterton jest przed nami ukryty. Nie byłem w tym osamotniony. Czytelnicy w PRL ograniczali się do tego, co pozwalała wydać PZPR i stworzony przez nią aparat wydawniczy. Natomiast na Zachodzie Chesterton bywał spychany w niepamięć przez literackie mody oraz ze względu na zakwalifikowanie go do grona pisarzy przestarzałych, a więc nieaktualnych. Biograf Chestertona, Ian Ker, przyznaje się we wstępie do swej obszernej pracy, że też zwykł traktować autora „Latającej gospody" jako po prostu jednego z pomniejszych autorów katolickiego odrodzenia w literaturze angielskiej. Ale gdy wrócił do jego dzieł, odkrył nie tylko pisarza pierwszorzędnego, odkrył także, że prawdziwa wielkość Chestertona objawia się nie w prozie, lecz w esejach.

Jak pisze Ian Ker, „największymi dokonaniami pisarskimi Chestertona są nie powieści i nie wiersze, lecz »Charles Dickens«, »Ortodoksja«, »The Victorian Age in Literature«, »Św. Franciszek z Asyżu«, »Wiekuisty człowiek«, »Św. Tomasz z Akwinu« i »Autobiografia«". Widzi też w Chestertonie najważniejszego z literackich katolickich konwertytów, obok Johna Henry'ego Newmana.

Prawdziwa twarz Chestertona i jego wielki zapał oraz talent obrońcy wiary pozostawały przed czytelnikami PRL ukryte, najważniejsze eseistyczne książki Chestertona przełożone zostały i wydane dopiero po roku 1989. Będę jednak się upierał, że po okresie wzmożonego zainteresowania lat 90. i pierwszych lat XXI w., kiedy na półkach księgarskich dzieł Chestertona (także w eleganckiej edycji Frondy) było sporo, nawet w Empikach, dziś pasuje do niego sformułowanie „szeroko znany w wąskich kręgach". Wydawcy, jeśli w ogóle sięgają po jego książki, wznawiają właśnie te, które – jak sądzą – najlepiej są czytelnikowi znane, zatem „Człowiek, który był Czwartkiem"

eprasa.pl b1c25d5852

i opowiadania o ks. Brownie. Reszta pozostaje lekturą dla znawców i dla tych, którzy już kiedyś się do eseistyki Chestertona przekonali, więc wiedzą, że warto.

RUCH RESTYTUCJI CHESTERTONA

Jest nam tymczasem, mówię to całkiem na serio, potrzebny wielki wydawniczy i czytelniczy ruch restytucji Chestertona, bo twórca to wybitny, nieustannie aktualny i wielce do walki z patologiami współczesności potrzebny. Chesterton, wyśmienity polemista, znakomity apologeta, trzeźwy logik, ogromny erudyta, już grubo ponad 100 lat temu walczył z tymi samymi smokami, z którymi mierzyć się przyszło i nam. Poczynając od proroków racjonalności i nowoczesności, a kończąc na zaciekłych wrogach wiary chrześcijańskiej (nie zawsze te dwa obozy są tożsame, ale często – tak). Jego mowa jest prosta, więc trafia i w sedno, i do serc, tak jak wtedy, gdy w „Ortodoksji" odpowiada progresistom słowami: „Owi czcigodni filantropowie po prostu kłamali. Moje życie wyglądało dokładnie odwrotnie niż to, co głosiły ich przepowiednie. Mówili oni, że porzucę ideały i zacznę wierzyć w metody stosowane w praktyce przez polityków. Prawda zaś jest taka, że nie porzuciłem ideałów; moja wiara w podstawowe zasady nie uległa najmniejszej zmianie".

Wyndham Lewis pisał o Chestertonie tak: „Jest intensywnie narodowy, wykazuje ekstremalną precyzję myśli, jako jedyny posiadł geniusz, by rzucać światło na rzeczywistość i objaśniać ją poprzez żywe porównania i paralele, jest maksymalnie literacki w najwyższym i najgłębszym znaczeniu tego słowa, jest pełen prawdziwego miłosierdzia – co niekiedy osłabia jego ramię, dzierżące miecz – i, na koniec, jest zakorzeniony w Wierze, której zawdzięczamy naszą cywilizację".

Pisał niejednokrotnie Bronisław Wildstein o III RP jako o krainie, w której znaczenia uległy odwróceniu: kłamcy uznawani są za prawdomównych, łotrzy za cnotliwych, a bohaterowie za łotrów. Nie wyzwoliła się Polska po 1989 r. z kajdan PRL, najlepiej widać triumf dawnego odwrócenia znaczeń, gdy wskrzeszane są komunistyczne kalki pojęciowe o „bandytach z lasu", jak nazywano żołnierzy walczących z sowiecką okupacją, czy o „zoologicznych antykomunistach", którzy „zieją nienawiścią", bo domagają się potępienia agentów bezpieki oraz prawdy o łotrostwach postaci uznawanych przez establishment III RP za herosów.

Otóż owo odwrócenie, ten świat w zwierciadle, w którym zło to dobro, a dobro to zło, wcale nie był wynalazkiem PRL. Gdy wczytamy się w eseje i polemiki Chestertona, odkryjemy grono wrogów dobrze nam znanych z dzisiejszych bojów. Bezkrytyczni apologeci nauki, prorocy inżynierii społecznej, samozwańczy nowi moraliści, którzy próbują nam meblować życie wedle wyznawanych przez siebie ideologii itd. Fundamentem, którego w tych bojach broni Chesterton, jest chrześcijaństwo, które jest dla niego wyzwoleniem, a nie zniewoleniem, jak się nam teraz powtarza.

Gdy wczytamy się w eseje Chestertona, odkryjemy grono wrogów dobrze nam znanych z dzisiejszych bojów

Jak pisał Chesterton w jednym z artykułów prasowych: „Nie możesz uniknąć problemu Boga, bo czy mówisz o prosięciu, czy o dwumianie Newtona, wciąż mówisz o Nim. Otóż gdyby chrześcijaństwo było jakąś częścią metafizycznego nonsensu wymyśloną przez kilku ludzi, to stawanie w jego obronie oznaczałoby, oczywiście, nieustanne powtarzanie tego metafizycznego nonsensu. Ale gdyby jednak okazało się, że chrześcijaństwo jest prawdziwe, to jego obrona mogłaby oznaczać mówienie o dowolnych sprawach. Nic nie jest ważne przy założeniu, że chrześcijaństwo jest fałszywe, ale wszystko jest ważne, jeśli chrześcijaństwo jest prawdziwe".

Chrześcijaństwo jest prawdziwe, bo odmieniło nasz świat na lepsze, jest zatem warte zaciekłej obrony, bo tylko głupek i wariat chciałby zmiany na gorsze – cóż, żyjemy w czasach głupków i wariatów, którzy usilnie pracują na miano karpi głosujących masowo za przyspieszeniem Bożego Narodzenia. Nie bez powodu sięgam po porównanie kulinarne, bo broniąc rzeczy wielkich, Chesterton bronił także rzeczy małych, uznając je za równie ważne: prawa do sytego posiłku (mięsnego, tak!), szklaneczki ulubionego trunku, lektury romansu brukowego „i innych rzeczy wzgardzonych", jak głosił podtytuł przedwojennego wyboru pism Chestertona. Stanisław Baczyński, który ten tom w 1927 r. ułożył i przełożył, przypominał w przedmowie: „Sprowadzenie tajemnicy życia do systemu pozbawiło je już w zaraniu organów poezji: zdrowej ciekawości i entuzjazmu". Wzniosłość przekreślono jako niepotrzebny patos, wielkie gesty ośmieszono jako pretensjonalność itd.; kultura jest dziś „pogardą i ironią" – prawił Baczyński. I miał rację, i nic się do dziś nie zmieniło, toniemy jeszcze bardziej.

Przeciw temu wszystkiemu bił się w wybornym stylu, sięgając często po żart Chesterton, człowiek, który „napisał więcej, niż większość z nas zdoła w życiu przeczytać" (cytuję słowa o. Jamesa Schalla S.J.), ale u którego – jak zauważa Jaga Rydzewska – „ilość napisanych książek nie powoduje obniżenia jakości". To oczywiście znakomita wiadomość dla początkujących miłośników Chestertona – po jakąkolwiek książkę sięgniecie, jest wielka szansa, że traficie po prostu na dobrą. Apologeta wiary, apologeta normalności – jakże nam dziś potrzeba takich sojuszników. W biblioteczce człowieka ceniącego zdrowy rozsądek jego książki stać powinny tuż obok dzieł Rogera Scrutona.

Oddajmy więc na koniec głos samemu Chestertonowi. W „Heretykach" pisał: „Kiedy Chrystus w symbolicznej chwili zakładał Swoje wielkie stowarzyszenie, nie wybrał na kamień węgielny ani błyskotliwego Pawła, ani mistyka Jana, ale krętacza, snoba, tchórza – słowem, człowieka. I na tej opoce zbudował Kościół Swój, a bramy piekielne go nie przemogły. Runęły wszystkie królestwa i imperia, bo w niezmiennej wrodzonej słabości były zakładane przez silnych i wspierane przez silnych. Ale Kościół Chrystusowy, jako jedyny, został zbudowany na słabym człowieku, dlatego nic go nie zniszczy. Każdy łańcuch jest bowiem tak mocny, jak jego najsłabsze ogniwo".

Wróćmy zatem do książek Chestertona, by podając je sobie z rąk do rąk, wzmocnić najsłabsze ogniwa tego łańcucha.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Literatura jest kobietą!

Krzysztof Masłoń

Barbara Niechcic i Agnieszka Niechcicówna z filmu „Noce i dnie” FOT. TVP

Z Sienkiewiczowskiego „Potopu”, znanego niegdyś przez Polaków omalże na pamięć, pochodzi sławna kwestia Oleńki Billewiczówny, wyznającej w kościele Kmicicowi: „Jędruś! ran twoich nie godnam całować!”. Skoro tak, to czego godna była ta wybranka chorążego orszańskiego? Rodzenia dzieci temu warchołowi pierwszej wody?

A co Mickiewiczowska Zosia ma do powiedzenia swemu Tadeuszowi: „Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie, / Wszakże Pan będziesz mężem; ja do rady młoda, / Co pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!”. No pewnie, przyklaśnie wszystkiemu, co Soplica wymyśli! Bo i sama z siebie potrafi niewiele: „Umiem chodzić około domu, nosić klucze”. Dziś i całkiem małe dziewczynki szwendają się po podwórkach z kluczami na szyi i nie zawsze je gubią, tak jak nie wszystkie padają ofiarą pedofili. Choć prawie. W każdym razie anachronizm tej historii szlacheckiej sprzed ponad 200 lat w 12 księgach wierszem spisanej jest oczywisty i dalsze konserwowanie literackiego truchła w nowoczesnej szkole zarządzanej przez Nowacką Barbarę nie ma najmniejszego sensu.

Zresztą cały ten Mickiewicz, któremu Bóg raczy wiedzieć, po co nastawiano całą masę pomników od Paryża, przez Warszawę i Rzeszów, po Lwów i Odessę, jawi się jako klasyczny mizogin. Kto wszak napisał: „Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!”. Marny to z niego był poeta, jak w gruncie rzeczy marna była przez wieki całe nasza, pożal się Boże, literatura, w której brylowały jak nie Rębajły, to Rembeki. Cóż, tworzyli ją mężczyźni, mężczyźni ją oceniali, a kobiety do czytania nie garnęły się, bo i często nikt ich do szkół nie posyłał, utrzymując w ciemnocie i zacofaniu. Do czasu! Dziś faceci poza ligowymi tabelami niczego nie studiują, kobiety zaś ho, ho: i piszą książki, i wydają je, i recenzują, A w związku z tym mają niezbywalne prawo do decydowania o tym, czego ma uczyć się w placówkach oświatowych nasza dziatwa i co znajdować się ma na listach lektur obowiązkowych. Skądinąd nie są to wykazy nazbyt długie, jako że chwacko zdążamy ku wytyczonemu celowi, a nim jest ograniczanie książek, które uczniowie w ramach szkolnej edukacji muszą przeczytać, do jednego tytułu rocznie. Z całą pewnością nie wolno nam dopuścić do tego, by tą jedną, jedyną pozycją był Mickiewicz z „Panem Tadeuszem” czy podobnym jemu dziadostwem. Albo Sienkiewicz ze swoimi bohaterami, wśród których jedyny Zagłoba miał iloraz inteligencji dodatni, a cała reszta z Longinusem Podbipiętą i Michałem Wołodyjowskim rywalizować może o palmę pierwszeństwa w tępocie z inną postacią wykreowaną przez noblistę z roku 1905, a mianowicie z Bartkiem Słowikiem, nieprzypadkowo Głupim Bartkiem zwanym, z opowiadania „Bartek Zwycięzca”.

Jeśli chodzi o naszych klasyków, to czułą opieką należy otoczyć co najwyżej Elizę Orzeszkową, a warunkowo także Zofię Nałkowską i Marię Dąbrowską. Tej ostatniej zabrakło wprawdzie odwagi, by z Agnieszki z „Nocy i dni” uczynić prekursorkę LGBT, docenić jednak należy, że zanim pisarka nakazała jej interesować się (tfu!) mężczyznami, pięknie opowiedziała o fascynacjach Niechcicówny nauczycielką i koleżankami. Pamiętać powinniśmy także o przystawalności literatury z biografiami jej twórców, a pod tym względem nasze pisarki prezentują się całkiem nieźle.

Zachęcam też światłe grono ekspertów wytypowanych przez Nowacką Barbarę do przeprowadzenia zmian w nauczaniu języka polskiego, a co za tym idzie – do przewartościowania stosownych lektur, by śmielej sięgnęli po kontrowersyjne nawet tytuły. Dlaczego to bowiem w edukacji na poziomie ponadpodstawowym pomija się prekursorskie dzieło polskiego feminizmu, czyli „Pogankę” Narcyzy Żmichowskiej? Argument, że historia miłości Beniamina do pięknej Aspazji jest literaturą nienajwyższych raczej lotów, opiera się na zdaniu krytyków rodzaju męskiego, a w związku z tym trudno traktować go poważnie. Nawiasem mówiąc, może i postponowanej „Dzikusce” Ireny Zarzyckiej należałoby się przyjrzeć dokładniej?

Z literaturą powszechną są mniejsze problemy. Prosta droga wiedzie od „Małych kobietek”, przez „Dumę i uprzedzenie”, po „Opowieść podręcznej”. Nie dyskryminujemy oczywiście współczesnych książek, w końcu poza „Harrym Potterem” coś tam sensownego i ostatnio napisano. Ale nasz rodzimy wkład w tym względzie ograniczyć się powinien do wyposażonych w odpowiednie, a zarazem postępowe wątki miłosne powieści Olgi Tokarczuk z „Prawiekiem i innymi czasami” i z „Empuzjonem”. Naturalnie, poza dyskusją pozostają Marcel Proust, Tomasz Mann czy Kawafis. No i nieśmiertelna Safona.

Co innego jednak lektury dla wybranych liceów sprofilowanych humanistycznie, a co innego książki dla uczniowskiej masy. I tu musimy sobie zakonotować, i to raz na zawsze. Żadnych biskupów wymądrzających się nad niewiastami, która z nich wartościowa, a która nie: „Bogdaj to żonka ze wsi! A z miasta? Broń Boże!” (no jasne, dołączyłaby wtedy do Strajku Kobiet!). I żadnych Jagienek tłukących orzechy czterema literami. A Jędrusiowi z „Potopu” niech loda robi wierny Soroka. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

Spektakularne bitwy

Kadr z serialu „Frieren. U kresu drogi". Od lewej stoją: Frieren, Stark, Fern FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Michał Murgrabia

W drugim sezonie serialu „Frieren. U kresu drogi" odkryjemy kolejne regiony rozbudowanego świata fantasy, w którym nawet zwykła historia o budowie mostu potrafi przerodzić się w niesamowitą przygodę. Mamy tutaj mieszaninę rzeczy i wydarzeń, które są zarówno straszne, piękne, kolorowe, jak i skłaniające do głębokich refleksji o przemijaniu

Frieren powraca z nowym sezonem, a wraz z nią Fern i Stark! Serial zdążył nas już przyzwyczaić do powolnie przemijających scenerii, które swym pietyzmem i detalami cieszyły oko. Także tym razem krajobrazy pełne są zwierząt, soczystej zieleni, bujnych łąk kwiatów, leśnych duktów, palonych ognisk, miast i krystalicznie czystych strumieni. Kolejne etapy podróży przemierzane są bez zbędnego pośpiechu. No bo i po co? Każdego dnia gdzieś pędzimy, goniąc różne sprawy. Tu nie musimy. Tego samego nie można jednak powiedzieć o bitwach, które toczą nasi bohaterowie. Te, choć jest ich mniej niż w pierwszym sezonie, pozostały zaskakująco dynamiczne i tworzą ciekawy kontrast z resztą opowieści. W drugim sezonie zobaczymy nową galerię dziwacznych potworów i zdaje się, że z odcinka na odcinek groźniejszych. Bohaterom coraz łatwiej więc przychodzi ocierać się o śmierć, no może z wyjątkiem pradawnego maga-kobiety, wokół której zbudowana jest cała narracja. W końcu jej siła i mądrość opierają się na tysiącletnim doświadczeniu.

Warto nadmienić, że zwykle świat fantasy ukazuje elfów jako rasę, która oprócz odmiennego wyglądu i sztucznie dodanych cech zasadniczo niczego nowego nie wnosi, choć jest kilka chwalebnych wyjątków. Świat, który oglądamy z perspektywy Frieren, odsłania przed nami coś niespotykanego, co kształtuje niemal każdy element tej historii. Jej wiek realnie wpływa bowiem na sposób postrzegania dosłownie wszystkiego. Stanowi to podłoże dla wielu przemyśleń o przemijaniu świata ludzi i rzutuje na budowanie relacji z nimi, co stara się ona przezwyciężyć. Pozorna oschłość Frieren nie wynika z braku odczuwania emocji, ale jest raczej skorupą, formą chronienia siebie samej, przed cierpieniem spowodowanym rozłąką z tymi, którzy już odeszli. Zdaje się więc, że momentami ważniejsza od samego celu jest podróż. Podróż do samopoznania, do swego wnętrza. Motyw drogi i refleksje nad życiem i śmiercią dominują bowiem nad wszystkim i nieustannie powracają. To ta warstwa właśnie czyni serial czymś tak niepowtarzalnym.

UNIKALNY SIELANKOWY PULS

Odkryjemy kolejne regiony rozbudowanego świata fantasy, w którym nawet zwykła historia o budowie mostu potrafi przerodzić się w niesamowitą przygodę. Świat tutaj jest mieszaniną rzeczy i wydarzeń, które są zarówno straszne, piękne, kolorowe, jak i skłaniające do głębokich refleksji o przemijaniu. Jednemu wpuści do życia trochę słońca, a drugiemu pomoże uporać się

eprasa.pl b1c25d5852

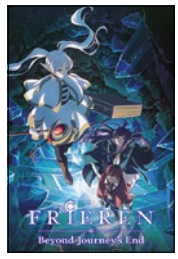

REŻ. TOMOYA KITAGAWA „FRIEREN. U KRESU DROGI" (SEZON DRUGI) JAPONIA 2026

z trudniejszym czasem w jego życiu, np. z żałobą, depresją czy drastycznym spadkiem samooceny. Jest miejsce na eskapizm, ale jest też zabawnie. Retrospekcji mamy wyraźnie mniej, o Himmelu wspomina się jakby rzadziej i lekko od niechcenia. Niestety, ale odcinków też jest mniej. To stanowi największą wadę drugiego sezonu, co chyba podkreśla 90 proc. jego sympatyków. To mimo wszystko może być jednocześnie zaletą kolejnej odsłony serialu o przygodach Frieren i jej towarzyszy, ponieważ fani odczuwają niedosyt, a lepszy przecież niedosyt niż przesyt. Darujmy sobie jednak te drobne uszczypliwości, bo na sezon trzeci będzie trzeba sporo poczekać. Ponoć sezon drugi jest sezonem przejściowym, przygotowującym nas na epickie przygody sezonu trzeciego. Obyśmy się tylko na nim nie zawiedli. Sezon drugi ogląda się równie dobrze, jak pierwszy, choć był znacznie krótszy od niego. Za krótki! Kiedy więc mamy spodziewać się trzeciego sezonu? Dopiero w październiku 2027 r. Czy to długo? Z perspektywy elfów nie bardzo, więc może lepiej tak na to spójrzmy.

Serial tętni własnym życiem i ma swój unikalny sielankowy puls, bez którego całość nie wypadłaby tak przekonywująco. Po odejściu od ekranów można odnieść wrażenie, że świat, który pozostawiliśmy przed chwilą za sobą, nadal żyje. Gdzieś tam w tle Stark ucieka właśnie przed smokiem, a Fern wzbija się w powietrze, aby ostrzelać z dystansu Zoltrakiem jakieś gigantyczne bestie. Na koniec wszyscy razem udają się do karczmy. Tam, za resztę pieniędzy, jedzą ostatni obiad przed podjęciem kolejnej pobocznej misji, za którą dostaną prawie bezwartościowe księgi magiczne. No i tak to się sympatycznie kręci. Postacie podążają naprzód, dzieci biegają za kościołem, a w mroku lasu, gdzie opadła już mgła, znów czai się zło.

W całej tej historii ani przez chwilę nie czuć smrodku zachodniej zgniłej kultury. Świat jest przemyślany i kompletny. Wszystko ma swoje miejsce. Pielęgnowana jest tradycja, którą można dostrzec w tym, że mieszkańcy poszczególnych miasteczek dbają o pomniki dawnych bohaterów. Niegdyś zniszczone wioski zostają odbudowane, a inne trwają pomimo okrucieństwa, które na nie spadło.

CKLIWE OPOWIEŚCI, KTÓRE NIE MĘCZĄ

Fern przyswaja od swojej ukochanej mistrzyni zamiłowanie do… No właśnie, sami się przekonacie. W każdym razie znajdą się też oczywiście kolejne, na pierwszy rzut oka bezużyteczne Grimuary do kolekcji. Nigdy dość! Między nią a Starkiem rozkwita uczucie, które wejdzie w nieco dojrzalszą fazę, choć niespiesznie i trochę nieporadnie. Koniec końców, przyjemnie się patrzy na to, jak powoli odkrywają, ile dla siebie znaczą. Ot, takie ludzkie drobiazgi i małe ckliwe opowieści, które nie męczą, gdy się je ogląda. Bitwy są zatem spektakularne, a życie proste i zwyczajne. Mamy więc w tym wszystkim zachowaną wyraźną równowagę. Do tego dochodzi wyborna ścieżka dźwiękowa, której twórcą jest Evan Call. Niektórzy wręcz porównują ją do muzyki z „Władcy Pierścieni". Czy jest aż tak dobra? Trudno powiedzieć, ale z pewnością jest naprawdę niezła. Bez żadnych zawahań można więc stwierdzić, że ten serial zasługuje na miano japońskiej perełki.

Frieren i Fern nie są jedynymi magami w tej historii. Oprócz nich mamy także magów pobocznych, których z pewnością zapamiętamy. Zwłaszcza Methode za jej nietypowe zachowania wobec Frieren. Przez chwilę pojawia się również Denken, którego rola w serialu bynajmniej jeszcze nie przeminęła. No i Genau, który z pewnością swoimi umiejętnościami zaskoczy wszystkich. Szczególnie że będzie mógł rozwinąć skrzydła przy jednym z naszych głównych bohaterów. Każdy z nich ma swój własny styl, swoje ulubione czary, swoje specjalizacje, upodobania, przywary, a nawet dziwactwa, ale to jest właśnie w tym wszystkim wspaniałe. Mają charakter i mają zarazem to „coś". Twórcy Frieren potrafili stanąć na wysokości zadania i stworzyli całą paletę mocnych i niezapomnianych sylwetek, które pozostaną w naszej pamięci na długo. To samo dotyczy demonów, po których nie wiadomo, czego można się spodziewać. Krzyżują się więc różne szkoły, taktyki i rodzaje zaklęć. Jedno pozostaje jednak bez zmian: demony są złe, a bohaterowie są dobrzy, jednoznacznie dobrzy, choć wciąż obarczeni ludzkimi wadami – potrafią zirytować lub nawet zażenować widza, ale wszystko w granicach przyzwoitości. Podział na dobro i zło jest wyraźny… I tak ma być!

W japońskiej produkcji ani przez chwilę nie czuć smrodku zachodniej zgniłej kultury. Świat jest przemyślany i kompletny

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bohaterowie serialu „Frieren. U kresu drogi" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b1c25d5852

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Grosik za twe myśli

★★★★☆☆

REŻ. KRISTOFFER BORGLI „DRAMA" („THE DRAMA")
USA 2026,

wyst. Zendaya, Robert Pattinson, Alana Haim
do wypożyczenia w serwisach VOD

Drama" to komedia antyromantyczna. Bohaterowie są antypatyczni, ich bliscy i znajomi zamiast pomagać miłości – przeszkadzają. Złośliwe to i skąpane w czarnym humorze. Obraz klasy średniej współczesnej Ameryki bardziej ponury, niż gdy śledziliśmy losy małżeńskiej pary w „Wojnie państwa Rose". Tyle że w filmie Kristoffera Borgli czasy małżeńskie mają dopiero nadejść; na razie – jak przystało na komedię romantyczną… wróć: antyromantyczną – śledzimy wypadki poprzedzające ślub. Zatem: kochają się naprawdę czy nie? Rozejdą się, by zejść? Zejdą się, by rozejść? Takie tam sprawy.

Niespodziewanie odkrywamy w tym filmie problem realny: Czy prawda nas wyzwoli? W sensie: prawda to piękna i ważna rzecz. Ale czy zakochani powinni mówić sobie wszystko? Nie chodzi o licencję na kłamanie i oszukiwanie, lecz o przeszłość. Każdy w życiu to przeszedł i każdy wie, jak grząski to grunt: opowieści o rozmaitych „eks", o tym, która miłość była prawdziwa, a która okazała się tylko szczenięcym zauroczeniem… Emmę i Charliego grają Zendaya i Robert Pattinson. Hollywood wciąż się wydaje, że mają charyzmę. Otóż nie, nie mają.

W chwili gdy Emma wyznaje, że planowała za młodu wystrzelać swoich szkolnych kolegów i koleżanki, sprawy przybierają już inny kierunek. To już nie pytanie o granice tego, co można o sobie zdradzić innym, ale o karę za myślozbrodnię. Cóż bowiem z tego, że Emma nigdy giwery w dłoń nie wzięła i raczej tylko w myślach rozważała akt morderczej frustracji? Powinna za to ponieść karę. Jaką? No, przynajmniej ostracyzm ze strony znajomych, zwłaszcza że koleżanka ma w rodzinie osobę naprawdę postrzeloną w prawdziwej strzelaninie.

Dla katolików sprawa oczywista, wszak spowiadamy się słowami „zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem", tyle tylko że pozostaje to między nami a Panem Bogiem. Dożyliśmy jednak czasów, w których ponoć ekshibicjonizm myślozbrodni prowadzący do publicznego biczowania jest obowiązkowy, w każdym razie tego domaga się tłum woke i cancel culture. Tego kierunku akurat Kristoffer Borgli nie penetruje. Szkoda. A prawda? Cóż, w życiu codziennym okazuje się próbą o charakterze niszczącym. ©℗

GRA TYGODNIA: „TOMODACHI LIFE: LIVING THE DREAM"

★★★★☆☆

Należę do tego typu graczy, którzy kreator postaci przeklikują po łebkach, by jak najszybciej zacząć rozgrywkę. Na przeciwnym biegunie są ci, którzy dopieszczają każdy detal, by ich postać wyglądała dokładnie tak, jak to sobie zaplanowali. „Tomodachi Life" jest zdecydowanie dla tych drugich. Po stworzeniu naszych Mii trafiamy z nimi na wyspę, by – nie mając nad nimi pełnej kontroli – spełniać ich zachcianki i je uszczęśliwiać. Specyficzna gra dla specyficznego typu gracza z dziecięcą wyobraźnią. ©℗

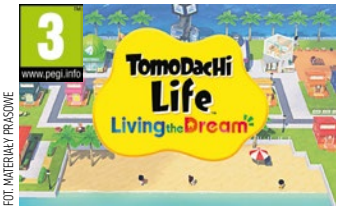

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***symulacje***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch***
- ***Producent, dystrybutor:*** ***Nintendo, ConQuest***

eprasa.pl b1c25d5852

Mała Apokalipsa

polsat box go

★★★☆☆

REŻ. JAN KOMASA
„ROCZNICA” („ANNIVERSARY”)
USA 2025

wyst. Diane Lane, Kyle Chandler, Phoebe Dynevor

Liberalizm, faszyzm i zwątpienie w jednym stały domu, czyli Jan Komasa wieszczy koniec świata, który znamy. Anglojęzyczny debiut polskiego reżysera jest przerażająco teatralny, akcja rozgrywa się w jednym miejscu, lecz ambicji odmówić mu nie sposób. Ellen, wykładająca literaturę na prestiżowej uczelni, świętuje 25-lecie udanego związku z szefem snobistycznej garkuchni. Poznali się – jakżeby inaczej – w muzeum sztuki nowoczesnej w Nowym Jorku. Szampański nastrój psuje Liz, wydalona z uniwersytetu za głoszenie „antydemokratycznych” poglądów. Była studentka objawia się jako narzeczona zakompleksionego syna Ellen.

Wojna dwóch charakternych pań oczywiście jest symbolem konfliktu dwóch Ameryk: sytej, aroganckiej i odklejonej od rzeczywistości z biedną, aspirującą i demagogiczną. Komasa wchodzi w buty publicysty, straszącego polaryzacją, jednak symetryzm go nie kręci. Portretując elitę, używa barw pastelowych. Owszem, pani Taylor ma nerwy na wierzchu, ale jej małżonek to porządny chłop z krwi i kości. Prędzej by się powiesił, niż podał na stół przeterminowaną wołowinę. Druga strona sporu autorów filmu właściwie nie interesuje. Patrzymy na nią wyłącznie oczami adwersarzy.

Wizja przyszłości USA pokazana w „Rocznicy” może być nawet trafna. Sfrustrowani wyborcy ulegną pokusie, by sprawdzić, jak żyje się w systemie jednopartyjnym. Zafundują sobie reżim, który pod sztandarem walki z politykierstwem upolityczni wszystko. Kto im zabroni? Nie da się jednak uwiarygodnić dystopii, mając za pazuchą scenariusz balansujący na krawędzi groteski. Żal zmarnowanego wysiłku aktorów, szkoda czasu i atłasu. Dopóki Komasa eksploatuje ludzkie emocje, wyprowadza bohaterów z ich strefy komfortu, dopóty „Rocznicę” chce się oglądać. Gdy z dramatu robi się political fiction z intrygą szytą bardzo grubymi nićmi, magia pryska. Nie zdziwiła mnie wiadomość, że film kosztujący 7 mln dol. nie zarobił nawet 700 tys. Cieszę się, że reżyser wyciągnął wnioski z porażki – „Dobry chłopiec” jest o klasę lepszy. A wszystkim, których rajcują widowiska o rodzinnych katastrofach w epoce historycznego przełomu, zalecam powrót do „Tanga” Sławomira Mrożka. ©℗

Wiesław Chełminiak

SAMOTNA WŚRÓD SAMCÓW

Setna rocznica urodzin Normy Jeane Baker jest kolejną okazją do kolportowania tezy o wybitnej aktorce, którą do grobu wpędził patriarchat skoncentrowany na walorach cielesnych. Według tej narracji jedynym filmem boskiej MM godnym uwagi są „Skłóceni z życiem”. Sama zainteresowana cieszyła się, że wreszcie gra w dramacie. Drażniło ją tylko, że Arthur Miller (autor scenariusza i jeszcze przez chwilę mąż) okazał się tak mało dyskretny. Roslyn – naiwne i rozkojarzone dziewczę, zgadzające się na spontaniczny wypad za miasto w towarzystwie dwóch przygodnie poznanych panów – była klonem Marilyn. Fama głosi, że film o łowcach mustangów przyczynił się do rozwodu i samobójstwa gwiazdy. Nostalgia przenika każdy kadr, jest to bowiem również łabędzi śpiew 59-letniego Gable'a. Dwa miesiące przed premierą aktor zmarł we śnie. ©℗

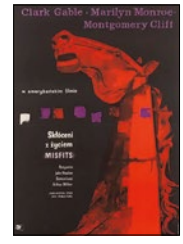

tv

★★★★☆

REŻ. JOHN HUSTON
„SKŁÓCENI Z ŻYCIEM” („MISFITS”)
USA 1961

wyst. Marilyn Monroe, Clark Gable, Montgomery Clift

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Józef Makal patrzy

Józef Makal przez prawie cztery dekady pracował jako fotoreporter „Dziennika Zachodniego” i w tym czasie tworzył wielowymiarowy zapis życia Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego drugiej połowy XX w. „Z wyjątkową uważnością obserwował lokalnych mieszkańców – w pracy, na ulicy, w chwilach odpoczynku i spotkań. Interesowały go gesty, relacje i sytuacje, które tworzą autentyczny obraz życia społecznego – piszą autorzy wystawy »Józef Makal. Cztery dekady, jedno spojrzenie«. – Jego naturalnym środowiskiem było miasto: ulice, place, osiedla i podwórka, gdzie codzienność splata się z dynamiką przemian urbanistycznych. Ważnym kontekstem tej rzeczywistości pozostaje przemysł – obecny jako tło i siła organizująca rytm życia, ale nigdy nieprzesłaniający człowieka”.

Józef Makal zmarł w 2021 r. Jego dorobek odkrywano na nowo po odnalezieniu przez rodzinę artysty bogatego archiwum. Do Muzeum Śląskiego trafiły tysiące negatywów i diapozytywów. ©℗

FOT. ŁUKASZ GIZDER / MUZEUM ŚLĄSKIE

GDZIE?
Muzeum Śląskie w Katowicach
KIEDY?
do 8 listopada

eprasa.pl b1c25d5852

MOJA PÓŁKA

Suma wszystkich strachów

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Jeśli wierzyć autorowi omawianej tu książki, to powojenny chaos i poczucie tymczasowości skłaniały społeczeństwo polskie do jednoczenia się w opozycji do Niemców – co wydaje się oczywiste, Ukraińców – zrozumiałe w południowo-wschodniej części kraju, Białorusinów – w północno-wschodniej Polsce i Żydów, z czym Marcin Zaremba ma największy problem, poświęcając tej kwestii najwięcej uwagi.

Jakie rozmiary przybrały powojenne pogromy ludności żydowskiej? Pięć lat temu Julian Kwiek, pisząc „Nie chcemy Żydów u siebie. Przejawy wrogości wobec Żydów w latach 1944–1947", ustalił liczbę zamordowanych na minimum 1121 osób. Tu warto zwrócić uwagę na to, że po 1947 r. antysemickie pogromy nie miały już miejsca. „Rok 1948 – powiada Marcin Zaremba – rok ogłoszenia początku kolektywizacji, przyspieszenia procesu stalinizacji – otwiera już nowy rozdział w dziejach polskiego strachu".

Swoją pracę, po raz pierwszy wydaną w 2012 r., Zaremba poświęcił właśnie wielkiej trwodze. Polacy po zakończeniu wojny nie tylko bowiem cieszyli się pokojem i odbudowywali zniszczone państwo, lecz także się bali. Panował – czytamy – „wszechobecny strach przed głodem, przemocą, chorobą i kolejną wojną. Przed władzą, sąsiadem, obcym i własną przeszłością". „Nie ma takiej miary – nie bez racji wywodzi autor – która by pozwoliła sprawdzić, czyje poczucie zagrożenia było większe: Żyda przed pogromem czy Polaka przed Urzędem Bezpieczeństwa, polskiej, ukraińskiej czy niemieckiej rodziny przed wysiedleniem i poniewierką. Była to »upiorna dekada« – by użyć określenia Jana Tomasza Grossa. Koncentrując się na nim, możemy jednak dostrzec ważne siły kształtujące powojenną rzeczywistość, dotrzeć do źródeł ówczesnych konfliktów i napięć, także tych międzyetnicznych".

Cóż, w marcu 1945 r. Primo Levi od spotkanego na wyzwolonych już terenach polskiego adwokata usłyszał: „La guerre n'est pas finie". A skoro wojna się nie skończyła, to Polak radził mu, by nie przyznawał się do żydowskiego pochodzenia, a i nie mówił po niemiecku. Na pewno takie stwierdzenia, jak to, że np. „wszyscy" Polacy byli antysemitami, a „wszyscy" Ukraińcy to rezuny, są stereotypami nie do przyjęcia. Ale… w 1945 r. rzeczywiście „nieomal wszyscy Polacy odczuwali nienawiść do Niemców".

Z Żydami inna sprawa. Czy istotnie funkcjonował wtedy jeszcze mit mordu rytualnego i to on odegrać miał kluczową role w pogromach, do których doszło w Krakowie, Rzeszowie i Kielcach? Zaremba odpowiada twierdząco na to pytanie. Ale że historia owego mitu opartego na strachu przed żydowskim wampiryzmem to, jak twierdzi autor, dzieje wielkiej trwogi w pigułce, to już gruba przesada. Wymowny jest za to osobisty przykład, którym posłużył się autor „Wielkiej trwogi" na okoliczność nieprzystawalności dwóch „prawd": polskiej i żydowskiej: „Moja babcia Olga Kopecka, żona oficera zamordowanego przez NKWD w 1940 r. w Charkowie, mimo iż jego nazwisko nie znalazło się na liście katyńskiej, nie miała wątpliwości, że padł ofiarą bolszewików. Janina Bauman długo nie mogła uwierzyć, że jej ojciec, oficer WP, zginął zamordowany w Katyniu przez jej późniejszych wyzwolicieli".

Otóż to, Żydzi wiwatujący na widok Armii Czerwonej budzili w Polakach fatalne resentymenty, tamci zaś nie mogli (do czasu) pojąć, że kałmuckie mordy sowieckich sołdatów nie kojarzyły się naszym ojcom i dziadkom z wyzwoleniem. Wręcz przeciwnie. I jeszcze jedno: można manipulować najróżniejszymi statystykami mającymi udowodnić, że kadry znienawidzonej ubecji były polskie, a nie żydowskie, a jednak np. poeta Wojciech Bąk po śledztwie w wiadomym urzędzie skarżył się, że bili go Żydzi. Nie mówił: „ubecy", mówił: „Żydzi".

Największą wartością książki Marcina Zaremby jest przypomnienie tego, jacy byliśmy niewyobrażalnie wręcz biedni, pozbawieni dachu nad głową, wygłodzeni. Istniało, cóż że skrywane, bezrobocie, kwitła spekulacja, w nędzę wpędzała niestabilność pieniądza (latem 1946 r. dolar kosztował 500 zł, we wrześniu płacono zań 750 zł, w październiku 1000 zł, a na początku listopada 1100 zł), nad Polską krążyło widmo kolektywizacji i nacjonalizacji.

Rzekomi „wyzwoliciele" budzili przerażenie dokonywanymi gwałtami i zabójstwami. U jednych Polaków – twierdzi Zaremba – rodziło to chęć rewanżu, u innych – pragnienie naśladownictwa. Tego ostatniego to akurat nie byłbym pewny, Sowietów bowiem, owszem, bano się, ale i gardzono nimi powszechnie. Tak czy inaczej, trzeba się zgodzić z przywoływanym przez autora zdaniem Hugona Steinhausa: „Tak rośnie bałkanizacja".

Rosła, rosła, aż urosła. I wciąż, jeszcze przez długie lata, nie byliśmy pewni, czy mamy do czynienia z państwem polskim czy jakąś nieznaną nam, a na pewno wrogą formą narzuconej narodowi władzy utrzymującej się na dobrą sprawę tylko na ruskich bagnetach. Z czym nie chcieli się pogodzić Żołnierze Wyklęci, o których autor ledwie wspomina, akcentując za to działania żołnierzy (tych samych?) nazwanych upadłymi. ©℗

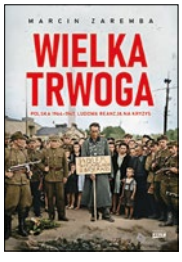

★★★★☆☆

MARCIN ZAREMBA „WIELKA TRWOGA. POLSKA 1944–1947. LUDOWA REAKCJA NA KRYZYS"
ZNAK HORYZONT, KRAKÓW 2026

eprasa.pl b1c25d5852

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Szaleństwa Iana

Dobra wiadomość – podróże w czasie są możliwe. Zła wiadomość – technologię trzymają w garści Chiny, które w połowie XXI stulecia trzymają w garści cały świat. A jako że Chińczycy nie są w ciemię bici, to ze względów bezpieczeństwa centralą operacji temporalnych uczynili Oksford. Bo jeśli coś złego miałoby się wskutek tych podróży wydarzyć, to niech łupnie po drugiej stronie globu. Podróżników w czasie – zbiedniałych po brexicie naukowców – nadzoruje rezolutna pani pułkownik Maggie Mo.

Zmarły niedawno brytyjski mistrz fantastyki Ian Watson pożegnał się z nami książką zwariowaną, przezabawną i wymagającą nie lada skupienia od czytelnika. Wszystko tu galopuje: akcja, kalambury, aluzje do rozmaitych dzieł (nie tylko literackich); a w pewnym momencie nawet alternatywne rzeczywistości zaczną migać przed oczami, jakby to były tylko kolejne drzewa widziane z okna ekspresu. Pani pułkownik zamiast pilnować linii chińskiej partii komunistycznej, preferującej łagodne ingerencje w czas dla dobra imperium, postanawia dokonać wielkiej zmiany. I cofnąć się do czasów jednoczenia Chin, porywając po drodze Napoleona. Potem z myśliwego zamieni się w ofiarę – tajemniczy porywacz przywłaszcza sobie wehikuł i rozpoczyna własną odyseję przez wieki.

Powieść „Chiński wehikuł czasu" jest domknięciem cyklu opowiadań publikowanych wcześniej w magazynach SF, ale można czytać ją także bez znajomości poprzednich tekstów. Czytać trzeba jednak uważnie, tak jak czytamy najtęższych postmodernistów. W istocie bowiem proza Watsona ma więcej wspólnego z Pynchonem, Cooverem czy Barthem niż z typowymi opowieściami science fiction. Styl, język, literacka gra są tu najważniejsze. Ktoś powie: No dobrze, cóż to za osiągnięcie, pół wieku po wymienionych pisarzach? Ja widzę jednak szklankę do połowy pełną: oto dowód, że dobry pisarz SF potrafi spod małego palca strzelić podobne kawałki, kiedy tylko mu się chce. No i pod warunkiem że ma dynamit w piórze, jak Ian Watson.

Podobno opowieści o chińskim wehikule czasu cieszą się wielką popularnością we współczesnych Chinach. Nie rozpędzałbym się na miejscu tamtejszych czytelników. Ta opowieść tylko pozornie głosi chwałę Pekinu, w istocie aksamitny totalitaryzm jest tu wyszydzony tak samo, jak dekadencja Zachodu. ©℗

★★★★★☆

IAN WATSON „CHIŃSKI WEHIKUŁ CZASU" STALKER BOOKS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Podtytuł: „Wiara chrześcijańska w dziesięciu słowach". A zaczyna swą przedmowę Ojciec Święty od słów: „Chrystus, wspólnota, pokój". Orędzia, przesłania i homilie wygłoszone między majem a sierpniem roku 2025.

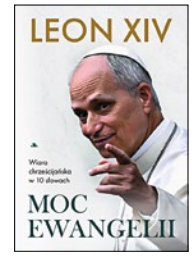

LEON XIV „MOC EWANGELII" WYDAWNICTWO AA

Odłóżmy smartfony, wzmocnijmy koncentrację, odzyskajmy wolność, buntujmy się przeciw technologii. Ilustrowany poradnik dla dzieci i młodzieży pióra autora „Rozpieszczonego umysłu" i „Niespokojnego pokolenia".

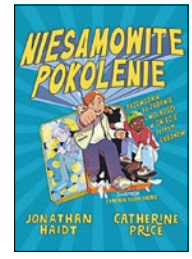

JONATHAN HAIDT, CATHERINE PRICE „NIESAMOWITE POKOLENIE" ZYSK I S-KA

Podróż braci w Himalaje tropem legendarnej „Latającej Góry" (podobno wyższej niż Everest): opowieść o rodzinie i poświęceniu, i o chińskich rządach w Tybecie. Coś pomiędzy sprawną sentymentalną konfekcją, a solidną prozą.

CHRISTOPH RANSMAYR „LATAJĄCA GÓRA" PIW

Greckimi drogami, czyli nietypowy przewodnik po Grecji (zarazem dziennik podróży). Autor, z wykształcenia biolog, opowiada bowiem o naszym ulubionym celu wakacyjnych wędrówek z pasją i wiedzą przyrodnika.

recenzuje Piotr Gociek

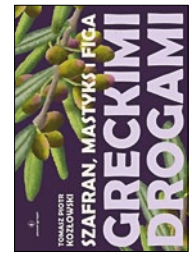

TOMASZ P. KOZŁOWSKI „SZAFRAN, MASTYKS I FIGA" POWERGRAPH

KOMIKS TYGODNIA:
LICENCJA NA CZARY

Dylemat czarownicy Jagi stracił ważność. Aby znów czarować, musi udać się na Wyspę Czarownic. Wraz z nią wędrują Łamignat oraz Kajko i Kokosz. Do tego kraina borostworów, zbójcerze sprzedający Ofermę za kilka zaklęć i uroków, wodna magia, zaczarowany kapelusz wiatrów i wiele innych atrakcji. Najlepszy, jak dotąd, album z serii „Kajko i Kokosz. Nowe przygody".

Piotr Gociek

AUTORZY RÓŻNI „PROCES JAGI" EGMONT 2026

eprasa.pl b1c25d5852

Najgorsze przed Ukrainą?

Po rosyjskim ataku na Kijów, 24 maja 2026 r.

FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

Wojciech Golonka

Założenie, że dygnitarzom kremlowskim nie opłaca się puścić z dymem Europy – bo wciąż mieszkają w niej ich rodziny – nie współgra z powracającym stale przekazem propagandowym agencji wywiadów poszczególnych krajów europejskich, informujących nas raz po raz, kiedy Rosja zaatakuje NATO

Bezprecedensowe uderzenie rakietą Oriesznik w Kijów, jakkolwiek sensacyjne i siejące grozę, wraz z zapowiedzią rosyjskich sił zbrojnych, że ukraińska stolica będzie dalej bombardowana, oraz oficjalnym wezwaniem Amerykanów do jej opuszczenia nie jest bynajmniej przejawem nagłej eskalacji wojny na Ukrainie, a naturalną konsekwencją tego, co charakteryzuje ten konflikt w zasadzie od samego początku. I choć dotychczasowy przebieg wojny mógł rodzić pytanie, czy po stronie rosyjskiej rzeczywiście są jakieś nieprzekraczalne czerwone linie (a nie li tylko deklarowane), to już samo nastawienie obu walczących stron, uwzględniając zachodnich partnerów Ukrainy, oznaczało, że stawka w tym konflikcie może być windowana w górę bez większych ograniczeń, doprowadzając do sytuacji patowej (czytaj: rozejmu) … lub brutalnej eskalacji, jeśli nie wręcz rozlania konfliktu na kraje ościenne. Dlatego też po kilku miesiącach relatywnego medialnego spokoju wokół wojny na Ukrainie, spowodowanego w dużej mierze wojną amerykańsko-perską z jej globalnymi konsekwencjami, dynamika ostatnich wydarzeń w konflikcie przy naszych granicach przypomniała, że jego natura jest właśnie eskalacyjna, a ryzyko jego rozlania bynajmniej niezażegnane, wciąż realne i do pewnego stopnia możliwe, jeśli nie wręcz prawdopodobne.

Kiedy kilka tygodni temu Daniel Davis, emerytowany podpułkownik armii Stanów Zjednoczonych, rozpoczął na swym kanale na YouTube, liczącym przeszło pół miliona subskrybentów, serię rozmów z komentatorami i ekspertami odnośnie do możliwości rozlania się konfliktu ukraińskiego na kraje ościenne, włącznie z możliwością zaangażowania także samych USA, hipotezy te – przedstawiane przez niektórych rozmówców jako pewniki – wydawały się wówczas dość abstrakcyjne. Wprawdzie ich tok rozumowania był interesujący – pokrótce

eprasa.pl b1c25d5852

go za chwilę przytoczę – jednak bieżące okoliczności wydawały się zgoła inne niż te, na które się powoływano.

WOJNA POWINNA SIĘ SKOŃCZYĆ

W rzeczy samej, choć nie zabrzmi to dobrze, świat przyzwyczaił się już do regularnej wymiany uderzeń z powietrza w głąb terytorium między Rosją a Ukrainą, a na polu bitwy ta zasadniczo mozolna wojna bez końca na wyniszczenie dawno nie wykazywała odczuwalnych postępów po stronie Rosji, co świadczy o dobrze ustabilizowanym froncie, z możliwymi zresztą efektywnymi kontratakami po stronie ukraińskiej. Logicznie rzecz ujmując, wojna ta powinna się skończyć, kiedy jednej ze stron skończą się ku temu właściwe zasoby, a przez to strona ta stałaby się skłonna do niekorzystnych dla siebie ustępstw. Skoro zaś poparcie i finansowanie ukraińskich sił zbrojnych, a także samego ukraińskiego państwa jest po stronie Unii Europejskiej, jej członków i sojuszników długoterminowo stabilne i pewne – jak się zdaje – to możliwość zmuszenia Rosji do ustępstw i zamrożenia konfliktu na niekorzystnych dla niej warunkach wydawała się wielu całkiem realna.

Wprawdzie wraz z wojną na Bliskim Wschodzie nad samą Europą zawisło obecnie widmo kryzysu energetyczno-paliwowego, zwiększające jeszcze bardziej ryzyko recesji, a sama Rosja, wraz z niedoborem ropy na światowych rynkach, zyskała tym samym chwilowo potężny finansowy zastrzyk, mimo to poczucie tej długofalowej „stabilności" nie wydaje się zanadto zachwiane. Zresztą już same rozwiązania technologiczne dostępne i stale rozwijane po stronie Kijowa, których – w przypadku rozwiązań defensywnych – najwyraźniej zabrakło Amerykanom na Bliskim Wschodzie wobec irańskich odwetów rakietowo-dronowych, a które to – w przypadku rozwiązań ofensywnych – dają się mocno we znaki także Moskwie, jak w przypadku stałej ukraińskiej presji na rosyjskie rafinerie – to już sama ta swego rodzaju ukraińska autonomia technologiczna przemawia za możliwością utrzymania przez Ukrainę tego korzystnego dla siebie – jak się wydaje – obecnego status quo.

W każdym razie to w tym kontekście rozważania Davisa i jego rozmówców, skierowane zasadniczo do publiki amerykańskiej, o tym, że wojna na Ukrainie ostatecznie doprowadzi do uderzeń w państwa NATO, z możliwą eskalacją do poziomu broni jądrowej włącznie, wydawały się mocno abstrakcyjne, opinią bez większego poparcia w trakcie bieżących wydarzeń wojennych.

Tymczasem wraz z, z pozoru nagłą, eskalacją wokół uderzenia Oriesznikiem w Kijów, wraz z uderzeniem ukraińskich dronów w Królewiec (rzekomym lub prawdziwym) z wykorzystaniem przestrzeni powietrznej Polski lub Litwy, wraz z komunikatem Rosjan, przekazanym oficjalnie Amerykanom, wzywającym do wycofania ich obywateli z Kijowa, wraz także z oficjalnym stanowiskiem rosyjskiego MSZ o wyczerpaniu cierpliwości Kremla perspektywa niebezpiecznej eskalacji stała się faktem. Nie chcę tu zbytnio skupiać się na roztrząsaniu, która wersja wydarzeń jest prawdziwa, czy atak na Kijów był rzeczywiście odwetem za ukraińskie uderzenie w internat dziewczęcy w Starobielsku w obwodzie ługańskim inkorporowanym do Rosji czy pretekstem. Rosjanie twierdzą, że zginęli niewinni cywile, Ukraińcy – iż uderzono w obiekt, gdzie przebywali wojskowi. Na podstawie dostępnych lub celowo pomijanych informacji, spójności i niespójności, mniej lub bardziej wiarygodnych świadectw można sobie indywidualnie wyrabiać opinię. Ale nie ta opinia jest akurat najważniejsza, choć to wzajemne oskarżanie się o bombardowanie i zabijanie cywilów po prostu potwierdza, że w tym konflikcie po obu stronach obiekty cywilne wykorzystywane są na potrzeby wojskowe. Chcę jednak powiedzieć, że niezależnie od właściwej przyczyny atak Oriesznikiem na Kijów przede wszystkim wpisuje się w ogólną wypadkową sił sterujących tym konfliktem.

PREZYDENCI USA PRZECIW ESKALACJI

Przypomnijmy, że na początku wojny prezydent Francji oznajmił, że Rosja za żadną cenę nie może tej wojny wygrać, a w chwili gdy Ukraina była gotowa zawrzeć rozejm, Wielka Brytania przekonała Kijów do kontynuowania walki obronnej. Rozkładając myśl Emmanuela Macrona, która doskonale podsumowuje ostatnie cztery i pół roku wojny, na czynniki pierwsze, otrzymujemy, co następuje: Rosja nie może odnieść w tej wojnie czegoś, co stanowiłoby dla niej korzyść strategiczną, i nie ma ceny, której nie należałoby w tym celu ponieść. Innymi słowy: dla zachodnich sponsorów ukraińskiego wysiłku zbrojnego, jeszcze bardziej niż dla samego Kijowa, wojna musi skończyć się przynajmniej rosyjskim impasem, jeśli nie strategiczną klęską. To, co w tym rozumowaniu i procesie jest kluczowe, to fakt, że w ostateczności to nie sama Ukraina do pewnego stopnia szachuje Rosjan na polu bitwy – to wiele krajów wspierających Ukrainę ostatecznie uniemożliwia Rosji uzyskanie rozstrzygającej przewagi, ale także umożliwia – trzeba to podkreślić – raz to dotkliwe, raz to upokarzające ataki w głąb Federacji Rosyjskiej ze strony Ukrainy, których to Ukraina w takiej częstotliwości, precyzji i natężeniu sama dokonywać by nie mogła.

I tu dochodzimy do poruszonej przeze mnie z początku kwestii „nieprzekraczalnych" dla Rosji czerwonych linii – czy takowe rzeczywiście istnieją, a jeśli tak, to czy dotyczą one również państw zachodnich. Że one rzeczywiście istnieją, potwierdzili to explicite dwaj prezydenci USA. Najpierw Joe Biden oznajmił, że nie można dopuścić do konfrontacji Ameryki z Rosją, w domyśle: gdyż byłaby to wojna nuklearna, gdzie nie byłoby wygranych; z kolei Donald Trump niejednokrotnie chlubił się, że wycofując USA z wojny rosyjsko-ukraińskiej, zapobiegł wybuchowi trzeciej wojny światowej (USA w pierwszym roku jego prezydentury zmieniły pierwotną bezpośrednią formę amerykańskiej pomocy na rzecz sprzedaży swym europejskim sojusznikom uzbrojenia dla Ukrainy; możliwe zaangażowanie amerykańskiego wywiadu po stronie Ukrainy pozostaje niejawne, w praktyce sugerowano jego przejęcie przez europejskie kraje, z Francją i Wielką Brytanią na czele). Że te czerwone linie zdają się jednak nie istnieć – taka konkluzja mogłaby się narzucać na podstawie obserwacji dotychczasowego przebiegu wojny, gdzie w praktyce co śmielsze uderzenia Kijowa w Federację Rosyjską, niemożliwe bez kluczowego wsparcia ze strony zachodnich partnerów Ukrainy, spotkały się co najwyżej z działaniami odwetowymi wobec Kijowa, bez konsekwencji dla innych graczy. Przypomnijmy: uderzenia brytyjsko-francuskimi taktycznymi pociskami manewrującymi

eprasa.pl b1c25d5852

o niskiej wykrywalności Storm Shadow/SCALP-EG, inwazja na obwód kurski, ataki na infrastrukturę wszelaką na Krymie i w rosyjskich obwodach, a przede wszystkim spektakularny atak dronowy na powietrzną część rosyjskiej triady nuklearnej, tj. bombowce strategiczne, których przeszło jedna trzecia została zniszczona lub wyeliminowana na dłużej z użytku w czerwcu 2025 r. – wszystkie te ruchy byłyby niemożliwe bez współpracy zachodnich wywiadów, technologii bądź nawet zagranicznych żołnierzy obsługujących te technologie na rzecz Ukrainy.

Nie chodzi tu przy tym o podważanie prawa Ukrainy do przeprowadzania tych ataków, a tym bardziej ich taktycznej celowości i zasadności. Rzecz dotyczy problemu zgoła innego, choć oczywiście nierozłącznego: Czy rzeczywiście, z różnych wiadomych sobie powodów, Rosjanie nigdy nie podejmą retorsji względem poszczególnych europejskich krajów, a tym bardziej co bardziej drastycznego odwetu względem samej Ukrainy? Innymi słowy: Czy dotychczasowy brak takowych działań potwierdza i wystarcza dla przesądzenia, że są one należycie roztropne? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wskazać kilka elementów.

Schemat przerwania przegrywanego konfliktu konwencjonalnego eskalacją nuklearną funkcjonował w doktrynie sowieckiej jeszcze w czasach zimnej wojny

Założenie, po stronie zachodnich decydentów, że podobne ataki nie wywołają proporcjonalnych odpowiedzi, jest w dużej mierze aprioryczne. Opiera się ono wprawdzie na pewnym rozsądku – dlaczego elity rosyjskie miałyby ostatecznie puścić z dymem całą Europę, gdzie skądinąd żyją i prosperują również ich własne rodziny – jednakże to właśnie stanowi domyślny element aprioryczny: uważamy, że Rosjanie tak nie postąpią, bo to my na ich miejscu tak byśmy nie postąpili. Ponadto założenie to nie współgra z powracającym stale przekazem propagandowym agencji wywiadów poszczególnych krajów europejskich, informujących nas raz po raz, kiedy Rosja zaatakuje NATO (choć data ta jest podawana w dość szerokim rozstrzale czasowym, rodząc pytanie o rzetelność tych analiz, to ich wspólnym mianownikiem pozostaje niezachwiana pewność, że Rosja prędzej czy później NATO zaatakuje – ma się rozumieć, celem tych analiz jest podtrzymanie wśród krajów europejskich poparcia i pomocy dla walczącej Ukrainy, postrzeganej jako wstrzymującej nieunikniony atak Rosji na Europę).

ODSTRASZANIE EUROPY

Po stronie Rosjan dyskusja na temat czerwonych linii i ich nieprzekraczalności jest znacznie żywsza, przybierając nawet, oprócz rozczarowania, formę krytyki Kremla. Kluczowym nazwiskiem jest tu Siergiej Karaganow, z jednej strony politolog wyspecjalizowany w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa, z drugiej wieloletni doradca prezydentów Federacji Rosyjskiej. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2022 r. Karaganow stał się jednym z najbardziej znaczących głosów jastrzębi w kraju. W szczególności opublikował on w 2024 r., wespół z dwoma innymi autorami, raport „Od powstrzymywania do odstraszania: broń jądrowa, geopolityka, strategia koalicyjna", w którym postulował odnowienie rosyjskiej polityki odstraszania poprzez ponowne wzbudzanie strachu rosyjskim potencjałem jądrowym, i to m.in. jego przemyślenia miały wpływ na dokonaną pod koniec 2024 r. aktualizację oficjalnej doktryny nuklearnego odstraszania. Przy czym, podczas gdy Karaganow uważa, że „otrzeźwienie" Zachodu może przynieść jedynie rzeczywiste wykorzystanie broni jądrowej (stąd przypisywany mu postulat wykorzystania w tym celu jednej taktycznej głowicy nuklearnej lub kilku), Władimir Putin publicznie zapewniał, że Rosja nie użyje tej broni jako pierwsza.

Można by rzec, że nie ma w tym w zasadzie nic nowego, ponieważ schemat przerwania przegrywanego konfliktu konwencjonalnego eskalacją nuklearną funkcjonował w doktrynie sowieckiej jeszcze w czasach zimnej wojny i był znany strategom z NATO. Natomiast kluczowym elementem, podkreślonym w analizach u Daniela Davisa, jest jednak coś innego: Rosja, przekładając swą gospodarkę na tory wojenne, nagromadziła znaczący arsenał broni konwencjonalnej w postaci pocisków rakietowych i dronów, który wykorzystany przeciw Europie – w postaci uderzeń w składy, centra dowodzenia, fabryki zbrojeniowe – wywołałby nie mniejszy popłoch niż analogiczne irańskie uderzenia w amerykańskie bazy i infrastrukturę sojuszniczą na Bliskim Wschodzie. W pewnym sensie to Zachód, w takim scenariuszu, mógłby jedynie odpowiedzieć bronią jądrową, nie posiadając odpowiednich zasobów obronnych, a na taki ruch nie zdecydują się ani USA, ani Francja, bo w rzeczywistości wywołałoby to atomowy armagedon.

Scenariusz ten ma różne warianty, np. ograniczonego uderzenia konwencjonalnego w przerzutowe huby logistyczne dla Ukrainy w Polsce i Rumunii lub masowego uderzenia również w Europę Zachodnią, które nie tyle się wykluczają, ile uzupełniają. W pewnym sensie omawianie publiczne tych scenariuszy ma bardziej na celu odstraszenie (lub zastraszenie) Europy niż ich realizację, stąd nie dziwi, że najbardziej zaangażowany w ich kreślenie jest Scott Ritter, rzeczywisty ekspert, który jednak ochoczo udaje się na rauty do ambasady rosyjskiej w USA.

Jednakże obok ewidentnego wątku propagandowego poruszone przeze mnie pytanie pozostaje aktualne: Czy istnieją w tej wojnie nieprzekraczalne czerwone linie dla Rosji? Rosyjski impas w Donbasie, nasilające się ukraińskie ataki dronowe, ugrzęźnięcie USA na Bliskim Wschodzie i konsekwentne wyczerpanie zapasów pocisków przeciwlotniczych – to wszystko sprawia, że zapowiedziana pod hasłem „końca cierpliwości" względem Kijowa akcja może jak najbardziej stać się faktem, który gen. Leon Komornicki określił nawet: „najgorsze przed Ukrainą", podejrzewając jednocześnie Rosjan o wolę dekapitującego ataku kierownictwa politycznego Ukrainy. Jakkolwiek by oceniać moralnie podobny krok, to ewentualne wyniszczenie Kijowa (dopiero) po czterech latach wojny nie tylko potwierdziłoby, że Rosja ma jednak swe czerwone linie, których przekroczenie ostatecznie grozi śmiercią, lecz także że cała zachodnia strategia na powstrzymanie (wyniszczenie) Rosji „za wszelką cenę" doprowadziła naprawdę w pierwszym miejscu do destrukcji Ukrainy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Adam Wielomski

Wybić się na samodzielność

Nowe otwarcie w relacjach z Kremlem dałoby nam szansę na prowadzenie polityki równoważenia nadmiernych wpływów amerykańskich i niemiecko-unijnych przez układy z Moskwą i Pekinem. Tak mistrzowsko czynił przez lata Viktor Orbán, dzięki czemu małe Węgry miały silniejszą pozycję międzynarodową niż Polska

Tekst Marcina Skalskiego „Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?" („Do Rzeczy", nr 19/2026) wywołał burzliwą dyskusję. Powiedzmy sobie szczerze, że kolega Skalski na pewno był świadomy, że wrzucił do szklanki granat, gdyż każdy Polak piszący o Rosji wywołuje kontrowersje co najmniej od końca XVIII stulecia. Do polemiki przystąpili Rafał A. Ziemkiewicz i Piotr Semka, a zachęcony przez Redakcję dorzucę swoje trzy grosze. Zarazem, aby nie wywoływać ciągnących się przez kolejne półrocze polemik, będę starał się nie dyskutować z poszczególnymi polemistami, lecz przedstawić własne stanowisko.

KTÓREJ POLSKI DOTYCZY SPÓR?

W dyskusjach o stosunkach polsko-rosyjskich, resetach, hasłach „To jest nasza wojna" i „To nie jest nasza wojna" zawsze zwraca moją uwagę fakt, że toczą w nich spory jakby dwie odmienne Polski, mające inne granice i inaczej definiujące polskość. Często mówi się o Polsce „piastowskiej" i „jagiellońskiej". Tak naprawdę były to dwa odmienne państwa, zachowujące ciągłość raczej symboliczną niż praktyczną. Polska piastowska pierwotnie opierała się na bardzo wczesnej (a obecnie dojrzałej) koncepcji państwa narodowego. W jej skład wchodziły różne plemiona czy też – jeśli ktoś woli język bardziej współczesny – etnie posługujące się podobnymi narzeczami, z których narodziły się później jeden naród i język literacki. To Polska między Odrą a Bugiem, przynależąca do kultury zachodniej i o katolickiej tożsamości. Polska jagiellońska to małe imperium, wieloetniczne, wieloreligijne, złożone z etnicznych Polaków i etnicznych Rusinów, zwanych ze względów historycznych „Litwinami", choć w istocie centrum Litwy stanowiła dzisiejsza Białoruś. Językiem litewskiej szlachty był ruski, a nie auksztocki czy żmudziński. Każde imperium potrzebuje języka imperialnego do wewnętrznej komunikacji. W Imperium Rzymskim była nim łacina, w imperium Filipa II – hiszpański, a carskim – rosyjski. W Polsce jagiellońskiej był to język polski. Ruś przyjęła polski jako lingua franca, a jej elity stopniowo także polską kulturę. Lud Rusi nigdy nie był polski, lecz „miejscowy" i prawosławny, aby dopiero wraz z nowoczesnością uzyskać własną świadomość narodową, co spowodowało wytrysk nie tyle nacjonalizmów, ile szowinizmów, których Polacy doświadczyli w czasie drugiej wojny światowej z rąk szaulisów i banderowców.

II Rzeczpospolita stała pomiędzy Polską piastowską a jagiellońską. Józef Piłsudski chciał odbudowy imperium w postaci wielonarodowej federacji z Litwą, Białorusią i Ukrainą – z językiem polskim jako narzędziem komunikacji imperialnej. Roman Dmowski niby chciał państwa narodowego, lecz nie umiał zapomnieć o Kresach, choćby tych bliższych. Inna sprawa, że z braku Śląska i Pomorza nie bardzo byłoby gdzie pomieścić Polaków ze wschodu i nie bardzo sobie to wtedy wyobrażano pod względem logistycznym. W efekcie w wyniku traktatu ryskiego (1921) powstało państwo o dominującym żywiole polskim, narodowe, z mniejszościami na Kresach, które stanowiły tam większość i – już rozbudzone w nastrojach nacjonalistycznych – nie chciały mieć z Polską nic wspólnego, nie pomnę, że jedyną realną alternatywą dla Polski był ZSRS.

Jest paradoksem historycznym, prawdziwym chichotem dziejów, że testament Dmowskiego zrealizował Józef Stalin, tworząc polskie państwo narodowe. Oddając nam Ziemie Zachodnie i dokonując tamże „czystki etnicznej" wobec miejscowych Niemców (w rzeczywistości większość z nich uciekła wraz z cofającym się Wehrmachtem), dał Polsce ziemie do zasiedlenia kresowymi repatriantami. Kresy stały się dla Polski bezpowrotnie stracone. Podkreślam przymiotnik „bezpowrotnie". Nigdy już tam nie wrócimy. Zostało sporo Polaków, zostały wielkie zabytki naszej architektury, lecz nasz powrót jest niemożliwy, gdyż nie zamieszkują już ich „miejscowi" chłopi bez wykształcenia, narodowości i lojalności politycznej, lecz ukształtowane narody z własnymi państwami i inteligencją. Narody te ukształtowały swoją tożsamość na sprzeciwie wobec dawnych polskich i rosyjskich „panów". Dlatego Polska już na Kresy nie wróci, bez ryzyka posiadania gigantycznej kresowej „Strefy Gazy" i permanentnej intifady. Koszty siłowego panowania nad tymi ziemiami wielokrotnie przewyższyłyby zyski. Musimy wreszcie uznać, że Polska kończy się na Bugu. Dalej zaczyna się Ruś, świat prawosławno-bizantyjski. Polskość i cywilizacja łacińska zawsze miały tam charakter naskórkowy,

eprasa.pl b1c25d5852

OPINIE

Reset z Rosją.
Czy Polska stoi przed szansą?

Marcin Skalski

Reset stosunków z Rosją może być elementem realnego wybłania się Polski na suwerenność, jest będzie częścią szerszego zakładu. Polska i Rosja mogą jednak współistnieć i nie stoi temu na przeszkodzie polityka Kremla na Ukrainie. W myśl wielowektorowości Warszawa musi obawiać się przy tym na współpracę z Chinami czy też z krajami muzułmańskimi

Pamiętny dzień 11 września 2001 r. W dwie wieże nowojorskiego World Trade Center wbijają się samoloty porwane przez terrorystów z organizacji Al-Kaida, kierowanej przez kolejnego z gości afgańskich talibów Osamę bin Ladena. Kilkusetminutowe dopuszczenie chmur walą się w gruzy, rząd pyłu. Giną tysiące ludzi, a zdruzgotana Ameryka wchodzi się w zagrzewające do globalnej „wojny z terroryzmem" wystąpienie George'a Busha przed połączonymi izbami Kongresu. Prezydent Stanów Zjednoczonych wysuwa wobec talibów żądania, które „nie podlegają żadnym negocjacjom ani dyskusjom", a wskutek ich odrzucenia mają miejsce amerykańska interwencja zbrojna w Afganistanie i kres rządów Talibanu w tym kraju. Za czasów Baracka Obamy, dochodzi natomiast do zlikwidowania samego bin Ladena.

ZMIERZCH AMERYKAŃSKIEJ HEGEMONII

Od tamtych wydarzeń minęła cała epoka, w tym czasie w ramach zademonstrowania sojuszniczej wierności swoje wojska nie tylko do Afganistanu, lecz także do Iraku wysłała Polska. Dziś talibowie ponownie rządzą Afganistanem, gdzie Amerykanie w trakcie pospiesznej ewakuacji porzucili swych lokalnych kolaborantów, pozostawiając także tony cennego sprzętu wojskowego. Postsaddamowski Irak podjął z kolei próby wybicia się na niepodległość od Waszyngtonu, na pogranicu z Syrią adaptyło zaś przejść tsunami w postaci „Państwa Islamskiego". Wśród przesiadowanych za Saddama irackich szyitów wpływy zyskał natomiast Iran, aktualnie przecież wróg numer jeden Ameryki.

O ile przyswajanie jedynie konkretnych dat w nauce historii ma niewielki walor poznawczy, o tyle wspomniane 11 września bierze początek cała sekwencja wydarzeń, która zwiastowała nadchodzący zmierzch amerykańskiej hegemonii na globie. Świat wrócił do normy – będący tyleż anomalią, co efemerydą lad jednobiegunowy właśnie przechodzi do historii. Ameryka przestała być policjantem świata, zaliczając aktualnie spektakularną kompromitację w wojnie przeciwko teoretycznie znacznie słabszemu Iranowi. Ta szyicka republika islamska, będąca sojusznikiem w obu Stanów Zjednoczonych i Izraela, przy okazji skutecznie zwiększa swoje wpływy sojuszu z USA, obnażając tym samym dysfunkcyjną wartość amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa.

Jednocześnie Waszyngton nie jest w stanie odblokować na świecie niechwiejnie tzw. petrodolarów, co dodatkowym z ostatnich redukcje przy wydobyciu Teheranu już trwa: pobiera ogromny zysk przez to strategicznie wpływy zwiększenie (odpowiedzialne za przynajmniej 20 proc. światowego transportu ropy naftowej) w chińskich banach bądź kryptowalutach. Warto pamiętać, że od 1975 r. kraje eksporterzy ropy naftowej skupione w OPEC gadzały się, by to właśnie dolar był wyłącznym walorem rozliczeniach za ten surowiec. Obecnie towny wzrost cen ropy doprowadza do wzrostu popytu na dolara używanego do rozliczeń w handlu ropą". – pisał w głośnej publikacji z 2010 r. „Wojna o pieniądz" chińsko-amerykański ekonomista Song Hongbing. Podważając status dolara,

FOT. JAN

ludy bizantyjsko-prawosławne. Oczywiście dla Polski jest lepiej, aby między nami a Rosją istniało państwo buforowe, ale nie znam żadnych poważnych rosyjskich koncepcji, aby wprost inkorporować całą Ukrainę. Moskwa pogodziła się, że zachodnia Ukraina już wykształciła silną i antyrosyjską tożsamość narodową. Chodzi zatem o aneksję ziem, których mieszkańcy mówią po rosyjsku i uważają się za Rosjan lub można w nich jeszcze taką świadomość wykształcić. Kijów jest dla Moskwy stracony i ona bardzo dobrze to wie. Ale stracony jest także dla Warszawy.

Jeśli uznamy, że granica wschodnia Polski przebiega na Bugu, a relacje pomiędzy państwami sukcesyjnymi po ZSRS są ich sprawami dwustronnymi, to reset z Rosją jest jak najbardziej możliwy.

POŻYTKI Z RESETU

Czy reset z Rosją jest pożądany? Tak, ale tylko dla Polski definiującej się jako państwo narodowe z granicą na Bugu, a nie wieloetniczne miniimperium. Reset leży w naszym interesie narodowym (ale nie dla imperialnych iluzji!). Jest ku temu wiele powodów. Po pierwsze, ciągle słyszymy, że jesteśmy „wschodnią flanką NATO". Gdybym miał znaleźć synonim, to objaśniłbym to jako potencjalne pole bitwy pomiędzy Rosją a NATO, czyli – nazwijmy po imieniu – Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Wojna ukraińsko-rosyjska pokazała, że zagrożenie dla naszego kraju w postaci rosyjskich dywizji pancernych jest nikłe. Drony całkowicie odmieniły pole bitwy, bez kłopotu niszcząc czołgi i transportery opancerzone. Czołgi na polach Donbasu i Zaporoża służą jako zmechanizowana artyleria. Walczą, jak to określają Rosjanie, „szturmowiki", czyli niewielkie piesze grupy szturmowe. W wyniku dronizacji pola bitwy wojna manewrowa i przełamania frontu przez kolumny pancerne odeszły w przeszłość. Jakkolwiek pojawiają się już pierwsze systemy umieszczane na pojazdach, które odcinają drony od sterujących nimi żołnierzy, pojawiły się jednak drony FPV sterowane przez cieniusieńki światłowód, co powoduje, że nie ma jak zakłócić sygnału. I dopóki inżynierowie sobie nie poradzą z ochroną przed dronami, dopóty wielkich operacji lądowych nie ma i nie będzie. Dlatego Amerykanie nie odważyli się na operację lądową przeciw Iranowi. W razie ewentualnej wojny z Rosją Polska, jako „wschodnia flanka NATO", byłaby pustoszona przez rosyjskie pociski balistyczne i uderzenia setek dronów. I po co nam zniszczenie mostów na Wiśle, infrastruktury i fabryk? Szczególnie że na razie nasze możliwości odpowiedzi na taki rodzaj działań wojennych są niewielkie. Polska byłaby pierwszą ofiarą ewentualnego konfliktu z Rosją i nawet gdyby NATO tę wojnę wygrało, to nasz kraj byłby do „odbudowy". Reset leży zatem w naszym żywotnym interesie.

Po drugie, w chwili obecnej cała polska polityka zagraniczna jest definiowana przez antyrosyjskość. Aby zrobić na złość Rosji, z własnej woli odcięliśmy się od chińskiego projektu Nowego Jedwabnego Szlaku. Węgry nie miały takich zmyślonych problemów i przejęły tę

eprasa.pl b1c25d5852

POLSKI INTERES ZAMIAST STARYCH KLISZ

MOŻLIWOŚCI WSPÓŁISTNIENIA

A przecież Federacja Rosyjska nie

inicjatywę, wraz z chińskimi inwestycjami. Dlaczego nie mogliśmy wejść w ten biznes stulecia? Nowy Jedwabny Szlak miał prowadzić przez Rosję i Białoruś. W dodatku Chiny są sojusznikiem Rosji. Tracimy gigantyczną szansę ekonomiczną. Co więcej, gdyby Nowy Jedwabny Szlak przechodził przez Polskę, to Pekin byłby najbardziej zainteresowany pokojem między państwami, przez które by przechodził. Pozbawiamy się tej szansy i oddajemy ją Węgrom wyłącznie z powodu obsesji antyrosyjskiej. Po ewentualnym resecie można byłoby do tej sprawy wrócić, gdyż Chiny dążą do zbudowania kilku odnóg szlaku, aby nie został on przerwany w wyniku zaburzeń wewnętrznych w którymś z państw tranzytowych.

Po trzecie, wrogość do Rosji dramatycznie osłabia naszą pozycję międzynarodową. Nie mamy, tak jak Węgrzy, możliwości manewrowania pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Komisją Europejską i Niemcami, Rosją i Chinami. Podkręcanie napięcia prowadzi do wzrastającej zależności od sojuszników, którzy mogliby nas obronić przed Rosją. Donald Tusk i jego obóz za takiego sojusznika obrali Niemcy. Idee mają konsekwencje: skoro Niemcy przewodzące Unii Europejskiej są naszą obroną, to trzeba zaakceptować ich plan federalizacji UE, gdyż jego częścią jest wspólna polityka zagraniczna i obronna, gdzie decyzje podejmowane byłyby większością głosów. Z powodu potencjalnego zagrożenia naszej suwerenności przez Rosję Tusk i jego akolici zgadzają się na całkowicie dobrowolne zrzeczenie się suwerenności przez nasze państwo i jej cesję na rzecz UE. Dlatego trzeba było przystąpić do programu SAFE, mimo całej jego ekonomicznej absurdalności. Chodziło o zabetonowanie Polski w UE poprzez stworzenie wspólnego europejskiego długu.

Inny wariant sojuszniczy wybrał Jarosław Kaczyński. PiS słusznie uznaje obronność unijną za iluzję, gdyż Europa nie ma siły moralnej i duchowej do prowadzenia wojny i ponoszenia ofiar ludzkich. Stąd postawienie na Stany Zjednoczone. Ale to oznaczało wasalizację. Dlatego politykom PiS – choćby Tobiaszowi Bocheńskiemu – nie przejdzie przez gardło, że Państwo Izrael prowadzi politykę zbrodniczą w Gazie. Po rozmowie z ambasadorem amerykańskim, Thomasem Rose'em, Kaczyński oświadczył, że nie stworzy koalicji rządzącej z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Cóż, Amerykanie jej nie zaakceptują z powodu judeosceptycyzmu Brauna i mogłoby się okazać, że gdyby partia ta była w rządzie, to USA nie broniłyby Polski przed Rosją. To nic innego niż praktyki ambasadora Repnina! Fasadowa suwerenność, w ramach której zagraniczne mocarstwo określa, kto może w Polsce być ministrem, a komu nie wolno. Tylko ze strachu przed Amerykanami PiS nie pozbawił licencji TVN, co skutkowało przegranymi wyborami i oddaniem władzy. Stąd też gigantyczne zamówienia amerykańskiej broni, aby dać zarobić amerykańskim koncernom zbrojeniowym. To rodzaj haraczu polskiego podatnika w zamian za zamorską ochronę. Kupujemy broń nieprawdopodobnie drogą, bez offsetu, serwisowaną za granicą i nie bardzo wiadomo, czy mamy do niej kody dostępu w sytuacji kryzysowej (o czym boleśnie przekonał się Katar, gdy Amerykanie zablokowali katarskie systemy Patriot, po wystrzeleniu przez Izrael rakiet, które trafiły w budynek z palestyńskimi politykami). Dlatego polska armia jest znacznie słabsza od tureckiej, chociaż wydajemy na obronę narodową większe pieniądze niż Ankara. Kupujemy bajecznie drogą broń amerykańską, gdy Turcy projektują, budują i kupują własne samoloty oraz rakiety balistyczne – nieporównywalnie tańsze od amerykańskich. Ale Ankara nie płaci corocznego haraczu za patriarchalną protekcję Wujka Sama. Co gorsza, ataki rakietowe i dronowe na państwa Zatoki Perskiej wykazały iluzoryczność amerykańskiej ochrony wojskowej. Bazy USA przyciągają rakiety i drony jak czerwona płachta na byka. Oto logika „wschodniej flanki".

UWIARYGODNIANIE SWOJEGO ISTNIENIA

Reset z Rosją dałby nam szansę na prowadzenie polityki równoważenia nadmiernych wpływów amerykańskich i niemiecko-unijnych przez układy z Rosją i Chinami, tak jak mistrzowsko czynił przez lata Viktor Orbán, dzięki czemu małe Węgry miały silniejszą pozycję międzynarodową niż Polska. Nasza klasa polityczna jednak tego nie chce, gdyż nakręcając antyrosyjską obsesję, uwiarygodnia swoje istnienie.

Cała strategia legitymizacyjna rządów PiS i PO (KO) polega na prezentowaniu się jako rządy „polskie", gdyż walczące z Rosją, zarzucające wszystkim dookoła agenturalność i „onucyzm". Bez karty antyrosyjskiej Kaczyński, Tusk, Radosław Sikorski czy Mariusz Błaszczak nie mieliby Polakom absolutnie nic do zaproponowania. Nie mają przecież żadnych pomysłów na silną Polskę. Tak naprawdę reset z Rosją otworzyłby drogę do wymiany postsolidarnościowej elity na ludzi, dla których polskość byłaby programem pozytywnym, czyli czymś więcej niż antyrosyjskością. Prymitywna intelektualnie postsolidarnościowa elita nie jest zatem resetem zainteresowana. Samodzielność wymaga myślenia, finezji i umiejętności politycznych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

GŁOS W DYSKUSJI ZABIERALI:

Marcin Skalski, „Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?", „DRz" nr 19/2026,
Rafał A. Ziemkiewicz, „Reset z Rosją? Po co?", „DRz" nr 21/2026
Piotr Semka, „Polskie bezpieczeństwo, czyli stare klisze wcale nie są stare", „DRz" nr 22/2026

eprasa.pl b1c25d5852

Papież kontra AI

Papież potępia m.in. kłamstwa transhumanizmu, czyli ideologii, która dąży do przekształcenia człowieka w jakąś ludzko-cyfrową hybrydę

FOT. LUCA ZENNARO/EPA/PAP

Paweł Chmielewski

Papież obiecał encyklikę na temat sztucznej inteligencji – i słowa dotrzymał. Leon XIV pisze o problemie AI przenikliwie i trafia w sedno. Problem w tym, że do swojego dokumentu dołączył całą masę pobocznych wątków, które tylko obciążają główny temat

25 maja ukazała się pierwsza encyklika nowego Ojca Świętego. Nosi tytuł „Magnifica humanitas", czyli „Wspaniałe człowieczeństwo". Czy człowieczeństwo jest rzeczywiście takie „wspaniałe", to rzecz dyskusyjna; zresztą sam Leon XIV rysuje od razu dwie perspektywy: ludzkość może wznieść nową Wieżę Babel i doprowadzić do totalnej katastrofy albo też zaufać Panu Bogu i rozwijać nowe technologie w sposób odpowiedzialny i z perspektywą wieczności. Dziś tej drugiej perspektywy raczej nie ma – i właśnie to Ojciec Święty ostro krytykuje.

Warunkiem podstawowym dla dobrego użycia AI – pisze papież – jest właściwa antropologia. Jeżeli twórcy i moderatorzy systemów sztucznej inteligencji będą mieć prawidłowe spojrzenie na człowieka, to narzędzia, które stworzą, będą prawdopodobnie produktywne i dobre. Papież bardzo jasno wskazuje, że prawidłowa antropologia zasadza się na rozpoznaniu wiecznego przeznaczenia człowieka. Innymi słowy, poprawne rozumienie tego, czym jest ludzkość, jest możliwe dopiero wtedy, kiedy uzna się istnienie Pana Boga i naszą od Niego zależność. To w końcu właśnie w Nim zakotwiczona jest nasza godność.

CZŁOWIEK NARZĘDZIEM DLA ROBOTÓW

Problem polega na tym, że wśród cyfrowych gigantów rządzących rozwojem AI takiej perspektywy wcale nie ma. Przecież systemy AI są szybko rozwijane także przez ekspertów z komunistycznych Chin. Państwo, które programowo nie uznaje Boga i traktuje człowieka jak biomasę, którą można dowolnie zarządzać (patrz: polityka jednego dziecka!) – właśnie takie państwo tworzy zaawansowane rozwiązania technologiczne, mogące ludzkości nie tylko pomóc, lecz także jej trwale zaszkodzić, choćby poprzez wydoskonalenie systemu skrajnej opresji i kontroli.

Jest wątpliwe, by chińscy inżynierowie cyfrowych narzędzi władzy wzięli sobie do serca słowa Leona XIV. Nie wiem, niestety, czy inaczej postąpią ich koledzy na Zachodzie. Rok temu opublikowałem w „Do Rzeczy" (nr 22/2025) tekst pt. „Mroczny świat Elona Muska". Opisywałem w nim perspektywę antropologiczną tego multimiliardera i jednego z najpotężniejszych „cyfrowych gigantów". Musk kilka razy publicznie przekonywał, że postrzega człowieka jako etap w ewolucji świata – ot, biologiczny „starter", który pozwoli na zaistnienie sztucznej superinteligencji. Wydaje się, że Leon XIV polemizuje w „Magnifica humanitas" wprost z szefem X i Tesli. „[J]eśli istota ludzka jest traktowana jako materiał do udoskonalenia albo do przekroczenia, wówczas łatwiej przyjąć, że niektórzy zostaną uznani za mniej użytecznych, mniej pożądanych czy mniej godnych" – stwierdza Ojciec Święty. W świecie, w którym człowiek nie jest celem, ale narzędziem dla robotów (sic!), dokładnie tak może być: ludzie niezoptymalizowani pod kątem służby cyfrowemu bożkowi nadają się tylko do aborcji czy eutanazji! Względnie mogą zostać wyeliminowani na jeszcze wcześniejszym etapie: w końcu ceniona przez Muska procedura in vitro pozwala na kształtowanie preferowanego modelu człowieka. Napędzona przez AI może robić to coraz skuteczniej…

Papież potępia też kłamstwa transhumanizmu, czyli ideologii, która dąży do przekształcenia człowieka w jakąś ludzko-cyfrową hybrydę, co miałoby pozwolić na „optymalizację" funkcjonowania ciała i samego mózgu, a może nawet na „wieczne życie" – oczywiście w formie jakiegoś awatara. Takie koncepcje rozwija znany informatyk Ray Kurzweil, ale perspekty-

eprasa.pl b1c25d5852

wa poszukiwania nieśmiertelności jest bliska również Muskowi czy innemu „cyfrowemu gigantowi", Peterowi Thielowi, człowiekowi z bezpośredniego środowiska wiceprezydenta USA, J.D. Vance'a.

„W imię postępu można dojść do wyobrażenia sobie »koniecznych ofiar« i kazać najsłabszym płacić cenę domniemanej optymalizacji gatunku" – pisze w tym kontekście Leon XIV. Trudno się z tym nie zgodzić. Wiek XX przyniósł ze sobą dwa wielkie, totalitarne „projekty optymalizacyjne". Niemieccy naziści chcieli „poprawiać" rasę poprzez wyeliminowanie „podludzi" i poszerzenie Lebensraumu dla „Aryjczyków". Sowieccy komuniści próbowali z kolei zoptymalizować społeczeństwo, masowo mordując wszystkich, którzy nie pasowali do utopijnego modelu. Dziś powrót do krwawych czystek wydaje się nierealistyczny, ale historia pokazała już wielokrotnie, że ludzkie mniemania są złudne… Zresztą czym innym niż taką czystką – tyle że w białych rękawiczkach – jest masowe uśmiercanie niechcianych („wadliwych") dzieci poczętych? To dzieje się już dziś – również w imię optymalizacji funkcjonowania społecznego. Papież przestrzega przed możliwymi konsekwencjami dalszej eskalacji takich rojeń w dobie sztucznej inteligencji.

Podobnych ostrzeżeń czytelnik znajdzie w „Magnifica humanitas" więcej. Ojciec Święty zwraca uwagę na cenzurę w sieci; upomina się o przejrzyste funkcjonowanie portali społecznościowych; przestrzega przed bezkrytycznym dawaniem smartfonów dzieciom… Treści cenne i podane często w przystępny, zwięzły sposób. W sumie w kwestii AI encyklika Leona XIV jest tekstem dobrym i godnym polecenia. Można stwierdzić, że w tej sprawie papież wypełnił zadanie, które sobie postawił. Chciał nawiązać do wielkiej encykliki społecznej Leona XIII „Rerum novarum", o „rzeczach nowych". Papież piszący pod koniec XIX w. mierzył się z rewolucją przemysłową, a jego imiennik – z rewolucją cyfrową. Zadanie spełnione.

HURTOWE TRAKTOWANIE

Gdyby na tym „Magnifica humanitas" poprzestała, mielibyśmy powody do zadowolenia i dumy z dzieła Stolicy Apostolskiej. Niestety, tekst Leona jest o wiele bardziej rozbudowany – i nie dotyczy wcale tylko sztucznej inteligencji. Papież postanowił przy okazji swojej encykliki skomentować całą masę zagadnień związanych z problematyką społeczną. Odniósł się do równości kobiet i mężczyzn, niewolnictwa, wojny sprawiedliwej, ekologii, imigracji… To wszystko ważne kwestie i bez cienia wątpliwości można o nich mówić po katolicku. Kłopot polega na tym, że wszystkie one są zarazem niezwykle złożone i domagałyby się osobnego potraktowania. Mogłyby zostać wówczas naświetlone odpowiednio szczegółowo, tak by rozwiać ewentualne wątpliwości i odpowiedzieć na krytykę… Leon XIV potraktował je tymczasem hurtowo. Efekt jest rozczarowujący, a miejscami po prostu głęboko wątpliwy. Podam dwa przykłady.

Nie mam wątpliwości, że zwłaszcza na prawicy nowa encyklika Leona XIV będzie wywoływać dużą krytykę

Po pierwsze, niewolnictwo. Publikacja „Magnifica humanitas" została przez anglojęzyczną prasę skwitowana tytułami w rodzaju: „Kościół przeprasza za niewolnictwo" albo: „Leon XIV bije się w piersi za grzechy w sprawie niewolnictwa". Dlaczego? Ojciec Święty stwierdził w encyklice, że Kościół nie zawsze zachowywał się wobec omawianego zjawiska tak, jak należało, i na jego kategoryczne potępienie zdobył się dopiero w XIX w.

To wyjątkowo ryzykowne stwierdzenia. Historia katolickiego podejścia do niewolnictwa pokazuje, że na przestrzeni dziejów były, owszem, różne mniej udane stanowiska teologiczne czy nawet takie wypowiedzi papieży, które motywowała raczej polityka niż doktryna. Rzecz jednak w tym, że Kościół nie rozumiał nigdy swojej misji jako tego, który niesie na sztandarach społeczną rewolucję. Niewolnictwo było elementem świata starożytnego i przetrwało również po upadku Rzymu. Kościół ten stan rzeczy zastał – i starał się pokazywać, jak go cywilizować, dbając o to, by panowie rozpoznawali godność swoich niewolników. Powolną pracą niewolnictwo było coraz bardziej ograniczane i stopniowo eliminowane ze świata chrześcijańskiego. Leon XIV wspomina o tym wysiłku, ale rzecz niejako znika w obliczu przeprosin za błędy i grzechy, co finalnie stwarza tylko pożywkę dla krytyków Kościoła.

Inny problem dotyczy polityki międzynarodowej. Leon XIV pisze np., że w ostatnich latach „upowszechniło się błędne przekonanie, że odstraszanie nuklearne jest niezbędnym warunkiem bezpieczeństwa". Zastanawiam się, na jakiej podstawie Ojciec Święty głosi, że powyższe przekonanie jest „błędne". Przecież zdaniem wielu politologów historia ostatnich lat pokazuje coś dokładnie odwrotnego: kraje, które posiadają broń nuklearną, są lepiej zabezpieczone przed agresją niż te, które jej nie posiadają. Kategoryzacja posiadania broni nuklearnej w celach odstraszania jako po prostu „błędnego" sprawia, że należałoby niejako z góry potępić wysiłki takich państw, które, rzeczywiście zagrożone obcą inwazją, chcą zabezpieczyć swoją egzystencję. Takie postawienie sprawy jest niezwykle dyskusyjne i może budzić zarzuty wobec Leona XIV o zabieranie głosu w sprawach, w których Stolica Apostolska nie ma właściwych kompetencji.

Niestety, podobnych kwestii jest w całym tekście znacznie więcej. W istocie czytelnik co kilka akapitów napotyka jakieś stwierdzenia, które stanowią żywy element politycznego sporu, a katolikom łatwo jest pokazać wiele argumentów „za" albo „przeciw". Można chyba powiedzieć, że to źle rozumiana „polityzacja" papiestwa: wikłanie się w sprawy, które należy zostawić autorytetowi cywilnemu; albo też osądzanie historii Kościoła czy samej teologii z perspektywy nazbyt współczesnej.

Zobaczymy jednak, jak „Magnifica humanitas" zostanie oceniona przez historię, kiedy opadnie już kurz bieżących sporów i łatwiej będzie odróżnić to, co naprawdę istotne, od różnych wątków pobocznych. Nie mam jednak wątpliwości, że zwłaszcza na prawicy nowa encyklika Leona XIV będzie wywoływać dużą krytykę. Tego można było uniknąć, skupiając się na tym, co miało być faktyczną treścią dokumentu: na problemie AI, który Leon XIV opisuje przecież naprawdę rzetelnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Wyższa konieczność

Marek Kornat

Kara usunięcia z Kościoła tylko za to, że ktoś – nieważne, czy jednostka czy grupa świeckich, czy kongregacja duchownych – nie chce odstąpić od liturgii wszech czasów, w tym Mszy Świętej skodyfikowanej przez papieża św. Piusa V, nie może być skuteczna. Jeżeli nastąpi, to będzie tylko deklaracją

Ksiądz Davide Pagliarani, przełożony generalny Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X FOT. PRIORADO PADRE ANCHIETA FSSPX_BRASIL/YOUTUBE

Ogłoszona 2 lutego 2026 r. przez przełożonego generalnego Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X ks. Davide'a Pagliaraniego decyzja o zaplanowanych na 1 lipca święceniach biskupich nie przestaje wywoływać rozmaitych komentarzy. Dla ludzi, którzy żyją sprawami Kościoła, jest to wielki temat na obecny czas. Ze szczególną uwagą przeczytałem artykuł „Próba jedności. Co dalej z Bractwem św. Piusa X?" zamieszczony na portalu Nowy Ład (27 kwietnia) pióra byłego marszałka Sejmu Marka Jurka, którego zasadnicze wywody w pełni podzielam. Nie mam jednak wrażenia, aby jego przewodnia teza o potrzebie pojednania Stolicy Apostolskiej z tą kongregacją kapłańską, którą jest Bractwo, była w obecnych realiach możliwa do spełnienia. Z poczuciem irytacji czytałem natomiast wypowiedzi przedstawicieli środowisk indultowych, czyli koncesjonowanych, z których wychodziły słowa ostrej krytyki – jak np. o. Louisa-Marie de Blignières z opactwa Le Barroux we Francji albo ks. Alberta Jacquemina. Nie rozumiem tych poglądów i mam przekonanie, że na pewno nie służą one pomyślności Kościoła.

Tak się składa, że jestem historykiem, który na temat położenia Kościoła wypowiadał się już wielokrotnie, toteż uważam, że będzie może pożyteczne, kiedy podzielę się publicznie paroma refleksjami na temat zapowiedzianych święceń biskupich – korzystając z życzliwości Redakcji „Do Rzeczy". Oczywiście nie roszczę sobie żadnych pretensji do wypowiadania się z pozycji jakiegokolwiek autorytetu, bo w tej dziedzinie nim nie jestem.

Musimy mieć świadomość, że posoborowy Kościół znajduje się w niezmiernie trudnej sytuacji. Można odnieść wrażenie, że w obecnym czasie rewolucja, która rozgrywa się wewnątrz tego organizmu, przybiera postać nową – naprawdę radykalną.

NIE MA INNEGO WYJŚCIA?

Od Świąt Wielkanocnych upłynęło zaledwie 40 dni, bo piszę niniejsze słowa w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, czyli 14 maja. Wsłuchując się tylko w to, co doniosły mass media, otrzymaliśmy mocny przekaz o gwałtownie postępującej rewolucji. Papież przyjął w Watykanie panią Mullally, która podaje się za metropolitę Canterbury i prymasa Anglii. Pani błogosławiła dostojników watykańskich, „odprawiała" nawet „obrzędy liturgiczne" w udostępnionym jej na ten cel kościele w Rzymie (sic!), chociaż oczywiście są one nieważne, bo o nieważności kapłaństwa u tej wspólnoty orzekł nieomylnie i raz na zawsze Leon XIII. O profanacji świątyni nie mówi nikt.

Wygląda na to, że takie, a nie inne zachowanie Stolicy Apostolskiej, które miało miejsce, stanowi ważny element przygotowywania Kościoła na wprowadzenie tzw. kapłaństwa kobiet, chociaż o tym nie mówi się głośno. Stolica Apostolska nie skorzystała w żaden sposób, aby instalację pani Mullally na swoim stanowisku w styczniu br. wykorzystać do przypomnienia wiernym tzw. Kościoła Anglii o możliwości porzucenia tej wspólnoty i wstąpienia do Kościoła katolickiego, o czym wyraźnie mówił jeszcze Benedykt XVI.

Innym przykładem grożącym niezmiernie poważnymi konsekwencjami jest bardzo prawdopodobne przyjęcie raportu (sprawozdania) tzw. Synodu o tzw. synodalności, wedle którego uprawianie homoseksualizmu nie stoi w sprzeczności z wiarą. Zapowiada to rewolucyjne przyjęcie postanowień, w których świetle homoseksualizm jako grzech sodomski nie będzie już grzechem, ale postępowaniem przynajmniej neutralnym etycznie albo nawet dobroczynnym duchowo (sic!). Dochodzi do tego sporo wstrząsających wiadomości o znaczeniu lokalnym, ale pokazujących, gdzie jesteśmy. W Szwajcarii – w jednym z kościołów – doszło do wydania hostii psom. Ci, którzy dopuścili się tej zbrodni przeciw Najświętszemu Sakramentowi, nie ponieśli jakiejkolwiek kary, bo w ich obronie stał biskup ordynariusz miejsca. W jednym z klasztorów w Hiszpanii odprawiono tzw. modlitwy międzyreligijne, a ich paskudnym przejawem było postawienie w świątyni obok siebie posążków bożków (takich jak Kriszna) obok Pana Jezusa. Oczywiście nikt tam również na pewno nie poniósł żadnych konsekwencji z powodu przestępstw, które doszły do skutku.

Bardzo chciałbym, aby ci, którzy uważają, że nie ma w Kościele stanu wyższej konieczności (czyli nadzwyczajnego), w obliczu którego ustaje działanie prawa kanonicznego, zechcieli jakoś powiedzieć publicznie, co jeszcze musi się – ich zdaniem – zdarzyć, aby taki stan zaistniał. Słyszę bowiem, że go nie ma, że kongregacja kapłańska, którą jest Bractwo św. Piusa X, stwarza tylko wrażenie, że tak jest, aby uzasadnić swoje bezpodstawne postulaty.

Musimy mieć świadomość, że przy życiu pozostało dwóch (spośród czterech)

eprasa.pl b1c25d5852

biskupów Bractwa św. Piusa X. Obydwaj zbliżają się do 70 lat życia. Jeżeliby doszło do nieoczekiwanej śmierci tych pasterzy, to nastąpi całkowita katastrofa. Nie będzie można uzyskać święceń prezbiteratu i oczywiście episkopatu w sposób godziwy. Jest nie do wyobrażenia, aby jakikolwiek biskup posoborowy dokonał takich święceń, bo nie zgodzi się na to Stolica Apostolska. Gdyby to zrobił mimo wszystko – spotkałyby go dotkliwe sankcje karne kanoniczne. Jeszcze bardziej nie do pomyślenia pozostaje opcja kupienia sobie święceń u heretyków. Mam na myśli tzw. starokatolików (np. w Holandii), którzy odrzucają dogmat o nieomylności biskupa rzymskiego, tak jak orzekł i uchwalił wiekopomny Sobór Watykański I w roku 1870.

Byłoby szczególnie czymś paskudnym dopuścić – poprzez zaniedbanie – do sytuacji, która skutkowałaby niemożliwością udzielania święceń prezbiteratu studiującym w seminariach Bractwa alumnom. Oni w dobrej wierze ofiarowali Kościołowi swoje młode życie, nie chcąc być księżmi posoborowymi. Postanowili zadysponować w taki właśnie sposób swoim życiem. Gdyby nie było już biskupów mogących ich konsekrować – trzeba by było im powiedzieć, że wszystko jest stracone. Lasciate ogni speranza! Otóż to jest absolutnie nie do pomyślenia. Tego ja – jako świecki katolik – nie mogę sobie nawet wyobrazić. Byłoby to krańcowo nieetyczne, a wyrażam się najoględniej, jak potrafię. C'est impossible! – jak mówił w swoim własnym języku abp Lefebvre.

TRZY ENKLAWY

Cała kongregacja kapłańska, którą jej wielki założyciel, niestrudzony misjonarz i wyznawca, nazwał Bractwem, musi mieć świadomość, że dochodzimy do granic tego, co możliwe.

Nie jest dla opinii publicznej tajemnicą, że szef Bractwa zwrócił się w formie synowskiej do Ojca Świętego o przyjęcie go na audiencji. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Jest to zastanawiające, ale nie można tego nie powiedzieć. Otóż Leon XIV jest pierwszym papieżem – jeśli liczyć od pontyfikatu Pawła VI – który milcząco odmówił przyjęcia przełożonego generalnego tej kongregacji kapłańskiej. Paweł VI, Jan Paweł II, Benedykt XVI i Franciszek I czynili to bez większych trudności. Ten stan rzeczy nie wymaga naszego komentarza. Jest dostatecznie mocnym przekazem dla każdego, kto chce myśleć.

Korzystając z okazji, pozwoliłbym sobie przestrzec środowiska indultowe, aby nie próbowały przodować w krytyce Bractwa św. Piusa X, bo niczego na tym nie wygrają. Zapiszą się tylko źle w pamięci tych katolików, którzy gorąco pragną wytrwać przy Chrystusie i jego Kościele. To niczemu nie służy. Jeśli już, to niech to robią środowiska liberalne czy lewicowe. One przecież nie mają na tym polu zbyt wiele do stracenia…

Powiem jeszcze rzecz następującą. Otóż w obliczu postępu procesów rozkładowych w posoborowym Kościele szczególnie ważne są enklawy Kościoła normalnego, takiego w którym liturgia nie jest zebraniem, ale aktem kultycznym. Są trzy takie enklawy: 1) kongregacja kapłańska, którą założył abp Lefebvre; 2) różne środowiska indultowe; 3) tzw. sedewakantyści, czyli katolicy negujący istnienie papiestwa po elekcji Jana XXIII w 1958 r.

Nie potępiam en bloc nawet środowisk sedewakantystycznych, chociaż mam poważne wątpliwości co do ich koncepcji odnośnie do położenia i przyszłości Kościoła, a także niestety nawet i co do ważności sakramentów sprawowanych przez niektórych księży z tych grup. Nie zwracam się krytycznie przeciw środowiskom indultowym (bo cenię sobie każdą Mszę, która u nich jest sprawowana), ale nie mogę nie mieć świadomości, że można je niezmiernie łatwo „wygasić" – i to jednym pociągnięciem pióra w Watykanie. Załóżmy – bo cóż nam szkodzi to zrobić – że papież Leon XIV jest wybitnie zainteresowany obroną Kościoła przed jego wrogami i środowiska zachowawcze będzie chronił, a nawet umacniał, ale przecież kiedyś skończy się jego pontyfikat, a wówczas może dojść do ich zdławienia. Warto zresztą wspomnieć, że w ostatnich miesiącach życia poprzedniego papieża mówiło się o przygotowanym już dla niego dokumencie wprowadzającym dalsze restrykcje, idące w każdym razie o wiele dalej niż „Traditionis custodes". Tak czy inaczej, Bractwo św. Piusa X pozostaje jedyną enklawą, której nie da się zaorać, i dlatego musi trwać.

Niezwykle znamienne pozostaje to, że przełożony generalny Bractwa, ks. Pagliarani, uchylił się od tzw. rozmów doktrynalnych, które proponował mu szef Dykasterii Nauki Wiary. Po pierwsze, oferta miała z gruntu fikcyjny charakter. Zakładała rozmowy, ale takie, które do żadnego skutku nie prowadzą, bo nauczanie Soboru Watykańskiego II jest niewzruszone. Co więcej, owe rozmowy miały wyjaśnić teorię tzw. pluralizmu religijnego, w związku z podpisaną przez papieża Bergoglia deklaracją z Abu Zabi (2019), która zawiera skandaliczne stwierdzenie o wielości religii jako czymś, czego Bóg rzekomo chce. Sam udział w czymś takim ośmiesza tego, kto trwa przy doktrynie Kościoła. Stało się dobrze, że zamiast bezowocnych rozmów mamy jednoznaczne stanowisko. Jednoznaczność tę w fenomenalny sposób wyraża deklaracja przełożonego generalnego Bractwa z 14 maja br. Nie sposób do niej cokolwiek dodać, nie sposób czegokolwiek ująć.

CO PO EKSKOMUNICE

Oczywiście po spodziewanych święceniach nastąpi deklaracja Watykanu o ekskomunice Bractwa – zapewne już 1 albo np. 2 lipca br. Nie mam wątpliwości, że jest to przykra perspektywa. Nikt nie może inaczej tego oceniać. Musimy jednak mieć świadomość, że kara usunięcia z Kościoła tylko za to, że ktoś – nieważne, czy jednostka czy grupa świeckich, czy kongregacja duchownych – nie chce odstąpić od liturgii wszech czasów, w tym Mszy Świętej skodyfikowanej przez papieża św. Piusa V, nie może być skuteczna. Jeżeli nastąpi, to będzie tylko deklaracją. Nikomu nie można zabronić korzystania z tych niewyobrażalnie wielkich skarbów duchowych, które dają nam uświęcenie. Oczywiście mam świadomość, że ktoś myślący inaczej po przeczytaniu niniejszych słów, powie, iż przecież ekskomunika nastąpi za nielegalne święcenia, a nie za przywiązanie do liturgii „trydenckiej". Tak, tylko to nie obala mojego rozumowania. Chodzi o zapewnienie ludziom (ich duszom) możliwości korzystania z dóbr liturgii, która nie uległa posoborowej „przeróbce". Tyle i tylko tyle. Bez wyświęcenia nowych biskupów – za wszelką cenę – stanie się to absolutnie niemożliwe w nadchodzącym czasie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, sowietologiem, profesorem nauk humanistycznych.

eprasa.pl b1c25d5852

Filip Memches

Socjolog wyklęta

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

Książka Krzysztofa Katkowskiego o słynnej uczonej jest oparta na rozmowach z ludźmi reprezentującymi szerokie spektrum środowisk oraz poglądów od lewa do prawa. Niemniej autor dopasował to dzieło do swojej lewicowej wizji świata

Od śmierci prof. Jadwigi Staniszkis upłynęły dwa lata. Słynna, owiana legendą socjolog z pewnością zasłużyła na biografię. I właśnie taka pozycja się ukazała. To książka Krzysztofa Katkowskiego. Już sam tytuł tego 300-stronicowego dzieła – „Radykalna. Wszystkie sprzeczności Jadwigi Staniszkis" – stanowi trafną wizytówkę jego nietuzinkowej bohaterki. Autor oparł się nie tylko na pismach i wypowiedziach uczonej oraz dotyczącej jej faktografii, lecz także swoich rozmowach z mnóstwem ludzi, którzy uczoną znali osobiście, w tym z trojgiem jej rodzeństwa oraz czołowymi postaciami polskiego życia publicznego.

Katkowski to socjolog, filozof, publicysta młodego pokolenia. Współpracuje z portalem OKO.press oraz magazynem internetowym Kultura Liberalna, a więc mediami politycznie i światopoglądowo zaangażowanymi po stronie „demokracji" i „praworządności" przeciw „prawicowemu populizmowi". W „Radykalnej" Katkowski wprost deklaruje się jako socjalista. Skoro tak, to ktoś może pomyśleć, iż to, co napisał, jest tendencyjnie dopasowane do lewicowej wizji świata. I do pewnego stopnia nie byłoby to mylne przypuszczenie. A dlaczego, to zostanie jeszcze w niniejszym tekście wyjaśnione. Niemniej autorowi „Radykalnej" trzeba oddać sprawiedliwość: sportretował on Jadwigę Staniszkis w sposób uczciwie polifoniczny. Rozmówcy Katkowskiego reprezentują szerokie spektrum środowisk oraz poglądów od lewa do prawa. Wychodzi z tego fascynujący patchwork. I to jest ogromny atut książki. Poza tym czyta się ją znakomicie (choć można mieć zastrzeżenia do niedoróbek redakcyjnych jak niepełny indeks osób, ale to już uwaga nie do autora).

POZA SZUFLADKAMI

Można się zastanawiać, dlaczego niepozbawiona ekscentryzmu uczona kojarzona w czasach III Rzeczypospolitej głównie z polską prawicą (również dlatego, że publikowała teksty w prawicowej prasie – warto przypomnieć, że przez jakiś czas była m.in. felietonistką „Do Rzeczy") zainteresowała lewicowego publicystę. Odpowiedź jest banalna, bo zawarta w tytule książki Katkowskiego. Jadwiga Staniszkis za sprawą sprzeczności cechujących nie tylko jej poglądy, lecz także osobowość wymykała się jakiemukolwiek szufladkowaniu. Na przykład z jednej strony upatrywała w katolicyzmie ważny zasób kulturowy i podkreślała jego społeczną rolę dla Polaków (abstrahując od tego, jaki sama miała stosunek do spraw wiary), co mogło się podobać konserwatystom, z drugiej – krytykowała prawicową retorykę wymierzoną w wysuwające agresywne obyczajowo postulaty ruchu LGBT, ponieważ odbierała ją jako wyraz nietolerancji wobec osób z mniejszości seksualnych i tym samym powielała w tej sprawie argumenty lewicy oraz liberałów. W gruncie rzeczy nie należała do żadnego politycznego plemienia. Swoimi przemyśleniami polityków inspirowała, potem zaś to, co robili, recenzowała – bez taryfy ulgowej. I nie gryzła się w język.

Tą postawą budzi wśród części rozmówców Katkowskiego respekt i uznanie do dziś. „To był umysł splątany, niełatwy [...]. Była groźna w swojej niezależności" – powiedział Katkowskiemu bliski kręgom lewicowym socjolog prof. Jacek Raciborski. Z kolei liberalny publicysta Cezary Michalski oznajmił: „Cechował ją absolutny brak stadności, ten nieco dziwaczny kontakt z rzeczywistością społeczną i środowiskową. W tym była jej siła, ale jednocześnie właśnie za to zapłaciła najwięcej". Wreszcie prof. Piotr Gliński, kolega Jadwigi Staniszkis po fachu, ponadto polityk Prawa i Sprawiedliwości, były wicepremier oraz minister kultury

eprasa.pl b1c25d5852

i dziedzictwa narodowego, wyraził się o niej – bynajmniej nieironicznie – słowami: „pani socjolog wyklęta".

Znamienne, że nawet wtedy, gdy Staniszkis była aktywną dysydentką, to zachowywała krytycyzm wobec opozycyjnego podziemia. Tak właśnie traktowała Solidarność, a przecież należała do zespołu jej doradców. Natomiast związki Staniszkis z prawicą – konkretnie z kręgami politycznymi, w których kontestowano przebieg transformacji ustrojowej w Polsce – były poniekąd przygodne. W drugiej połowie lat 90. o socjolog mówiono, że jest „matką chrzestną" Akcji Wyborczej Solidarność. Gdy jednak formacja ta rządziła, Staniszkis nie szczędziła jej gorzkich słów. Podobnie było potem z PiS. Nastawienie uczonej do tego ugrupowania zmieniło się po tym, gdy w roku 2015 przejęło ono władzę. Można zatem powiedzieć, że była ona wieczną opozycjonistką.

UWIERAJĄCE „TEORIE SPISKOWE"

Natomiast na kursie kolizyjnym z politycznym i medialnym establishmentem III RP Jadwiga Staniszkis znalazła się już na przełomie lat 80. i 90. Nie podzielała entuzjazmu warszawskich i krakowskich salonów dla ówczesnych zmian systemowych. Wskazywała, że pokłosiem tego, co się wtedy działo, okazał się kapitalizm polityczny. Oto nastąpiło – jak referuje jej myśl Katkowski – „przekształcenie władzy politycznej w ekonomiczną, z towarzyszącymi zjawiskami korupcji i wzrostu nierówności". To nie mogło się podobać w „Gazecie Wyborczej" – medium wówczas wspierającym „reformatorskie" wysiłki „demokratów" i szydzącym z prawicowych „oszołomów", którzy zamiast je doceniać, poruszali problem patologicznych układów na styku polityki, biznesu, służb specjalnych i przestępczości.

Dlatego nie dziwi, że w książce z pewną dozą arogancji o uczonej wypowiedział się prof. Leszek Balcerowicz, ekonomista, były wicepremier i minister finansów, który stał się twarzą polityki gospodarczej krytykowanej przez Jadwigę Staniszkis (wskazywała ona m.in. antyrozwojowe koszty rozwiązań neoliberalnych). Jej opinie skomentował: „To elementarz metodologiczny – nie można przyjmować za prawdę sloganów, nawet jeśli są nośne. A Staniszkis często operowała właśnie takimi szerokimi uogólnieniami bez solidnej podstawy empirycznej". Z takim postawieniem sprawy w „Radykalnej" kontrastują jednak słowa socjologa prof. Andrzeja Rycharda, bynajmniej nie człowieka prawicy: „[...] zawsze starałem się łączyć uogólnienia z badaniem. Ona [Staniszkis] lubiła czytać te empiryczne rzeczy, ale traktowała je raczej jako ilustracje dla swoich tez. Były to ilustracje sensowne i trafne, ale widać było, że dążyła do tego, by wspierać swoje koncepcje jak największą liczbą danych. Była socjologiem z krwi i kości".

Nie przypadkiem więc – jak pisze Katkowski – w latach 1981–1995 spośród polskich socjologów Jadwigę Staniszkis cytowano za granicą najczęściej. Profesor Michael Kennedy, amerykański socjolog, zaprosił uczoną w pierwszej połowie lat 90. na Uniwersytet Michigan w Ann Arbor. Pobyt Staniszkis na tej uczelni zrelacjonował Katkowskiemu m.in. tak: „Ludzie uważali jej idee za fascynujące – zwłaszcza jej przedstawienie Polski jako państwa semiperyferyjnego, co wówczas wydawało się twórcze i nietypowe. Wszyscy mogli zauważyć, że jest inteligentna i nietypowa".

W „Radykalnej" cytowane są lapidarne wypowiedzi Adama Michnika i Jarosława Kurskiego. Szef „GW" i jego długoletni zastępca zgodnie oświadczyli, że na temat Jadwigi Staniszkis nie mają nic do powiedzenia. Można to zinterpretować jako wyraz ich lekceważenia dla niej. Natomiast mocno brzmią przytoczone w książce zarzuty wobec socjolog postawione przez bliską lewicy filozof – i przy okazji felietonistkę „GW" – prof. Magdalenę Środę. Oznajmiła ona: „Miała potwornie mętne seminaria, mętne książki i czasem jakiś spektakularny pomysł. Poza tym była moją sąsiadką na Starym Mieście i zawsze straszyła mnie swoimi spiskowymi teoriami – czego nie znosiłam". O co dokładnie mogło Środzie chodzić? Być może jeden z mnóstwa tropów podsunął w „Radykalnej" Kazimierz Michał Ujazdowski, prawnik, senator z Klubu Senackiego Trzecia Droga, w przeszłości polityk partii prawicowych. Jego zdaniem Staniszkis żywiła silne przekonanie, że Michał Falzmann, inspektor Najwyższej Izby Kontroli, który ujawnił nieprawidłowości w Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (co zapoczątkowało tzw. aferę FOZZ), padł ofiarą osób związanych z tą instytucją (w roku 1991 zmarł w wieku 37 lat – oficjalnie: na zawał serca). Rzeczywiście, snucie takich rozważań było uważane przez oponentów prawicy za przejaw myślenia spiskowego, tyle że bywało i tak, iż chodziło o przemilczanie spraw niewygodnych dla elit politycznych III RP.

KRZYSZTOF KATKOWSKI „RADYKALNA. WSZYSTKIE SPRZECZNOŚCI JADWIGI STANISZKIS" WYDAWNICTWO OTWARTE, KRAKÓW 2026

WPŁYW ENDEKÓW?

Inaczej niż Adam Michnik do Jadwigi Staniszkis podchodzą ludzie lewicy z kręgu „Krytyki Politycznej", jak socjolog Adam Ostolski. W książce przywołał on opinię o uczonej założyciela czasopisma Sławomira Sierakowskiego: „Ona jest marksistką, tylko o tym nie wie". Ostolski zwrócił uwagę na poruszaną przez Staniszkis kwestię „przedwczesnej dezindustralizacji" i referując jej myśl, stwierdził m.in.: „[...] my w Polsce zamknęliśmy fabryki wcześniej, niż z punktu widzenia racjonalności naszego własnego rozwoju byłoby to właściwe [...]. Lewicowiec powiedziałby, że realizowaliśmy jakąś logikę imperialną czy kolonialną". I właśnie taka lewicowa interpretacja intelektualnego dorobku uczonej odpowiada autorowi „Radykalnej", czemu zresztą dał wyraz w epilogu książki.

Tyle że nie bez znaczenia było środowisko rodzinne Jadwigi Staniszkis. Jej dziadek, ojciec i matka działali w Narodowej Demokracji. Pamiętam, jak w wywiadzie przeprowadzonym przeze mnie w roku 2013 dla magazynu „Plus Minus" pani profesor powiedziała, że wychowała się „w środowisku endekoidalnych inżynierów, którzy myśleli w kategoriach pozytywistycznych". Chodziło jej o ludzi chcących zostawić po sobie jakiś wymierny ślad – taki jak mosty czy porty.

Tymczasem Krzysztof Katkowski za dobrą monetę wziął fakt, iż bohaterka jego książki odcinała się od politycznego dziedzictwa endecji. To przecież jednak nie znaczy, że było ono bez wpływu na jej myślenie. Szkoda, że autor „Radykalnej" tego wątku nie pociągnął. Ale gdyby miał to zrobić, musiałby wbrew mitologii lewicy dostrzec w endecji coś innego – a przynajmniej coś więcej – niż „faszystowski" projekt modernizacyjny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

FOT. ADOBE STOCK

Nazwisko jak je rozumiemy

Monika Małkowska

Gdyby dziś ktoś szukał odpowiedzi na pytanie: „Jak się, u diabła, nazywa facet o końskim nazwisku?", to zapewne pierwszym skojarzeniem będzie Giertych. I każdy wie, że nie należy kopać się z tym koniem. Tymczasem w oryginale jemu było Owsianko. Jednak nie wiem, czy ktokolwiek powiąże to miano z opowiadaniem Czechowa „Końskie nazwisko". Kto by pamiętał tekst z 1885 r.? A czy teraz jest w lekturach szkolnych, nie mam pojęcia

No właśnie – tożsamość co poniektórych znanych postaci na różne sposoby utrwala się w zbiorowej, ponadczasowej pamięci. Najtrwalsze pomniki budowane są na talerzach. Horatio Nelson, wicehrabia, książę Brontu, baron Nilu, najsłynniejszy admirał w historii floty brytyjskiej, któremu dwukrotnie udało się pokonać francuską armadę, w ogólnopolskiej jaźni zaistniał dzięki madame Lucynie Ćwierczakiewiczowej. W jej kulinarnych przepisach, z których korzystała większość pań domu II połowy XIX stulecia (nakłady jej poradników przewyższały wydania dzieł Mickiewicza czy Słowackiego), figurują zrazy à la Nelson, jednogarnkowa i w miarę prosta potrawa, acz wymagająca przedniej jakości surowców (dobra wołowina) oraz stosownych naczyń do serwowania – nelsonek. Dekadę później niż Nelson urodził się François-René de Chateaubriand, któremu jak na tamte czasy udało się osiągnąć zacny wiek 79 lat (1768–1848) oraz zyskać sławę nie tylko dzięki literaturze i polityce, lecz także za sprawą doświadczeń na patelni. Gdyby porównać pamięć o jego genialnych „Pamiętnikach zza grobu" (1848) z rozpoznawalnością jego sztandarowego dania zwanego (niepoprawnie) „szato z borowikami", to polędwica wedle przepisu pisarza zdecydowanie wygrywa. Zwłaszcza że szefowie kuchni rekomendują ją na romantyczną kolację: dwa soczyste befsztyki usmażone dla zakochanych żołądków.

IMPERIUM ATAKUJE

Od dawna wiadomo, że Francuzi mają miętę do Rosjan. Co uzewnętrznia się w kuchni. Boeuf Strogonow to kombinacja kuchni francuskiej i rosyjskiej. Doskonałej jakości wołowina, krojona w paski i smażona (proweniencja francuska), następnie doprawiana sosem śmietanowo-pomidorowym i ogórkami kiszonymi (model ruski). Pichcona jednogarnkowo, czyli wygodnie. No dobra. Ale kim był dany Strogonow? Bo przy jego nazwisku są nieporozumienia. W powieści Juliusa Verne'a „Z Moskwy do Irkucka" pojawia się jako Michał Strogow, kurier cesarski. Ten, który istniał w realu, to rosyjski hrabia, prawdziwy matuzalem (1795–1891), generał-gubernator i minister z czasów Aleksandra I i Mikołaja I, ostatecznie odsunięty od urzędów za panowania cara Aleksandra II w celu „podreperowania zdrowia", co na czyste wyrazy przekładało się na degradację. Również zza wschodniej granicy przeszczepiony został na nasz grunt kotlet pożarski, który zawdzięczał nazwę kniaziowi Dimitrowi Pożarskiemu. W dobie PRL zyskał niechlubne miano „przeglądu tygodnia", co nie gwarantowało jakości ani świeżości użytych składników. Z pewnością inaczej smakował w XIX w., kiedy przyrządzano go z rozbitej piersi kurzej i cielęciny, uformowanych na kształt udka kurczęcia, z włożoną w środek kostką.

Za nazwami popularnych słodkości kryją się na ogół diwy. Sopran liryczny Nellie Melby (1861–1931) doczekał się przełożenia na świeże brzoskwinie podgotowane w syropie z lodami waniliowymi, polane musem malinowym – co ku czci australijskiej śpiewaczki wykreował francuski szef kuchni, słynny Auguste Escoffier. Nie mniej znany jest deser przyrządzony wedle gustu, smaku i potrzeb Anny Pawłowej (1881–1931), primabale-

eprasa.pl b1c25d5852

riny Les Ballets Russes Siergieja Diagilewa. Tradycja głosi, że „Umierający łabędź" (jej najbardziej znana rola) poprosił o coś lekkiego podczas pobytu w Perth w Hotelu Esplanade w 1926 r. Jednak po trofeum z bitej śmietany upominają się też Nowozelandczycy, twierdzący, że smakołyk przygotowano podczas tournée Pavlovej w Wellington. Tak czy inaczej, torcik bezowy od wieku nie traci powodzenia. Mniam.

Są też nazwiska wplątane w nurty. Każdy zna „Marsz Radetzky'ego" Johanna Straussa ojca. Utwór skomponowany na uroczysty bankiet wydany przez Habsburgów w Wiedniu 1848 r. Niejaki Joseph Radetzky był austriackim feldmarszałkiem dowodzącym w bitwie pod Custozą, a dedykowany mu utwór stał się numerem obowiązkowym podczas rund honorowych na zawodach jeździeckich. Hiszpańska szkoła jazdy – tradycja ponad 400-letnia – to białe ogiery lipicańskie, obdarzone poczuciem rytmu i dobrym słuchem. Tańczą jak baletnice, rżą przy refrenie (no i wrócił wątek koński). Marsz Radetzky'ego wykonywany jest na imprezach niepodległościowych oraz na finał Koncertu Noworocznego w Wiedniu, kiedy wszyscy klap, klap w rytm melodii, co także jest tradycją od 1848 r. Był też głośny przypadek, kiedy nazwisko „dedykanta" wygumkował sam kompozytor, kiedy uznał, że bohater go zawiódł. Tak właśnie Napoleon Bonaparte rozczarował Beethovena, który już z myślą o nim skomponował w 1804 r. symfonię zwaną „Eroica". Ale kiedy do wiedeńskiego kompozytora dotarła wieść, że Bonaparte koronował się na cesarza, mistrz uznał to za zdradę republikańskich wartości. Wedle świadków zaklął siarczyście i podarł kartę tytułową.

SERCE W DRZWIACH

A co na naszym podwórku? W muzyce – oczywiście „Mazurek Dąbrowskiego", poza czasem i dyskusją, pieśń patriotyczna skomponowana w 1797, nasz hymn od 1927 r. Utwór również odnosi się do Napoleona, a konkretnie do nadziei, jakie wzbudzało w rodakach utworzenie Legionów Polskich we Włoszech (1797). Jednak więcej nazwisk polityków przeszło do języka potocznego, stając się synonimami czegoś mniej szlachetnego. Ostatni, który zapisał się pozytywnie w językowym (i społecznym) zasięgu, to Felicjan Sławoj Składkowski. Gdy pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych w rządzie Piłsudskiego, zawalczył o poprawę higieny na wsiach, przymusowo wprowadzając wolno stojące, drewniane wychodki, od jego nazwiska zwane sławojkami – co osobiście kontrolował, jeżdżąc po kraju. Drewniane budki z wyciętym w drzwiach serduszkiem to już pieśń przeszłości. Te jeszcze istniejące powinno otoczyć się opieką konserwatorską – spieszmy się je ocalać, tak szybko znikają…

Wróćmy do tych, których kojarzymy dzięki kulinariom. Ponieważ kucharzenie stało się narodowym sportem Polaków, lista potrawonazwiskosynonimów mocno się wydłużyła. Pamiętacie go? Sławosz Uznański-Wiśniewski, drugi Polak w Kosmosie. Rok temu było o nim głośno, jednak jego gwiazda świeciła niewiele dłużej niż 20 dni, które spędził na orbicie. Największe „halo" wokół wyczynu Sławosza zrobiły pierogi. Że je konsumował w stanie nieważkości. I jak smakowały w porównaniu z tymi degustowanymi przy ziemskiej grawitacji. To się nazywa naukowy sukces, pogratulować. Konsumpcyjnie łączy się też nazwisko Donalda Tuska – a mianowicie z żurkiem, którego walory smakowe zachwalał, pałaszując zupkę na amatorskim filmiku. Gdy nazwę naszej tradycyjnej polewki napisać z dużej litery, to wtedy, he, he, chwytamy aluzję. Z innych dokonań premiera o kuchennym podtekście w pamięć zapadło obieranie ziemniaków w jego domowym salonie (luty 2025 r.). Koncepcja zainspirowana chyba słynną akcją Julity Wójcik, obierającej kartofle w Małym Salonie w Galerii Zachęta. Performance Wójcik odbył się ćwierć wieku temu, czasy pionierskie dla naszej awangardy, a pamięć o tamtym wydarzeniu trwa. Postuluję: awansujmy ziemniaki Tuska do rangi sztuki! W tej samej kategorii powinien się znaleźć performance Witolda Zembaczyńskiego, demonstrującego swe naleśnikarskie umiejętności w Kanale Zero. Wprawdzie biznes z naleśnikami mu się nie udał, ale interesy polityczne prowadzi z sukcesem.

Marcina „Bobasa" Kierwińskiego, prawą rękę Tuska, chyba już zawsze będziemy łączyć z „pogłosem". Co gradusy wyprawiają z językiem ludzkim, wie też doskonale Andrzej Szejna, który miał problemy zarówno z alkoholem (i wyszedł z tego), jak i zegarkiem (była/nie była Omega, zależy, dla kogo ten wywiad). Skojarzenie z czasomierzami (drogimi) niesie także nazwisko Sławomir Nowak, który dorobił się miana ministra od zegarków. A znacie takie słowo „myrchowanie"? Pochodzi od nazwiska małżeństwa Myrcha/Gajewska, obydwoje posłowie na Sejm z ramienia KO, pobierający podwójny dodatek mieszkaniowy pomimo posiadania domu pod Warszawą. Plus nierozliczone kilometrówki. Dodatkowo Kinga Gajewska-Myrcha zasłynęła torbą ziemniaków i warzyw sprezentowanych seniorom w hospicjum. Owa „hojność" wynikała z agitki politycznej przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2025 r. „Ziemniaki wstydu" nie pomogły odnieść sukcesu Rafałowi Trzaskowskiemu, podobnie jak „postać znana Jacek Murański" (cytuję premiera) nie obciążyła Karola Nawrockiego.

JACHIRA TYGODNIA

Są tacy, którzy przechodzą do historii za sprawą… niesprawności intelektualnej. Taki Dariusz Wieczorek, eksminister nauki z ramienia Nowej Lewicy, wykazał się niewiedzą z zakresu matematyki podstawowej (ile jest dodać 0,5 i ½? Chyba mu wyszło 0,75…). To niejedyny bystry inaczej. Ministra zdrowia Sobierańska-Grenda – nawiasem mówiąc, doktor nauk społecznych – uśmiechnięta (jak inni w KO) dostrzega poprawę w swym resorcie, choć wszyscy widzą, że wprost przeciwnie. Jednak wszystko to nic wobec doświadczenia w bzdurzeniu Klaudii Jachiry, posłanki na Sejm IX i X kadencji z partii Zielonych. Jej umysłowy potencjał w sensie wartości ujemnych został okrzyknięty wzorcem głupoty, jak ten platynowy metr z Sèvres. Prowadzący program „Lewy z Bicepsem" (TVP Republika) wyróżniają autorów szczególnie idiotycznych wypowiedzi „Jachirą Tygodnia". Czy to równa się założeniu podwójnego nelsona pięknym umysłom polskiej polityki i unieruchomienie ich aktywności? Eee tam, prędzej dostaną po pierogu od Sławosza.

PS Z pewnością lista nie jest wyczerpana, toteż proponuję czytelnikom współtworzenie słownika skojarzeniowo-odnazwiskowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Batoh – sarmacki

Edward Stępień

Bohdan Chmielnicki osobiście doglądał rzezi na polskich jeńcach. Zabijano ich w różny, hańbiący żołnierzy sposób – siekierami, pikami, toporami, a najczęściej podrzynano im gardła. To okrucieństwo było potem naśladowane na Kresach Wschodnich w 1943 r.

Zdarzenia, do których doszło w dniach 3 i 4 czerwca 1652 r., są w historii Polski tragiczne, ale przede wszystkim stanowią czarną kartę dziejów Ukrainy. W ciągu tych dwóch dni Bohdan Chmielnicki nakazał w okrutny sposób wymordować ok. 3 tys. bezbronnych polskich jeńców. Banderowcy na Wołyniu w 1943 r. mieli gotowe wzorce postępowania.

Rok 1652 był dla Polski niepomyślny. Zaczęło się od skazania przez sąd marszałkowski na karę śmierci zdrajcy Hieronima Radziejowskiego, ale sejm, po zatwierdzeniu tego wyroku, został po raz pierwszy zerwany w wyniku weta posła Władysława Sicińskiego. Zaczęły się również epidemie dżumy, tyfusu plamistego i czarnej ospy, które przez następne 11 lat szalały w I Rzeczypospolitej. Jednym z nieszczęść, które dotknęły Polskę, była bitwa pod Batohem, która rozegrała się w dniach 1 i 2 czerwca 1652 r.

WYKUPIĆ, ŻEBY ZAMORDOWAĆ

Po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem w 1651 r. wydawało się, że powstanie Chmielnickiego dogorywa. Jednakże brak zdecydowanych działań ze strony Rzeczypospolitej spowodował, że Chmielnicki zdołał się odbudować i postanowił zająć Mołdawię i Wołoszczyznę, wykorzystując mariaż swojego syna Tymoszki z Rozandą, która była córką hospodara Bazylego Lupula. Aby zrealizować ten zamiar, razem z wojskiem kozackim oraz Tatarami ruszył do Mołdawii. Plany Chmielnickiego w sposób oczywisty były niekorzystne dla Polski i dlatego hetman Marcin Kalinowski postanowił zatrzymać Kozaków w drodze do Mołdawii. Kalinowski zgromadził ok. 10–12 tys. wojsk kwarcianych pod Batohem w województwie bracławskim.

eprasa.pl b1c25d5852

Masakra polskich jeńców po bitwie pod Batohem, 1652 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Katyń

Dyscyplina w obozie nie była dobra, ponieważ znaczna część żołnierzy nie otrzymała żołdu, czego przyczyną było zerwanie sejmu, który miał uchwalić pieniądze dla wojska. Hetman Kalinowski dowodził wojskiem w sposób nieudolny, gdyż nie zadbał, aby rozpoznać siły wroga, i bezpodstawnie przypuszczał, że ma do czynienia jedynie z Kozakami w sytuacji, gdy Chmielnicki po raz kolejny wszedł w sojusz z Tatarami i jego siły co najmniej dwukrotnie lub trzykrotnie przewyższały liczebnie wojsko polskie. Błędem było również rozłożenie się obozem na dużym terenie, który był trudny do obrony. Kolejny błąd stanowiło dopuszczenie, aby Tatarzy i Kozacy przekroczyli rzekę Boh i okrążyli wojska polskie. Jakby nieszczęść było mało, część dowódców kwestionowała sposób dowodzenia wojskiem przez hetmana Kalinowskiego i doszło do jawnego buntu znacznej części wojska. Chaos pogłębił sam Kalinowski, który nakazał artylerii, aby strzelała do własnych, zbuntowanych oddziałów. Drugiego dnia walk atak Kozaków i Tatarów z trzech stron doprowadził do przełamania obrony i w konsekwencji wojsko polskie poszło w rozsypkę. Hetman Kalinowski zginął w walce, próbując odbić swojego syna. Kilka tysięcy polskich żołnierzy poległo na placu boju, a od 3 do 3,5 tys. dostało się do niewoli, głównie tatarskiej. Patrząc z perspektywy żołnierzy, którzy trafili do niewoli, mogli się oni spodziewać, że Tatarzy zachowają się w sposób typowy, tj. będą domagać się od rodzin wykupienia jeńców, a tych biedniejszych sprzedadzą na targu niewolników w Turcji. Ten utarty schemat się nie spełnił, ponieważ Bohdan Chmielnicki zaoferował Tatarom więcej pieniędzy, aniżeli mogli oni spodziewać się od rodzin, i wykupił z ich rąk od 3 do 3,5 tys. jeńców. Następnego dnia po bitwie, tj. 3 czerwca 1652 r., Bohdan Chmielnicki osobiście doglądał rzezi na polskich jeńcach. Zabijano ich w różny, hańbiący żołnierzy sposób – siekierami, pikami, toporami, a najczęściej podrzynano im gardło. Zabito w ten sposób wszystkich wykupionych z rąk Tatarów jeńców. W okrutnych męczarniach zginęli m.in. Marek Sobieski – brat Jana, późniejszego króla; syn hetmana Samuel Kalinowski; generał artylerii Zygmunt Przyjemski; rotmistrz Marcin Czarniecki i ośmiu jego kuzynów. Brat Marcina – Stefan Czarniecki, który pełnił funkcję oboźnego koronnego – w niezwykły sposób uniknął egzekucji, mimo że również trafił do niewoli, ale ukrył go życzliwy Tatar.

Mord na polskich jeńcach odbył się „na zimno" i w sposób metodyczny. W tym czasie bywało tak, że w ferworze bitwy zabijano poddających się przeciwników, ale nie zdarzało się, aby już po zakończeniu walk mordować masowo bezbronnych jeńców. To, co zdarzyło się w dniach 3 i 4 czerwca 1652 r., możemy porównać jedynie z mordem w Katyniu i dlatego zasadne jest określenie tej zbrodni jako sarmackiego Katynia. Okrutny sposób zamordowania bezbronnych jeńców był naśladowany na Kresach Wschodnich w 1943 r.

ZDRAJCA UKRAINY

Różni badacze podejmują próby racjonalnego wytłumaczenia zbrodniczego zdziczenia Chmielnickiego i Kozaków.

Obecna wojna ukraińsko-rosyjska jest następstwem głupoty Chmielnickiego. Tylko kiedy to dotrze do świadomości Ukraińców?

Niektórzy twierdzą, że Chmielnicki chciał w ten sposób wprowadzić w swoich szeregach większą dyscyplinę, gdyż spotykał się z buntami. Przypuszcza się również, że Chmielnicki mógł się obawiać, iż Tatarzy odprowadzą jeńców na Krym, a tym samym nie będą chcieli uczestniczyć w wyprawie na Mołdawię. Są też przypuszczenia, że w ten sposób chciał ostatecznie odciąć się od Rzeczypospolitej i od jakichkolwiek z nią układów. Można również zakładać, że Chmielnicki działał z zemsty i chciał „rezać Lachów". Być może któraś z tych przyczyn, bądź wszystkie razem, jest uzasadniona, ale niewątpliwie sposób zachowania Chmielnickiego wskazuje, że był on psychopatą.

Godne ubolewania jest to, że nasz aktualny sojusznik, któremu przekazaliśmy i przekazujemy znaczne środki, uznaje ludobójstwo na jeńcach za powód do chwały, gdyż w 2002 r. wolna Ukraina uczciła zbrodnię pod Batohem, wydając monetę o nominale 5 hrywien z okazji 350-lecia jej dokonania. Zbrodniarz Chmielnicki, który zaledwie dwa lata później, w wyniku ugody w Perejesławiu, oddał Ukrainę pod panowanie cara moskiewskiego, na Ukrainie ma status bohatera narodowego. Nie rozumiem, z jakiego powodu człowiek, który zdradził Ukrainę, tak jak Hieronim Radziejewski Rzeczpospolitą, cieszy się wśród Ukraińców ogromną popularnością, stawia się mu liczne pomniki, a nawet miasto nazwano jego imieniem. Obecna wojna ukraińsko-rosyjska jest następstwem głupoty Chmielnickiego. Tylko kiedy to dotrze do świadomości Ukraińców?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest adwokatem, w przeszłości był prokuratorem i radcą prawnym. Ma na swoim koncie książki, m.in. „Kołobrzeg – twierdza Solidarności" i „Granica szeroko zamknięta. Polityczne, prawne i społeczne aspekty ucieczek z Polski Ludowej". Prowadzi stronę edwardstepien.pl. Jest inicjatorem oraz członkiem założycielem Stowarzyszenia Przywracania Pamięci „Kołobrzeg 80", które m.in. organizuje obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP, rocznic porozumień gdańskich i największej manifestacji w Kołobrzegu, a także wprowadzenia stanu wojennego.

eprasa.pl b1c25d5852

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Mimikra

Jest to zjawisko znane w świecie przyrody, gdzie zwierzęta usiłują się upodobnić do innych gatunków w celu krycia „tożsamości". Jest to też zjawisko znane w świecie społecznym, w tym politycznym, gdzie mamy do czynienia z maskowaniem własnej tożsamości, w celu upodobnienia się do otoczenia. Badanie tego zjawiska jest nie tylko pożyteczne, lecz także fascynujące. Czego to bowiem ludzie nie wymyślą, aby skierować nasze zmysły poznawcze na fałszywe tropy! Ponieważ rzecz dotyczy nie jednostek, które nikomu nie wadzą, to skierujmy naszą uwagę tam, gdzie prawdziwa tożsamość i jej mimikra mają znaczenie.

Oto podwójna tożsamość towarzyszki z Komunistycznej Partii Polski, która zaszła w jej strukturach bardzo wysoko, a nie tylko rodzinnie odegrała ogromną rolę. Urodziła się jako Rywa Cukierman, ale nie wiemy dokładnie tego kiedy, bo i ona tego nie wiedziała. „Urodziłam się prawdopodobnie w Sokołowie Podlaskim lub Zarębach Kościelnych ok. roku 1913–1915, w którymś z zimowych miesięcy". To się zdarzało, nie zawsze i nie wszędzie ponad wiek wstecz była pełna, dokładna ewidencja ludności. Ale przecież w rodzinie, wśród sąsiadów można było ustalić datę urodzin w miarę dokładnie. Tu jednak nie było problemu. Można było bowiem przyjąć datę… ideologiczną. „Będąc już na pracy w KZM [Komunistycznym Związku Młodzieży – przyp. L.Ż.], zaczęłam używać daty Rewolucji Październikowej jako dzień mego urodzenia". W środowiskach komunistycznych to był nabożny kult religijny do tej ideologii, mocniejszy niż cokolwiek innego. „I tę to datę mam w moich dokumentach oficjalnych po dzień dzisiejszy". Przecież my nawet nie wiemy, czego i dlaczego nie wiemy… A przecież chodzi o osobę, która w strukturach Komunistycznej Partii Polski zaszła bardzo wysoko, tym bardziej że wyszła za mąż za jednego z najważniejszych właścicieli Polski Ludowej – Mendla Kossoja vel Wacława Komara.

Kossoj zaczynał swą karierę w tych kręgach w sposób wówczas oczywisty. Zanim trafił do komunistów, otrzymał solidny podkład religijno-syjonistyczny, w Haszomer Hacair. Rywa Cukierman jako funkcjonariuszka KPP posługiwała się (rodzinnie) inną tożsamością, była bowiem „Marią Sokołowską" (być może po ojcu – Dawidzie Cukiermanie vel Dawidzie Sokołowskim, działaczu Komunistycznej Partii Australii i Komunistycznej Partii Nowej Zelandii). Jej brat, Maksym Cukierman, działał w Bundzie w… Nowej Zelandii. Siostra Estera była żoną Stanisława Jerzego Leca. Michał, syn Rywy i Mendla „Komarów", był doradcą premiera Włodzimierza Cimoszewicza i publicystą „Tygodnika Powszechnego" równolegle z… Michałem Bristigerem. To były kariery. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Czas pułkowników

Chociaż 1 czerwca 1926 r. Ignacy Mościcki został wybrany na prezydenta Polski, to w sanacyjnej elicie władzy nie odgrywał większej roli. Nie należał do najbliższego kręgu współpracowników Piłsudskiego, gdyż w tym gronie zajmowane aktualnie stanowiska nie oddawały rzeczywistej pozycji. Opinia Aleksandra Prystora (szefa Gabinetu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych) znaczyła więcej niż wypowiedź prezydenta. Marszałek miał zaufanie wyłącznie do kilku osób – opierał się na ludziach znanych sobie od lat, którzy nigdy go nie zawiedli. Wywodzili się z PPS (Prystor i Sławek), Związku Walki Czynnej (Miedziński), Legionów i POW (Beck, Świtalski, Pieracki). W ich ręce Piłsudski przekazywał coraz większy zakres władzy, chociaż do końca zachowywał kontrolę nad najważniejszymi posunięciami.

O pozycji w elicie władzy decydowała możliwość bezpośredniego kontaktu z Piłsudskim i dlatego największe znaczenie miała niewielka grupa mająca nieskrępowany dostęp do marszałka. Ludzie, których przyjmował bez względu na porę dnia i okoliczności.

Najbliżsi współpracownicy Komendanta okazywali sobie niezwykłą lojalność. Nie zachowały się żadne ślady rozgrywek personalnych, chociaż zausznicy Piłsudskiego często różnili się w poglądach na poszczególne zagadnienia. Konsolidację grupy popierał osobiście Marszałek, co stanowiło ewenement w systemie autorytarnym. Wódz nie stosował zasady „dziel i rządź", uważając, że powinien istnieć zespół zmieniających się wzajemnie premierów i ministrów, spokojnie realizujących jedną linię polityczną. W chwilach decydujących sam obejmował stanowisko szefa Rady Ministrów lub wyznaczał najbliższych współpracowników (Sławek, Prystor). Z tą dwójką był zresztą (jako jedynymi) na „ty".

Prymat Piłsudskiego nie ulegał wątpliwości, nikt z jego obozu nie myślał o zajęciu jego miejsca. Współpracownicy Komendanta spotykali się wielokrotnie we własnym gronie (co zresztą popierał), załatwiali bieżące sprawy, ale zdawali sobie sprawę, że bez niego znaczyli niewiele.

Otoczenie marszałka nazywano ironicznie „grupą pułkowników", gdyż większość jej członków właśnie w tym stopniu zakończyła kariery wojskowe. Stopień wojskowy nie miał jednak znaczenia i chociaż Sławoj Składkowski był generałem, to nie mógł równać się znaczeniem z Prystorem czy Sławkiem (pułkownikami). Nie dotyczyło to oczywiście kwestii czysto wojskowych, ponieważ w armii marszałek konsekwentnie przestrzegał hierarchii. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

FOT. THA LUANG POLICE

POLICYJNE DRAG QUEEN

Podczas ulicznego festynu w Tha Luang (Tajlandia) policjanci przeprowadzili akcję antynarkotykową. Funkcjonariusze przebrali się za drag queen, by następnie wmieszać się w tłum uczestników imprezy. Dzięki temu mogli zbliżyć się do człowieka podejrzewanego o handel amfetaminą bez wzbudzania w nim niepokoju. W odpowiednim momencie dokonali zaś jego zatrzymania.

NA RATUNEK PRZESTĘPCY

W Salinas (stan Kalifornia) policjanci udzielili pomocy 29-letniemu mężczyźnie, który w wyniku nieudanej próby włamania zsunął się z dachu budynku i przez ok. 10 godzin był uwięziony w wąskiej przestrzeni między lokalami. Funkcjonariusze usłyszeli jego wołanie przez ścianę kawiarni. Żeby się do niego dostać, trzeba było ją przebić. Mężczyznę poddano badaniu lekarskiemu, po czym postawiono mu zarzut popełnienia przestępstwa i go aresztowano.

TO JEDNAK NIE BOMBA

Lotnisko w Melbourne zostało częściowo zamknięte na kilka godzin po alarmie bombowym. Ale został on wywołany nie przez ładunek wybuchowy, lecz... przez urządzenie do depilacji laserowej oraz pojemnik z gorącą czekoladą. Przedmioty te znaleziono u jednego z pasażerów podczas kontroli bezpieczeństwa. Saperzy sprawdzili podejrzany bagaż i ustalili, że nie stanowi zagrożenia. Policja podkreśliła, że jego właściciel początkowo nie współpracował z nią, co wydłużyło całą akcję.

STRZELAJĄCY PIES

Do nietypowego wypadku doszło w Scottsbluff (stan Nebraska). Właściciel samochodu zostawił w nim psa. Zwierzę poruszało się na tylnym siedzeniu auta i przypadkowo uruchomiło znajdującą się tam naładowaną broń. Strzał ze strzelby przebił drzwi pojazdu i dosięgnął ramię kobiety, która siedziała w innym samochodzie przy otwartym oknie. Poszkodowana trafiła do szpitala. Na szczęście obrażenia okazały się dla niej niegroźne.

ŻÓŁWIE W WORECZKACH

Tajlandzkie służby zatrzymały na lotnisku w Bangkoku 19-letnią obywatelkę Tajwanu, która próbowała przemycić pod ubraniem 30 żółwi gwiaździstych o łącznej wartości ok. 9 tys. dol. Zwierzęta były schowane w woreczkach z materiału, przyklejonych taśmą do ciała kobiety. Jeden z gadów okazał się martwy. Funkcjonariusze zwrócili uwagę na podejrzane zachowanie 19-latki przed odlotem do Tajpej. Żółw gwiaździsty to gatunek chroniony. ©℗ ***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ludzie kontra agenty

Agenty AI w Polsce wykonały w ubiegłym tygodniu pierwsze transakcje. Test, w którym udział wzięły m.in. mBank, Pekao i UniCredit, oparto na rozwiązaniu Mastercard Agent Pay. Agent miał znaleźć ofertę doświadczeń w Nowym Jorku. Samodzielnie przeanalizował możliwości, wybrał degustację i dokonał zakupu bez udziału człowieka.

Lecz choć agenty AI (tak poprawnie nazywa się te zautomatyzowane algorytmy) są coraz mądrzejsze, to apokalipsa AI na rynku przełożona. Sam Altman, szef OpenAI (firmy, która stworzyła ChatGPT), twierdzi bowiem, że „ludzie okazali się trwalsi", niż szacowano. Nie oznacza to, że wielkie firmy nagle wstrzymają zwolnienia. Na wielu stanowiskach algorytmy AI spokojnie dają już sobie radę bez „czynnika ludzkiego".

W obronie zastępowanych przez roboty tradycyjnych pracowników zaczynają stawać jednak tradycyjne sądy (nieco stronnicze, bo same również bazujące na czynniku ludzkim). Sąd w Hangzhou (Chiny) orzekł, że firma technologiczna nie miała prawa zwolnić pracownika, którego stanowisko zautomatyzowano za pomocą sztucznej inteligencji. To ważny wyrok, bo już trzeciej instancji.

Jak rywalizacja ludzi z AI wygląda w Polsce? Z nowego raportu EY wynika, że 77 proc. polskich przedsiębiorstw deklarowało w ostatnim kwartale 2025 r. chęć zwiększenia wydatków na sztuczną inteligencję w ciągu najbliższych 18 miesięcy. Jednocześnie aż 49 proc. polskich firm jest rozczarowanych efektami wdrożeń AI. To dobra wiadomość dla wszystkich. Oznacza bowiem, że ludzie wciąż są potrzebni, choćby po to, aby z sensem zaplanować kolejne wdrożenia sztucznej inteligencji. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

Witold Repetowicz

Strategia Izraela pod rządami Beniamina Netanjahu jest dość klarowna: siać chaos na Bliskim Wschodzie, tak by wszyscy ze sobą walczyli. Koszty takiego działania nie interesują Tel Awiwu, a każdy krytyk jest dyskredytowany jako antysemita. Ta strategia wydaje się skuteczna, ale tylko na krótką metę. Długoterminowo to sznur na szyję tego państwa

Upadek Izraela

Nie ma na Bliskim Wschodzie kraju, który by zaatakował większą liczbę państw regionu niż Izrael pod rządami Netanjahu. I nigdy Izrael w swojej historii nie prowadził tak agresywnych działań jak pod przywództwem tego polityka, zwłaszcza po 7 października 2023 r., tj. ataku Hamasu na Izrael. Poza krwawą jatką urządzoną Palestyńczykom, i to nie tylko tym w Strefie Gazy, lecz także na Zachodnim Brzegu, Izrael dokonał w tym czasie ataków na Liban, Syrię, Iran, Jemen, Katar i prawdopodobnie również Irak. Ponadto od wielu miesięcy politycy izraelscy coraz śmielej grożą atakiem na Turcję, którą czasem określają mianem „drugiego Iranu". Dotyczy to nie tylko tych związanych z obozem rządzącym, lecz także wielu reprezentujących dzisiaj opozycję np. Naftalego Bennetta, czasem typowanego na następcę Netanjahu, jeśli ten przegra wybory. Oznacza to, że nadzieja, iż Izrael zmieni w najbliższej przyszłości swoją agresywną politykę, jest bardzo mała.

Gdy po 2011 r., w rezultacie tzw. arabskiej wiosny, w sąsiedniej Syrii wybuchła wojna domowa, Izrael zacierał ręce, bo dwaj jego wrogowie skoczyli sobie do gardeł. Z jednej strony Asad, wspierany przez Hezbollah i Iran, z drugiej zaś sunniccy dżihadyści. Netanjahu był już wówczas premierem i pozostał nim do dziś z półtoraroczną przerwą od czerwca 2021 do grudnia 2022 r. Izrael pod jego przywództwem doszedł do wniosku, że trzeba po cichu wspierać stronę słabszą przeciwko silniejszej, ale nie po to, by zwyciężyła, tylko by podtrzymywać konflikt w nieskończoność. Dlatego w szpitalach izraelskich leczono rannych terrorystów Al-Nusry, organizacji związanej z Al-Kaidą. Izrael nawet to przyznał, twierdząc, że robi to ze względów humanitarnych.

KRWAWA TAKTYKA

W tym czasie niewielu jeszcze łączyło kropki i wiązało tę izraelską strategię

eprasa.pl b1c25d5852

Premier Izraela Beniamin Netanjahu prezentuje mapę Bliskiego Wschodu podczas debaty w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ w Nowym Jorku, 26 września 2025 r.

FOT. TIMOTHY A. CLARY/AFP/EAST NEWS

z problemami dla Europy. Przedłużająca się wojna w Syrii była przecież jedną z przyczyn wzrostu zagrożenia terrorystycznego oraz kryzysu migracyjnego. Ale przecież Izraela to nie obchodziło. Netanjahu uznał natomiast, że ta taktyka działa, więc należy ją przenieść na cały region. Niech stanie w płomieniach, szyici walczą z sunnitami, Kurdowie, z kim się da, niech reżimy będą jak najbardziej krwawe wobec swoich oponentów, a najlepiej jeszcze, jakby Amerykanie z Europejczykami wdali się w jakąś interwencję i okupację. Słowem: niech będzie armagedon, a Izrael sobie z boczku będzie patrzył w spokoju i głosił, że on jest na Bliskim Wschodzie bastionem zachodniej cywilizacji, której broni przed islamem. A poza tym to on się tylko broni. I co ma robić, skoro Arabowie chcą go zniszczyć? No przecież musi ich wszystkich wybić.

Jeszcze kilka lat temu wydawało się jednak, że Izrael chce normalizacji relacji z państwami arabskimi. W 2019 r. w Warszawie zorganizowano antyirański szczyt bliskowschodni z udziałem Netanjahu i delegacji arabskich. Nawiasem mówiąc, Polska została nim wmanewrowana w niepotrzebny konflikt dyplomatyczny z Iranem, a na koniec Netanjahu, swoim zwyczajem, napluł na nas, domagając się odszkodowań za mienie żydowskie. Rok później kilka państw arabskich, w tym Zjednoczone Emiraty Arabskie, znormalizowało relacje z Izraelem, zawierając tzw. Porozumienia Abrahamowe.

Wyglądało na to, że Izrael może dogadać się z Arabami i Netanjahu tego chce. Problem w tym, że już wtedy chciał zjeść ciastko i nadal je mieć. Tuż przed normalizacją z Emiratami Izrael chciał dokonać aneksji Zachodniego Brzegu, co nieuchronnie by ją zablokowało. Nie doszło do tego, bo interweniowały USA. Później było już tylko gorzej, bo w listopadzie 2022 r., aby odzyskać władzę, Netanjahu sprzymierzył się z syjonistycznymi ekstremistami: Bezalelem Smotriczem i Itamarem Ben-Gwirem. Z tego samego środowiska wywodzili się Baruch Goldstein i Jigal Amir. Ten pierwszy w 1994 r. dokonał masakry Palestyńczyków modlących się w Jaskini Praojców w Hebronie, a ten drugi rok później zamordował izraelskiego premiera Icchaka Rabina za to, że prowadził rozmowy pokojowe z Palestyńczykami.

IDEA WIELKIEGO IZRAELA

Ci religijni syjoniści przez lata byli na marginesie życia politycznego w Izraelu i uznawano ich wręcz za terrorystów. Ben-Gwir organizował dziecięce bojówki, by atakowały Palestyńczyków i agendy ONZ. Wejście na salony dało im ochronę państwa. Ale wniosło też jeszcze jedną rzecz – ideę stworzenia Wielkiego Izraela. Na przykład Smotricz, już jako minister w rządzie Netanjahu, w 2023 r. wystąpił w Paryżu na tle „mapy Izraela", na której sąsiednia Jordania była jego częścią. Niektórzy idą jeszcze dalej. Kreująca się na rzeczniczkę osadników żydowskich Daniela Weiss uznaje, że Izrael ma prawo do terytorium między Nilem a Eufratem, bo tak napisane jest w Księdze Rodzaju. Kobieta ta, o aparycji niegroźnej babci od serniczka i herbatki, w rzeczywistości jest agresywną wariatką uznającą wygnanie wszystkich Palestyńczyków za oczywistą konieczność. Niestety, jest też osobą wpływową.

Idea Wielkiego Izraela nie jest obecnie niszowa, a wielu żołnierzy IDF nosi odwołujące się do niej naszywki. Ponadto Izrael, pod pretekstem tworzenia „stref bezpieczeństwa", dokonuje już ekspansji terytorialnej. Najpierw w 2019 r. Netanjahu dokonał aneksji Wzgórz Golan. Gdy w grudniu 2024 r. w Syrii upadł reżim Asada, a do władzy doszli ci sami dżihadyści, których Izrael leczył w swoich szpitalach i którym słał „pomoc humanitarną", to wydawało się, że Tel Awiw i Damaszek się dogadają. Ale zamiast tego Netanjahu kazał bombardować Syrię, deklarować wsparcie religijnym i etnicznym mniejszościom (Kurdom, alawitom i Druzom), a siły izraelskie poszerzyły strefę okupowaną w Syrii. Po wybuchu wojny z Iranem, wykorzystując włączenie się do wojny Hezbollahu, Izrael wyznaczył sobie cel zajęcia ok. 10 proc. Libanu (tereny do rzeki Litani). Nie ma to być czasowa okupacja, jak po inwazji w 1982 r. Tym razem ludność ma być trwale wypędzona, czemu służyć mają prowadzone już masowe wyburzenia budynków.

Taka strategia jest dokładną odwrotnością idei „ziemia za pokój", którą w latach 70. zaczął wdrażać prawicowy premier Izraela Menachem Begin. W tym właśnie duchu zawarł on pokój z Egiptem, oddając mu Synaj. Idea ekspansji terytorialnej nie jest przy tym spowodowana przeludnieniem. Wprawdzie populacja Izraela wzrasta, ale nieznacznie, a odsetek ludności żydowskiej w skali całego regionu spada. Oczywiście w Wielkim Izraelu miejsce byłoby tylko dla Żydów, a reszta powinna te tereny opuścić. Dlaczego? Bo tak jest zapisane w Księdze Rodzaju, a przecież decyzji Boga nie można podważać. Niech idą na pustynię. Albo do Europy. Przy tym wszystkim Izrael robi z siebie bohatera walczącego za Europę. Według jego propagandy „nikt nic nie robi z islamskim zagrożeniem", tylko Izrael. Izrael walczy za innych, a spotyka go niewdzięczność, bo „Europa jest miękka".

BAT ANTYSEMITYZMU

Faktycznie, Europa jest miękka i przez lata ulegała pod naciskiem Izraela. Ale taka argumentacja już nie działa. Izrael przez ostatnie kilka lat całkowicie roztrwonił posiadany kapitał europejskiego

eprasa.pl b1c25d5852

poparcia. W drugiej połowie XX w. wynikał on w dużej mierze ze współczucia (a w przypadku niektórych narodów, w szczególności Niemiec, poczucia winy) związanego z Holokaustem. Ale było również pewne poczucie wspólnego dziedzictwa kulturowo-historycznego oraz sprzeciw wobec aktów terroryzmu. Jeszcze w 2023 r., po masakrze 7 października dokonanej przez Hamas, Izrael mógł liczyć na niemal powszechne potępienie tej zbrodni przez Europejczyków. Ale to, co się potem stało, definitywnie to przekreśliło. Obrazy zabijanych dzieci palestyńskich, niszczenia obiektów cywilnych, atakowania pracowników humanitarnych (w tym zabicie Damiana Sobóla), mordowania dziennikarzy wywołały oczywisty sprzeciw. Izrael miał jedną odpowiedź: jesteśmy najbardziej moralną armią świata, a kto się z tym nie zgadza, jest antysemitą.

W ciągu ostatnich dwóch lat Palestynę uznało aż 20 państw, w większości europejskich, m.in. Francja, Wielka Brytania, Portugalia, Irlandia i Hiszpania. O ile 7 października 2023 r. Palestynę uznawało dziewięć państw UE, 11 państw NATO, dwóch stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ i nie uznawało żadne z państw G7, o tyle obecnie są to już większość państw UE (16) i NATO (21) oraz trzy państwa G7, a także czterech z pięciu członków Rady Bezpieczeństwa. Agresywna reakcja Izraela na te działania, tj. kolejna fala oskarżeń o antysemityzm i wspieranie dżihadystów, retorsje dyplomatyczne i mszczenie się za to na Palestyńczykach (np. zintensyfikowanie napadów terrorystycznych bojówek osadników żydowskich na Zachodnim Brzegu), znów odniosła odwrotny skutek od zamierzonego. Ale Izrael się nie uczy. Po tym, jak w Sejmie poseł Konrad Berkowicz zademonstrował flagę Izraela ze swastyką, reakcja MSZ tego kraju, w której uzurpował on sobie prawo do decydowania, kto ma prawo do zasiadania w polskim parlamencie, wywołała jednoznaczny sprzeciw niemal wszystkich od lewa do prawa, w tym osób niezgadzających się z taką formą ekspresji krytyki Izraela.

Wbrew temu, co głosi Netanjahu, Izrael nie jest państwem samowystarczalnym. A jego Żelazna Kopuła oraz zdolności wywiadowcze i siła IDF są przereklamowane

Bat antysemityzmu przestał jednak działać i w ostatnich dwóch latach niechęć do Izraela oraz poparcie dla Palestyny w Europie gwałtownie wzrosły. Nawet w Niemczech według badań opinii publicznej z 2025 r. aż 62 proc. ankietowanych uznało, że Izrael popełnia ludobójstwo wobec Palestyńczyków. Groźby rzucane przez Izrael poprzez jego wybitnie nieudolną dyplomację wręcz zachęciły kolejne kraje europejskie do uznawania Palestyny, a po wybuchu wojny z Iranem nawet europejska radykalna prawica zaczęła się od Izraela odcinać. Partie takie jak np. Front Narodowy we Francji prowadziły proizraelską politykę z dwóch powodów: widząc w Izraelu sojusznika przeciw zagrożeniu islamskiemu oraz starając się w ten sposób odciąć od oskarżeń o „brunatną przeszłość". Jeszcze rok temu szefowa AfD Alicja Weidel w rozmowie z Muskiem deklarowała wsparcie dla Izraela, licząc na poparcie Trumpa. Ale po wybuchu wojny z Iranem i kompromitacji USA straciło to znaczenie i kierownictwo tej partii zmieniło front.

Bastiony wsparcia Izraela w Europie padają jeden po drugim. Włoski nurt postfaszystowski był prekursorem zwrotu europejskiej radykalnej prawicy w kierunku polityki proizraelskiej, gdy w 2003 r. Gianfranco Fini złożył wizytę w Izraelu. Dziś ówczesna szefowa młodzieżówki partii Finiego, Giorgia Meloni, jako premier Włoch jest jednym z głównych krytyków wojny z Iranem i doprowadziła do zawieszenia włosko-izraelskiego traktatu obronnego. Izraelska propaganda tradycyjnie zareagowała na to kampanią prymitywnych ataków, w których z Meloni robiono faszystkę, a jej działania łączono z prześladowaniem Żydów przez reżim Mussoliniego. Kolejny bastion padł ostatnio na Węgrzech, gdyż Viktor Orbán, utrzymujący bardzo bliskie relacje z Netanjahu, przegrał wybory. Izraelowi wciąż sprzyjają rządy Czech i Austrii oraz wiele partii radykalnej prawicy, np. francuskie Zjednoczenie Narodowe. Jednakże narracja o tym, że Izrael broni „zachodniej cywilizacji" czy też stanowi jakąś barierę broniącą Europę przed zalewem muzułmanów, coraz mocniej rozbija się o izraelskie akty przemocy wymierzone w chrześcijan, niszczenie obiektów religijnych oraz zrozumienie, że sianie chaosu na Bliskim Wschodzie przez Izrael stymulować będzie migrację, a nie ją powstrzymywać.

Wbrew temu, co głosi Netanjahu, Izrael nie jest państwem samowystarczalnym. Jego Żelazna Kopuła oraz zdolności wywiadowcze i siła IDF są przereklamowane. Gdyby Izrael toczył te wszystkie wojny sam, to dawno by zbankrutował, a pociski przechwytujące by się mu szybko skończyły. Mnożąc sobie wrogów i redukując przyjaciół, Izrael pędzi ku przepaści. W ciągu ostatnich kilku lat zraził do siebie Europę i mocno pracował, by niemal wszyscy w regionie go nienawidzili. Ostatnią nitką, na której wisi jego bezpieczeństwo, są Stany Zjednoczone. Ale choć Izrael okręcił sobie wokół palca Trumpa i jego administrację, a ewangelikańscy fanatycy wierzą, że prawa Izraela do ziem od Eufratu do Nilu wynikają z Księgi Rodzaju, to nastroje w społeczeństwie amerykańskim są zupełnie inne. Negatywny stosunek do Izraela deklaruje już 60 proc. (70 proc. w przedziale wiekowym 18–49 lat), choć w 2022 r. było to 42 proc. W Partii Demokratycznej krytyczny stosunek do Izraela przestał być domeną lewego skrzydła i jest już normą, ale również wśród republikanów mnożą się podobne nastroje.

Przy takich nastrojach wątpliwe jest, aby Kongres, który zostanie wybrany w listopadzie, był równie proizraelski. Jeżeliby natomiast spełniło się marzenie Netanjahu i doszło do eskalacji wojny z Iranem, to proces destrukcji amerykańskiego wsparcia zostanie przyśpieszony. Zwłaszcza jeśli doszłoby do inwazji lądowej, a do USA zaczęłyby wracać tysiące ciał z amerykańskimi żołnierzami. To byłby gwóźdź do trumny wsparcia USA dla Izraela, a w konsekwencji oznaczałoby nieuchronny upadek tego państwa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Jak Kijów sam sobie szkodzi

Maciej Pieczyński

Ukraińskie ataki na terenie Rosji są spektakularne, ale końca wojny nie przyspieszą. Kijów traci na nich więcej niż Moskwa, ponieważ z wizerunkowego punktu widzenia zaciera się granica między agresorem a ofiarą

W teorii kompromitacja Władimira Putina w wojnie z Ukrainą jest oczywista. Rosyjski przywódca, zamiast przyjmować kolejną paradę zwycięstwa w zdobytym w chirurgicznej „wojskowej operacji specjalnej" Kijowie, drżał ze strachu przed potencjalnym nalotem dronów na Plac Czerwony. Ukraińcy na tyłach agresora robią, co chcą. Niebo nad rosyjskimi miastami setki, a nawet tysiące kilometrów od frontu, spowite jest dymem od płonących rafinerii. Poddani Putina, w tym również mieszkańcy samej, do niedawna nietykalnej i żyjącej daleko od wojny Moskwy, zamiast oglądać sukcesy swojej armii w sąsiednim, „faszystowskim" kraju, chowają się w schronach, z przerażeniem wyczekując ukraińskich bombardowań. Nic nie wskazuje na to, by Moskwa wygrywała wojnę z pogardzanymi neobanderowcami.

Jednak powyższa diagnoza jest tylko pozornie trafna. Brzmi racjonalnie i daje się uargumentować. Nie uwzględnia jednak rosyjskiej specyfiki. Płonące Tuapse, Perm czy strach w oczach Moskwian poprawiają samopoczucie walczących Ukraińców, dają jednak złudną nadzieję na pokonanie agresora. W rzeczywistości ataki na rosyjskie miasta nie tylko nie przyspieszają końca wojny, lecz także ów koniec oddalają. Kijów w ten sposób sam sobie szkodzi.

ALBO STRASZY, ALBO SIĘ BOI

W rosyjską mentalność i kulturę wpisana jest skłonność do paradoksów. Miotanie się od jednej skrajności do drugiej. Myślenie Rosji o świecie, a co za tym idzie – jej narracja propagandowa, sprzężona z realnymi działaniami politycznymi, ma dwa, diametralnie różne oblicza, prezentowane przez Kreml w zależności od sytuacji. Moskwa albo wszystkich straszy, albo się wszystkich boi. Albo grozi światu zagładą, albo żali się, że to świat chce ją zniszczyć. Jak to ujął opozycyjny publicysta rosyjski Dmitrij Bykow, Rosja najchętniej odgrywa dwie melodie. Albo: „jesteśmy najsilniejsi, wszystkich pozabijamy", albo: „wszyscy nas obrażają, jesteśmy biedni, skrzywdzeni i poniżeni". Obecnie króluje ta druga narracja. Dziś Rosji bliżej do 22 czerwca niż do 9 maja. I nie jest to myślenie życzeniowe Zachodu czy Ukrainy, ale diagnoza, którą swojemu państwu stawia sam Putin. W przemówieniu z okazji Dnia Zwycięstwa, najważniejszego przecież święta w rosyjskim kalendarzu, mniej więcej tyle samo, co o pokonaniu Adolfa Hitlera, mówił o inwazji III Rzeszy na Związek Sowiecki.

Rosja przestawiła się z trybu „podbijamy nazistowską Ukrainę" na tryb „bronimy się przed agresją Ukrainy i jej zachodnich sojuszników na własnym terenie". Wbrew pozorom taka zmiana retoryki nie oznacza przyznania się do porażki. Wiadomo, że po 22 czerwca musi nastąpić 9 maja. Rosjanie są wytrzymali i cierpliwi, potrafią czekać. Martyrologia jest wpisana w ich kod kulturowy. Literaturoznawca Aleksandr Panczenko przekonująco udowadnia, że Rosjanie najchętniej świętują zwycięstwa okupione morzem krwi, triumfy na granicy porażki. Wynika to z typowego dla ich myślenia pesymizmu, fatalizmu i ofiarności. Dlatego są w stanie zrozumieć poniesione koszty. Zwycięstwo musi boleć. Oczywiście nie oznacza to, że dziś Rosjanie w swej masie czują się męczennikami świętej sprawy rosyjskiej. Oznacza to natomiast, że widząc, jak wojna przenosi się na ich terytorium, nie dostrzegają w tym kompromitacji ani upadku państwa, za które należy rozliczyć Putina. Nawet jeśli szczerze władcy Kremla nienawidzą, to z uwagi na wspomniane fatalizm i pesymizm (a w związku z nimi również bierność) nawet nie pomyślą o buncie.

Opozycyjny pisarz Dmitrij Głuchowski w jednym z wywiadów trzeźwo zauważył, że skoro reżim Putina przetrwał wybuch wojny, ogłoszenie mobilizacji, a nawet zablokowanie Internetu, to nie wiadomo, od czego mógłby się zawalić. Jedynym rozwiązaniem wydaje się zatem zmiana pokoleniowa – przekonuje Głuchowski. Jednak nawet i tutaj trudno szukać nadziei. Młode pokolenia poddawane są coraz dalej idącej indoktrynacji. Według niedawnego badania ośrodka CASE Rosjanie w wieku od 18. do 30. roku życia mają ambiwalentny stosunek do wojny, ale konformistycznie popierają rząd. Badanie pominęło prowincję, gdzie poparcie dla Putina jest większe niż w dużych miastach. Trudno więc się spodziewać rewolucyjnych nastrojów.

KTO JEST BEZPOŚREDNIM WINOWAJCĄ CIERPIEŃ?

Przeniesienie się wojny na teren Rosji oznacza, że Rosjanie nie tylko widzą słabość swojego państwa, lecz także odczuwają na własnej skórze jej skutki. Przeżywają to, co od 24 lutego 2022 r. przeżywają Ukraińcy. I właśnie ten fakt

eprasa.pl b1c25d5852

miałby teoretycznie doprowadzić do przełomu. Kijów liczy na to, że Rosjanie, cierpiąc z powodu wojny, obrócą się przeciwko temu, kto ją wywołał. Zażądają od Putina zakończenia konfliktu. Brzmi logicznie, ale mało prawdopodobnie. Przede wszystkim dlatego, że Rosjanom spadają na głowy ukraińskie, nie zaś rosyjskie bomby. To właśnie Kijów jest bezpośrednim winowajcą ich cierpień. Oczywiście nie byłoby tych nalotów, gdyby Putin nie zadecydował o inwazji na Ukrainę. Tyle że tak daleko wyobraźnia Rosjan nie sięga. Zresztą dość naturalnym odruchem jest obwinianie tego, kto strzelał, a nie tego, kto wywołał lawinę zdarzeń, w wyniku której doszło do wystrzału. Gdy w Przewodowie spadła przypadkiem ukraińska rakieta, tylko najbardziej radykalni ukrainofile przekonywali, że całą winę ponosi Putin.

A w obecnej sytuacji mamy do czynienia ze społeczeństwem, które w większości albo popiera Putina, albo go potępia, ale boi się przeciwko niemu wystąpić, albo w ogóle się polityką nie interesuje. Informacje zaś Rosjanie czerpią głównie z państwowej telewizji. Internet jest ograniczany, władza blokuje VPN-y, za pośrednictwem których Rosjanie mogli wchodzić na zachodnie strony i media społecznościowe. A i wcześniej, gdy dostęp do sieci był większy, typowy rosyjski konformizm sprawiał, że poddani Putina i tak woleli oglądać telewizyjną propagandę, żeby nie psuć sobie nastroju i nie budzić moralnego niepokoju. Telewizyjna propaganda zaś powtarzała, że Rosja padła ofiarą ukraińskiej agresji. Rosjanie nie bardzo mieli skąd dowiedzieć się, że ukraińskie drony bombardują ich miasta z winy Moskwy. Naloty raczej umocniły ich w przekonaniu, że Putin ma rację, mówiąc o zagrożeniu ze strony Kijowa.

Przypomnijmy, że choć oficjalnym celem „specoperacji" były demilitaryzacja i denazyfikacja, czyli faktyczny podbój Ukrainy, to jednak cel ten podyktowany był rzekomą koniecznością obrony przed agresją Ukrainy na prorosyjski Donbas. W tym aspekcie narracja Putina była konsekwentna. Od początku przedstawiał Ukrainę jako potencjalnego agresora. I tak się złożyło, że Rosja zaatakowała, by uprzedzić atak, później zaś sama została zaatakowana. Nie przez samą Ukrainę (to byłby jednak wstyd dla „drugiej armii świata"), ale przez całą potęgę NATO. Mając taki obraz świata, wykreowany przez propagandę, statystyczny mieszkaniec Tuapse, Permu, a nawet Moskwy raczej nie zamierza witać ukraińskich dronów z kwiatami.

Płonący budynek w obwodzie moskiewskim po nalocie ukraińskich dronów, 17 maja 2026 r.
FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS

Nastroje wśród mieszkańców miejscowości ostrzeliwanych przez Kijów dość wiernie prezentuje reportaż portalu Sota z Tuapse. „Kiedy zaczynają się bombardowania, siedzimy na klatkach schodowych. Co to za życie…" – utyskuje jedna ze starszych mieszkanek. I dodaje: „Tak się złożyło, że kiedyś nam zazdrościli, że żyjemy nad morzem, a teraz nikt nam niczego nie zazdrości". Jej młodsza sąsiadka nieśmiało krytykuje bezczynność władz: „Dlaczego nie bronią naszych dzieci?!". Inna starsza kobieta mówi już o Ukraińcach: „To jest straszne, to wstyd, że się tak wobec nas zachowują". „Byłem w szoku! Siedzę w domu, słyszę, jak oni przelatują koło domu, siedzimy wszyscy w korytarzu, do godz. 3 w nocy, i słyszymy, jak oni lecą i trafiają w cele" – relacjonuje z kolei nastoletni chłopak.

Podobne nastroje można dostrzec w wypowiedziach mieszkańców przedmieść Moskwy, zebranych przez Radio Kommersant FM. „Na początku myślałam, że to uderzenie pioruna. Pies nie odchodził ode mnie ani na krok. Podeszłam do otwartego okna, wydawało się, że słyszę burzę. I wtedy zrozumiałam: na zewnątrz świeci słońce, a huki było słychać nadal. Potem zawyły syreny, włączyły się alarmy w samochodach. Wybuchła panika. Byłam zaspana, trudno mi było więc pojąć, co się dzieje. To było straszne. Byłam gotowa wsiąść do samochodu i pojechać do mamy na wieś" – mówiła Irina, mieszkająca niedaleko podmoskiewskiej rafinerii, ostrzelanej w maju przez Ukraińców.

Z mieszkańcami rosyjskiej stolicy i okolic porozmawiali również korespondenci niezależnego portalu Bierieg. Natalię huk wybuchów na ulicy obudził o godz. 3 w nocy. „Kiedy oni się w końcu uspokoją?!" – pyta zniecierpliwiona. „Oni" to Ukraińcy. Natalia jest przekonana, że wojnę wywołał Kijów, a Moskwa nie miała innego wyboru, jak tylko rozpocząć inwazję. Podczas masowego ataku w nocy z 16 na 17 maja władze i media oszczędnie informowały o zagrożeniu, mieszkańcy więc w miarę możliwości dzielili się swoimi emocjami na internetowych czatach. „A może już pora, żeby spać w wannie? W łóżku przy oknie jakoś tak niespokojnie" – pyta jedna z użytkowniczek. „Młodsze dziecko położyłam w korytarzu" – pisze inna. Trzeci dodaje: „A my siedzimy na klatce schodowej". Niezależny portal Meduza przytoczył komentarze mieszkańców podmoskiewskiego Zielonogradu. Narzekają na Putina, że wygraża Ukrainie rakietami, których jednak potem nie używa. Odpowiedź prezydenta Rosji już znamy – właśnie w reakcji

eprasa.pl b1c25d5852

na atak na przedmieścia Moskwy użył Oriesznika do bombardowania Kijowa, więc autor tych zarzutów zapewne jest już usatysfakcjonowany. O Ukraińcach cytowani mieszkańcy mówią z pogardą, nienawiścią i strachem, nazywają ich „chochłami". Mężczyzna w czapce z daszkiem proponuje, by zwrócić się o pomoc do sojuszników: „Dlaczego nie można poprosić Chińczyków, żeby oni też [Ukrainę] rozje.ali?". Zaraz potem pomstuje na „je.ane państwa bałtyckie", które wszystkie razem są wielkości „kurzego jajka". W domyśle: można je łatwo zgnieść. Mieszkańcy Zielonogradu, cytowani przez Meduzę, zastanawiają się nad tym, jak zabezpieczyć się przed kolejnymi nalotami, żalą się też na słabą obronę przeciwlotniczą. Władze zabroniły publikować w Internecie nagrań nalotów. Mieszkańcy ten zakaz interpretują różnie – jedni uważają, że jest słuszny, inni – że „wróg i tak wszystko widzi", więc nie ma sensu zabraniać publikacji. Ukraina nie pojawia się w tych wypowiedziach w innym kontekście, jak tylko w roli wroga. Pada też typowe w takich wypadkach przypuszczenie, że może „Putin o niczym nie wie", bo mu źli urzędnicy nie raportują. Gdyby wiedział, to by przecież pomógł zwykłym ludziom. „Ukraina mówi, że to my przeciągamy wojnę, my mówimy, że to oni przeciągają. A ja tam nie wiem, ale nikomu nie wierzę. Nasze warunki życia stały się nie do zniesienia. Jesteśmy zmęczeni wojną" – pod tym stwierdzeniem „wychudzonej kobiety o siwych włosach" zapewne podpisałaby się większość mieszkańców. Ponadto w Internecie popularność zdobyło też nagranie Moskwianina w średnim wieku, który na tle murów Kremla zwraca się do Ukraińców: „Za co nas bombardujecie?! […] Co wam złego zrobiliśmy? Już wystarczy! Zatrzymajcie się".

Przytoczone wypowiedzi (nie licząc portalu Sota) zebrały media opozycyjne, którym przecież zależy na obaleniu Putina. A jednak widać w nich wyraźnie, że ukraińskie ataki nie odniosły na razie oczekiwanego przez Kijów skutku. Rosjanie są przerażeni bombardowaniami, ale nie widzą na Kremlu winowajcy swoich krzywd. Albo w ogóle się nie zastanawiają nad tym, kto i dlaczego ich ostrzeliwuje, i skupiają się przede wszystkim na tym, żeby przeżyć, albo pomstują na Ukraińców. Ani jeden z bohaterów cytowanych reportaży nie wskazuje na rzeczywistą przyczynę nalotów, którą jest inwazja Rosji na sąsiednie państwo. Jeśli wybrzmiewają pretensje do Putina, to nie o to, że rozpętał wojnę, tylko o to, że za słabo broni swoich obywateli. A i te pretensje są nieśmiałe i bardzo daleko im do nastrojów rewolucyjnych. Rosjanie nie chcą walczyć – ani w wojnie z Ukrainą (stąd masowe protesty przeciwko częściowej mobilizacji, stąd również niechęć Putina do ogłoszenia masowej mobilizacji), ani w wojnie z własną władzą (tym bardziej że w większości nadal ją popierają).

DWA BŁĘDY ZEŁENSKIEGO

W historii Rosji często bywało tak, że agresja z zewnątrz wywoływała oddolną falę patriotyzmu. W obliczu zagrożenia naród się jednoczył. Tak było w 1612 r., kiedy Polaków z Kremla przegoniło pospolite ruszenie pod wodzą kupca Kuźmy Minina i księcia Dmitrija Pożarskiego. Tak było w 1812 r., gdy Napoleon zmagał się nie tylko z taktyką spalonej ziemi, lecz także z ruchem partyzanckim. Wyprawa kijowska Józefa Piłsudskiego w 1920 r. sprawiła, że wielu białych oficerów zakopało topór wojenny z bolszewikami i poszło bronić czerwonej, ale jednak Rosji przed inwazją. Wojnę z III Rzeszą Stalin wygrał też nie samymi oddziałami zaporowymi – Niemcy traktowali Rosjan jeszcze gorzej niż sowieckie władze, więc nawet wówczas ochotników nie zabrakło. Obecnie czasy są nieco inne. Rosjanie nadal czczą kosztowne zwycięstwa, sami jednak swojej krwi przelewać nie chcą – ani na wojnie z agresorem, ani na ewentualnej wojnie domowej. Wciąż jednak kibicują swoim, a nie obcym. Wciąż co do zasady nie potrafią sobie wyobrazić, że ich cierpienia są jedynie echem i naturalnym skutkiem cierpień, które wcześniej zadał ich władca. Nie zastanawiają się nad głębokimi przyczynami, bo – jak przystało na konformistów – chcą żyć bezpiecznie i wygodnie, poza polityką.

Rosjanie są wytrzymali i cierpliwi, potrafią czekać. Martyrologia jest wpisana w ich kod kulturowy

Ukraińskie ataki szkodzą Kijowowi, bo wywołują gniew Rosjan nie na Putina, tylko na tych, którzy tych ataków dokonują. Przede wszystkim jednak Wołodymyr Zełenski, wysyłając drony na Moskwę, popełnił dwa fundamentalne błędy. Po pierwsze, wywołał krwawą zemstę. Dał Putinowi pretekst do zbombardowania Kijowa Oriesznikiem. Zełenski w swoim bunkrze przeżyje każdy taki atak. Ale zwykli Ukraińcy już niekoniecznie. Ataki na terenie Rosji wyglądają spektakularnie, jednak zamiast przybliżać koniec wojny, tylko prowokują Moskwę do jeszcze bardziej spektakularnych reakcji. Drugi błąd Zełenskiego ma charakter moralny. To, że kremlowskie media częściej mówią o nalotach na Rosję niż na Ukrainę, wcale nie dowodzi słabości Rosji (która do cierpienia się przyzwyczaiła), pokazuje natomiast, że ofiara i agresor niepostrzeżenie zamieniają się rolami. Oczywiście wiadomo, że to Putin zaatakował pierwszy. Ale nie tylko tzw. zwykli Rosjanie są krótkowzroczni i mylą skutki z przyczynami. Również światowa opinia publiczna, widząc płonącą Moskwę, może zacząć myśleć o wojnie w kategoriach symetrii win. Konflikt trwa tak długo, że można zapomnieć, kto rzucił pierwszy kamieniem. Rola ofiary propagandowo jest korzystniejsza niż rola agresora. Zełenski o tym zapomina, Putin zaś zdaje się to dobrze rozumieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Stoltenberga tęsknota za Rosją

Robert Bogdański

Na gruncie opisywanej przez norweskiego polityka mentalności to nie Rosja powinna się dostosować do oczekiwań krajów demokratycznych, ale to one mają obowiązek odgadywać, jakie wewnętrzne poruszenia kryją się za jej groźbami i przemocą

FOT. YVES HERMAN/REUTERS/FORUM

Często zdarza się, że w długich książkach politycznych, których autorzy pełnią ważne funkcje i dlatego uważnie sprawdzają, co dokładnie przekazują opinii publicznej, najbardziej wstrząsające opowieści pojawiają się niejako mimochodem, a opowiadający jakby nie zdawali sobie sprawy z ich prawdziwego znaczenia. Przez moment możemy wtedy zobaczyć ich świat jakby w kropli wody, zwłaszcza gdy oni sami uznają, że akurat ta właśnie opowieść ma oddać ich najgłębsze poruszenia. Z przejęciem opowiadają zatem swoją historię, a czytelnik spoglądający na nią z własnej perspektywy dostrzega obraz całkiem odmienny. Jens Stoltenberg dzieli się taką opowieścią pod koniec swojej książki zatytułowanej nieco patetycznie „Na mojej warcie. Przewodzenie NATO w czasie wojny" (polski przekład – Milena Skoczko-Nakielska).

Swoją drogą interesujące, że powściągliwy Skandynaw, starający się opowiadać raczej o realizacji zadań niż o uczuciach, czasami zrzuca tę maskę i opowiada o tym, co go poruszyło. Tak, jakby chciał pokazać najgłębsze uzasadnienie dla swojej postawy. Jakby sama polityczna pragmatyka, którą na co dzień uprawiał, nie była wystarczającym powodem uprawiania polityki, jaki chciałby przekazać publiczności.

We fragmencie, który mam na myśli, Stoltenberg opisuje, z natury nieco melancholijny, proces opróżniania swojego brukselskiego mieszkania po zakończeniu kadencji. I zatrzymuje się nad dwoma przedmiotami przekazanymi mu przez dziadka, oficera armii Królestwa Norwegii, który w 1940 r. bronił kraju przed niemiecką inwazją i został wraz z innymi norweskimi wojskowymi w 1943 r. internowany w stalagu położonym pod Berlinem. Jako Aryjczycy, oficerowie i przedstawiciele zachodniej cywilizacji byli traktowani dobrze, dostawali paczki żywnościowe i mieli prawo do korespondencji. W obozie przebywali także słowiańscy „podludzie", w tym rosyjscy jeńcy, którzy przymierali głodem, a Norwegowie, nie zważając na ich status, dzielili się z nimi chlebem. W podzięce za chleb kpt. Emil Stoltenberg dostał obozowe dzieła sztuki: puszki z wieczkami, na których wyrzeźbione zostały mury Kremla, samoloty, numery obozowe. Także domowe adresy w Rosji, jakby rosyjscy jeńcy mieli nadzieję na kontakt. Opuszczający swoją wartę sekretarz generalny NATO przypomina sobie nostalgicznie, że wiele razy rozmawiał z dziadkiem, że odwiedzą tych ludzi, ale dodaje natychmiast: „Teraz podróż do Rosji stała się nie do pomyślenia. Ale jestem pewny, że któregoś dnia to się zmieni".

W tym momencie uważny czytelnik przeciera oczy ze zdumienia: Jak można udawać, że nie zna się losu tych Rosjan? Przecież szansa na to, że przeżyli sowieckie „wyzwolenie", była praktycznie zerowa! Najprawdopodobniej zostali rozstrzelani natychmiast, a jeżeli jakimś cudem tego nie uczyniono, to na długie lata znaleźli się w łagrze, w którym nie było już sympatycznych Norwegów ofiarujących kromkę chleba. Tak więc ewentualna wycieczka Emila Stoltenberga i jego wnuka śladami rosyjskich towarzyszy niedoli niemal na pewno zakończyłaby się rozmową z następnymi lokatorami mieszkań, którzy nie mieliby zapewne ochoty rozmawiać o poprzednikach. W dodatku ostatnim momentem na takie odwiedziny byłby rok 1998, bo w tym roku kpt. Stoltenberg zmarł. I odwiedziny te byłyby jak najbardziej możliwe, bo za prezydentury Borysa Jelcyna taka wizyta norweskiego polityka w towarzystwie jego ojca weterana byłaby powitana z entuzjazmem. A zatem rozmyślania wnuka nad pamiątkami z drugiej wojny światowej, w czasie gdy trwała wojna putinowskiej Rosji z Ukrainą, były jedynie czułostkowym zabiegiem erystycznym zdradzającym nieprawdopodobny poziom hipokryzji ufryzowanej na empatię.

ŚWIAT ZACHODNIEJ SOCJALDEMOKRACJI

Z jakiej przyczyny zaserwował nam tę opowieść? Dlaczego jedno z ostatnich zdań książki mówi o „szkatułkach dziadka", które owinięte w bibułkę zostały bezpiecznie umieszczone w pudłach do

eprasa.pl b1c25d5852

przeprowadzki? Narzucające się jako pierwsze wyjaśnienie jest takie, że mógł nie wiedzieć, co Sowieci robili ze swoimi żołnierzami, którzy zostali wzięci do niewoli. W czasach powszechnej ignorancji, w których choćby większość młodych Niemców sądzi, że ich dziadkowie byli ofiarami systemu nazistowskiego, a nie sprawcami zbrodni, wszystko jest możliwe. Choć Stoltenberg należy do politycznej elity zarówno swojego kraju, jak i Europy, więc takie wyjaśnienie byłoby albo obraźliwe, albo mało wiarygodne. W każdym razie trudno w nie uwierzyć.

Bardziej przemawia do mnie drugie możliwe wyjaśnienie – że po prostu chciał pokazać się jako człowiek dobrej woli i pełny współczucia dla dawnych wrogów i nie sądził, że ktoś zajmie się szczegółami. Staje się to tym bardziej prawdopodobne, gdy prześledzi się konsekwentnie przewijający się przez książkę wątek rosyjski. Stoltenberg urodził się i wychował politycznie w świecie zachodniej socjaldemokracji i Rosja była dla jego środowiska ważnym punktem odniesienia. Rosjanie – choć stanowili oczywiste zagrożenie – byli nieustannymi towarzyszami wydarzeń politycznych i dyskusji, a główny wysiłek skierowany był na to, aby ich „zrozumieć". Bo – jak to zapisał były sekretarz generalny NATO – „świat oglądany oczami Moskwy wygląda inaczej". Ta „inność" wymaga ze strony Zachodu nieustannych zabiegów, aby ją rozszyfrowywać. Można wręcz odnieść wrażenie, że na gruncie opisywanej przez Stoltenberga mentalności politycznej – tej, w której się wychował – to nie Rosja powinna się dostosować do oczekiwań krajów demokratycznych, ale to one mają obowiązek odgadywać, jakie wewnętrzne poruszenia kryją się za jej groźbami i przemocą. To trochę tak, jakby Sławomir Mrożek dopisał kolejny akt do swojego „Tanga", w którym bohaterowie zajmowaliby się próbami wyjaśnienia najgłębszych przyczyn agresywnych zachowań Edka.

Czasami ta postawa przybiera formy przejmująco dramatyczne, a czasem nieco groteskowe. Stoltenberg przez pierwsze lata swojego sekretarzowania w NATO cały czas dążył do tego, aby wznowić dialog z Rosją, choć zajęcie Krymu, łamanie postanowień traktatów rozbrojeniowych i budowa Nord Stream 2 wyraźnie wskazywały na kierunek działań Władimira Putina. Mimo to niedługo po objęciu funkcji przyjął rosyjskiego ambasadora, któremu usiłował wyjaśnić niewłaściwość postępowania Rosji, ale prędko okazało się, że to Rosjanin chciał mu wyjaśnić niewłaściwość postępowania sojuszu i wreszcie wyraził „rozczarowanie". To rozczarowanie jest tym głębsze, że obaj panowie znali się z czasów dzieciństwa. Ambasador nazywa się Aleksandr Gruszko i wychował się w tej samej dzielnicy Oslo, co jego gospodarz, a ojciec Rosjanina, Wiktor Gruszko, był prawie 20 lat członkiem ekipy KGB w sowieckiej ambasadzie w stolicy Norwegii i wielokrotnie spotykał się z ojcem Stoltenberga, który w tym czasie był działaczem politycznym i za niewiele lat miał objąć stanowisko ministra obrony.

KOŃCZY SIĘ GROTESKA, A ZACZYNA DRAMAT

Groteska osiąga punkt kulminacyjny, gdy ambasador Gruszko wręcza na koniec spotkania prezent – książkę swojego ojca zatytułowaną „Moje życie w KGB" z dedykacją: „Od syna mojego ojca dla syna Pańskiego ojca". Stoltenberg starszy wiedział oczywiście, że Gruszko starszy – jak to określono w książce – „należał do KGB", ale zupełnie mu to nie przeszkadzało, bo uważał, że kagebiści byli „najlepiej poinformowanymi pracownikami ambasady". Z jakich przyczyn uważał, że tej swojej wiedzy zechcą mu udzielać i czemu uważał informacje pochodzące od nich za prawdziwe, pozostanie jego tajemnicą. Jego syn nie zadał w każdym razie takiego pytania. Przeciwnie, zdawał się traktować postawę swojego ojca jako nacechowaną głęboką mądrością. Tu kończy się groteska, a zaczyna dramat: opis ostatniego spotkania z ojcem, do którego dochodzi dzień po zakończeniu ważnego szczytu NATO w Brukseli w lipcu 2018 r. Oto Thorvald Stoltenberg, spoczywając na łożu śmierci, za najważniejsze uznaje, aby przekonywać swojego syna do kontynuowania rozmów z Rosjanami, mówiąc, że „my na Zachodzie nie rozumiemy, jak Rosja mogła czuć się upokorzona przez Stany Zjednoczone i Zachód". Jedno z jego ostatnich zdań wypowiedzianych w ostatniej rozmowie z synem brzmiało: „Musisz rozmawiać z Rosjanami".

Stoltenberg spotyka Aleksandra Gruszkę jeszcze raz, miesiąc przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę, gdy udaje mu się doprowadzić do posiedzenia Rady NATO – Rosja, a Gruszko, który tymczasem awansował na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych, ma za zadanie obronę stanowiska zaprezentowanego przez Putina w ultimatum wobec NATO z jesieni 2021 r. Stanowisko to sprowadza się do twierdzenia, że odrzucenie ultimatum udowodni, iż NATO jest sojuszem agresywnym i zagraża Rosji. Syn funkcjonariusza KGB, który pół wieku wcześniej toczył owocne rozmowy z ojcem siedzącego naprzeciwko norweskiego polityka kierującego sojuszem północnoatlantyckim, mówi w gruncie rzeczy to samo, co na łożu śmierci przekazał Stoltenbergowi jego ojciec. Od upokorzenia do zagrożenia jest blisko. O ile jednak wtedy – wolno sądzić – rosyjski przekaz o konieczności zrozumienia Rosji znajdował chętne ucho, o tyle teraz nastrój jest inny. Jeżeli coś pozostaje, to chęć prowadzenia rozmów tak długo, jak to jest możliwe, i próbowanie uchwycenia się jakiegoś najmniejszego choćby skrawka materii, na którym można by zbudować kompromis.

Stoltenberg widzi zatem możliwość dialogu w jednym punkcie: tym o wycofaniu „broni ofensywnej" z pobliża granic Rosji. Proponuje powołanie grup roboczych i układa harmonogram spotkań. Przez chwilę czuje się zapewne jak ryba w wodzie, mając nadzieję, że rozmowa zastąpi nadchodzącą wojnę. Rosjanie oczywiście widzą inne wyjście: całkowite przyjęcie ich warunków, więc nie podejmują zaproszenia. Norweg pisze o tym z nutą rozczarowania. To zastanawiające. Z jednej strony bowiem deklaruje, że „świat oglądany oczyma Moskwy wygląda inaczej", ale podświadomie woli wierzyć, iż jednak jest w nim takie samo pragnienie pokoju. Wydaje się niezdolny przyjąć do wiadomości, że wyzwolonych z niewoli swoich jeńców wojennych można po prostu rozstrzelać. I że tradycja takiego postępowania może kształtować myślenie następnych pokoleń.

JENS STOLTENBERG „NA MOJEJ WARCIE" WYDAWNICTWO PORT 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

Walka o

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Rentowność amerykańskich 30-letnich papierów skarbowych wzrosła do poziomu najwyższego od 19 lat. Na niewidzianych od co najmniej kilkunastu lat poziomach znalazły się też długoterminowe papiery dłużne Niemiec czy Japonii. To odpowiedź rynków na rosnące ryzyko inflacji oraz rosnącą konkurencję o międzynarodowy kapitał. Skutki dla statystycznego Smitha, Müllera czy Kowalskiego? Droższy kredyt hipoteczny, większe obciążenia podatkowe i mniejsze szanse na podwyżkę w pracy

Wzrosty rentowności obligacji skarbowych to najważniejszy trend, który w maju można było obserwować w różnych rejonach świata. „W ostatnich dniach na rynkach dominuje strach. Strach przed perspektywą wzrostu inflacji i stóp procentowych oraz strach przed kryzysem fiskalnym. Nie omija to naszego kraju" – zauważyli analitycy banku Pekao w wydanym 20 maja raporcie „Premia za ryzyko podnosi koszt kapitału w Polsce".

O co chodzi? Inwestorzy w USA oraz Europie obawiają się, że przedłużające się napięcia geopolityczne, które od końca lutego wywindowały ceny ropy naftowej i gazu, wywrą długotrwały wpływ na zwiększenie inflacji. Droższe surowce energetyczne wpływają bowiem także na ceny innych towarów i usług.

Obserwując zaś to, co w maju działo się na globalnym rynku długu, można dojść do wniosku, że większość inwestorów porzuciła już marzenia o obniżkach stóp procentowych w roku 2026. Wniosek ten dotyczy zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Europy, w tym Polski. Trend ten w maju wyraźnie było widać na globalnych rynkach. W Stanach Zjednoczonych wyprzedaż rządowych papierów dłużnych doprowadziła do wzrostu rentowności długoterminowych obligacji amerykańskich powyżej 5 proc., czyli do najwyższego poziomu od roku 2007. Rentowności obligacji długoterminowych w Niemczech, Japonii oraz na innych głównych rynkach świata wahają się obecnie w przedziale od 3,5 proc. do 6 proc. Przy czym rentowność długoterminowych obligacji Niemiec wzrosła do poziomu najwyższego od 15 lat, a rentowność 10-letnich japońskich obligacji rządowych osiągnęła poziomy nienotowane od września 1996 r.

KONIEC MARZEŃ O TANIM PIENIĄDZU

Na początku maja globalnych inwestorów zaskoczyli przedstawiciele Norweskiego Banku Centralnego. Norges Bank niespodziewanie podniósł główną stopę procentową o 0,25 punktu procentowego do poziomu 4,25 proc. Była to pierwsza podwyżka kosztów kapitału w tym kraju od grudnia 2023 r., a także pierwsza podwyżka stóp procentowych w Europie, gdzie przez ostatnie miesiące królowały obniżki stóp. „Podwyżki cen są zbyt wysokie i już od dłuższego czasu utrzymują się powyżej zakładanego poziomu" – tłumaczyła decyzję prezes Banku Centralnego Norwegii Ida Wolden Bache.

Podwyżka stóp w Norwegii jest tym bardziej istotna, że w strefie euro główna stopa procentowa w maju wciąż wynosiła zaledwie 2,15 proc. Europejski Bank Centralny zasygnalizował już, że jeśli rekordowe ceny ropy wkrótce nie spadną, to już na czerwcowym posiedzeniu ogłosi podwyżkę stóp procentowych. Rynek wycenia już dwie podwyżki stóp w najbliższych miesiącach, a prawdopodobieństwo trzeciej podwyżki w 2027 r. inwestorzy szacują na razie na ok. 50 proc. Również amerykańskiej Rezerwie Federalnej trudno byłoby w obecnej sytuacji podjąć decyzję o obniżce stóp (na której bardzo zależy Donaldowi Trumpowi).

eprasa.pl b1c25d5852

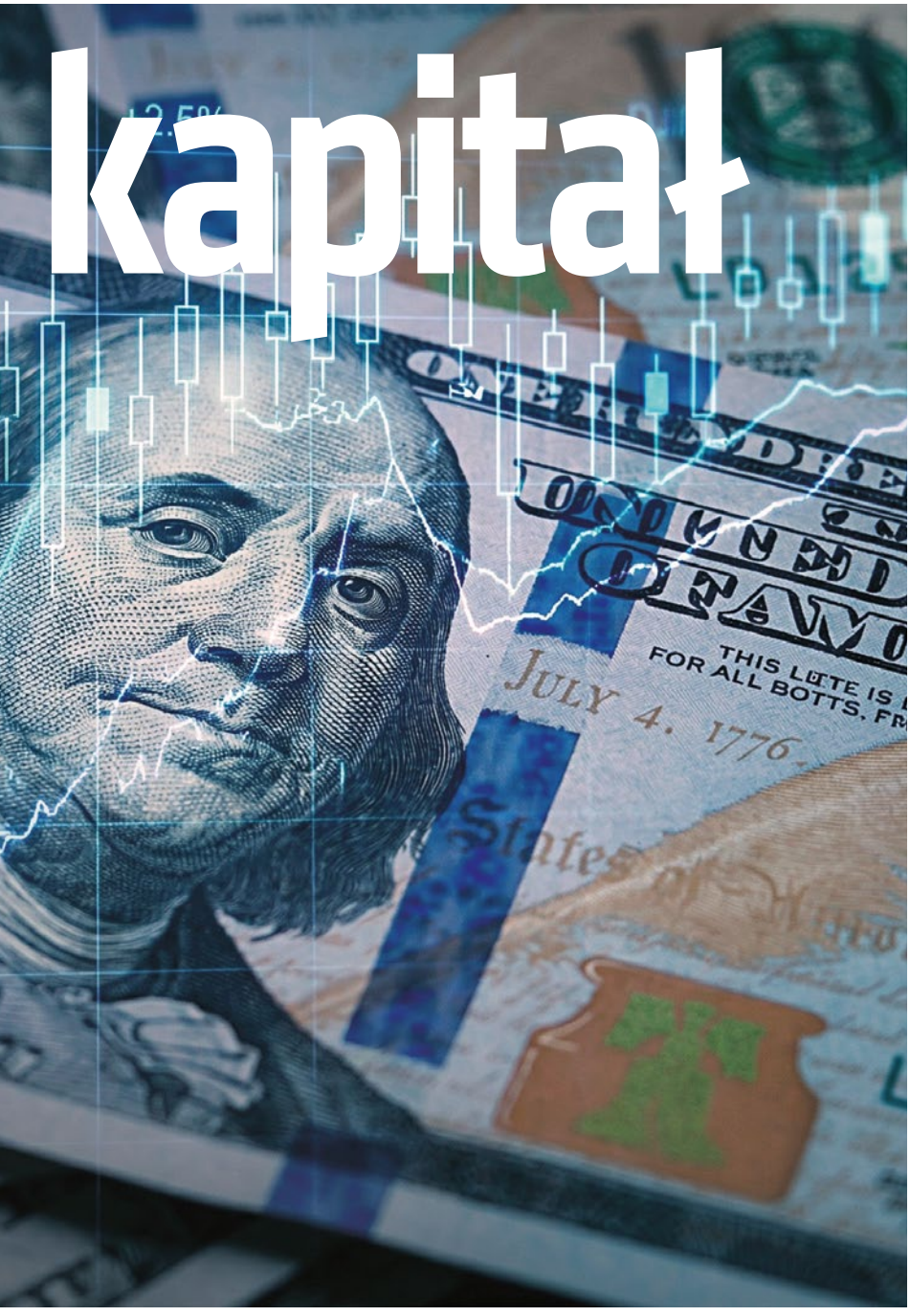

Rosnące ceny dostrzega także bank centralny w Warszawie. Prezes Narodowego Banku Polskiego w maju ocenił publicznie, że prawdopodobieństwo podwyżki stóp procentowych w Polsce wzrosło. Profesor Adam Glapiński na konferencji prasowej zasygnalizował, że jeśli inflacja przekroczy górne pasmo odchyleń od celu i prognozy pokażą, że taki stan będzie się utrzymywał, to dla Rady Polityki Pieniężnej będzie to bezpośredni powód do działania.

– W tej chwili jesteśmy blisko górnego pułapu odchyleń. Oczywiście przekroczenie górnego pułapu z prognozą, że to się będzie utrzymywać, to jest bezpośredni powód, żeby w tym kierunku iść. A nawet jeśli by nadal było poniżej górnego pułapu, ale nasze projekcje wewnętrzne, bankowe by wskazywały, że nieunikniony jest wzrost cen powyżej tego poziomu odchyleń, to natychmiast będą stosowne decyzje – zapowiedział prezes Glapiński, określając przy okazji ewentualną obniżkę stóp w nadchodzących miesiącach jako mało prawdopodobną.

Obecnie w Polsce główna stopa procentowa wynosi 3,75 proc. Rosnące rentowności polskich obligacji wskazują jednak na to, że inwestorzy już w maju zaczęli wyceniać rychłe zacieśnienie polityki pieniężnej przez RPP.

DROŻSZE KREDYTY, WYŻSZE PODATKI I BEZROBOCIE

To, co dzieje się obecnie na globalnych rynkach, szybko dotknie nawet tych, którzy zupełnie nie interesują się obligacjami czy akcjami. Małe prawdopodobieństwo obniżek stóp procentowych w Polsce oznacza, że na razie statystyczny Jan Kowalski może zapomnieć o zmniejszeniu wysokości raty płaconej np. za kredyt hipoteczny. Jeśli zaś koszt pieniądza wzrośnie, to szybko wzrośnie również wysokość comiesięcznych zobowiązań wobec banku.

Fakt, że rządy muszą coraz więcej płacić za możliwość finansowania rosnących deficytów, również dotknie niebawem Smitha, Müllera czy Kowalskiego. Rosnące koszty obsługi krajowego długu oznaczać będą zapewne niższe wydatki na infrastrukturę, kulturę czy ochronę zdrowia. A także wyższe podatki. W obawie przed przegranymi wyborami rządy raczej nie będą chciały wprowadzać nowych danin w jawny sposób. Rządzący będą to zatem robić w sposób bardziej ukryty, np. poprzez wprowadzanie podatków sektorowych (które i tak najczęściej firmy w ostatecznym rozrachunku przerzucają na konsumenta).

Szczególnie uważnie warto w tym kontekście przyglądać się rozwojowi sytuacji w Polsce, która weszła w trudny okres 2026 r. z większym deficytem finansów publicznych niż w czasie kryzysu związanego z pandemią COVID-19 (i to mimo rosnącego tempa rozwoju gospodarczego). Już w ubiegłym roku dług polskiego sektora rządowego i samorządowego wyniósł 59,7 proc. PKB, deficyt w finansach publicznych sięgnął aż 7,3 proc. PKB (w ujęciu nominalnym wyniósł on ponad 275 mld zł). W tym

eprasa.pl b1c25d5852

roku deficyt ma zgodnie z rządowym planem spaść do 6,8 proc., ale i tak wiele wskazuje na to, że będzie najwyższy w całej Unii Europejskiej. Wartości te pilnie śledzą analitycy agencji ratingowych, którzy z niepokojem obserwują szybki wzrost wydatków w Polsce. I ostrzegają, że brak wprowadzenia dyscypliny fiskalnej może skończyć się w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy „karą" w postaci obniżki ratingu dla polskiego długu. Na razie Fitch Ratings i Moody's utrzymały co prawda rating Polski, ale z negatywną perspektywą, co oznacza podwyższone ryzyko jego obniżki. – Kluczowym ryzykiem dla krajowych ratingów w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, również dla Polski, jest pozycja fiskalna, w tym brak perspektyw na konsolidację fiskalną w średnim terminie – ocenił z kolei na ubiegłotygodniowej konferencji prasowej Karen Vartapetov, główny analityk agencji S&P Global Ratings na Polskę.

Niestety, w czarnym scenariuszu nie można wykluczyć kryzysu fiskalnego z czasów globalnego krachu 2008/2009. To zaś oznaczałoby, że rządy miałyby jeszcze większe problemy z pozyskiwaniem kapitału. A inwestorzy ten kapitał posiadający mogliby żądać od rządów w Europie Środkowej i Wschodniej jeszcze wyższej premii za ryzyko (a już teraz koszty obsługi długu w Polsce i innych krajach naszego regionu są horrendalnie wysokie w porównaniu z innymi częściami globu i wynoszą od 5 do 10 proc. dochodów budżetowych).

BEZ WYŻSZEJ KWOTY WOLNEJ

Mimo to Kowalskiemu powinno udać się w ciągu kilkunastu miesięcy uniknąć wprowadzenia przez rząd kolejnych obciążeń podatkowych. Po pierwsze dlatego, że politycy coraz mocniej myślą już o kampanii przed wyborami do parlamentu w 2027 r. A po drugie dlatego, że prezydent Karol Nawrocki pokazał już wyraźnie, że zamierza pozostać wierny obietnicy, iż nie zgodzi się na żadne podwyżki podatków (zawetował np. podwyżki akcyzy na alkohol). To zaś z jednej strony powinno chronić przed podwyżkami, a z drugiej daje bardzo wygodny argument rządowi, że to właśnie przez upór prezydenta konsolidacja finansów publicznych stała się niemożliwa…

Nie ma już raczej żadnej nadziei na waloryzację progu dochodowego

Niestety, jednocześnie można pożegnać się już z jakimikolwiek nadziejami na realizację przedwyborczej obietnicy obecnej koalicji rządzącej dotyczącej podwyższenia kwoty wolnej od podatku z 30 tys. do 60 tys. zł. Taki krok oznaczałby bowiem znaczący spadek wpływów do budżetu, a co za tym idzie – zwiększenie deficytu do ok. 8 proc. PKB lub konieczność ograniczenia wydatków o mniej więcej 60 mld zł rocznie.

Nie ma też raczej żadnej nadziei na waloryzację progu dochodowego. Według najnowszych danych Ministerstwa Finansów za 2025 r. już co 10. podatnik rozliczający się według skali płacił 32-procentowy PIT. Innymi słowy: próg dochodowy przeznaczony z założenia dla wąskiego grona najlepiej zarabiających Polaków przekroczyło już ponad 2,4 mln osób. I to właśnie z tego powodu coraz więcej specjalistów decyduje się na przejście z klasycznej umowy o pracę na samozatrudnienie (JDG). Jasno też widać, dlaczego Państwowa Inspekcja Pracy (PIP) aktywnie zamierza kontrolować przedsiębiorców korzystających z samozatrudnienia. Zasady kontroli umów-zleceń i kontraktów B2B zmienić się mają już 8 lipca 2026 r. PIP dostanie nowe narzędzia do kontroli. Wystarczy również jedno polecenie inspektora pracy, aby uruchomić procedurę zmiany umowy-zlecenia lub kontraktu B2B w etat. Jeśli zaś przedsiębiorca polecenia nie wykona, to sprawa może trafić do okręgowego inspektora pracy lub do sądu pracy.

Konsekwencje rosnących rentowności obligacji Kowalski odczuć może na własnej skórze, nawet jeśli nie pracuje na kontrakcie B2B. Gdy rządy płacą inwestorom coraz więcej, to prywatne firmy muszą zaoferować jeszcze lepsze warunki przy emisjach obligacji korporacyjnych. Rosną też koszty leasingu i stawki oprocentowania kredytu obrotowego, a w konsekwencji koszty przedsiębiorstw. To zaś może prowadzić do zmniejszenia liczby nowych miejsc pracy, zmniejszenia firmowego budżetu na podwyżki płac (które mogłyby zrekompensować rosnącą inflację) lub do decyzji o redukcji zatrudnienia.

Strach przed takim scenariuszem już pojawia się wśród pracowników. Z raportu „Barometr rynku pracy 2026" przygotowanego przez Gi Group Holding na podstawie badań przeprowadzonych przez Agencję Badań Rynku i Opinii SW Research wynika, że co trzeci Polak (dokładnie 33,3 proc. badanych) obawia się utraty zatrudnienia. Z 55 proc. do 50,7 proc. spadł też odsetek tych, którzy są spokojni o swoją pracę. Ostrożniejsi stali się też pracodawcy. Jeszcze rok temu zwiększenie liczby etatów w najbliższym kwartale zapowiadało 16,7 proc. badanych, a w najnowszej edycji raportu odsetek ten spadł do 13,7 proc. Dwukrotnie wzrósł za to odsetek tych przedsiębiorców, którzy przewidują zmniejszenie zatrudnienia (z 4,9 proc. do 9,8 proc.).

KOREKTA NA GIEŁDACH?

Zaskakujące jest to, że mimo rosnących rentowności obligacji na globalnych rynkach akcji wciąż panowały w maju euforyczne nastroje. Kto tu ma rację? Tego niestety nigdy nie wiadomo. Wiadomo jednak, że w przeszłości gwałtowne ruchy na rynkach obligacji zbiegały się ze spadkami cen na rynkach akcji. Można też było zaobserwować zasadę, że im większe wzrosty rentowności obligacji, tym zazwyczaj potem większe spadki na rynkach akcji. Również tym razem widoczny brak wiary inwestorów w fiskalną odpowiedzialność rządów w USA czy w krajach europejskich może być sygnałem ostrzegawczym przed głęboką korektą na rynkach akcji. Według Bank of America może do niej dojść już w czerwcu.

To tym bardziej możliwe, że pod koniec maja Goldman Sachs Research ogłosił, że wskaźnik apetytu na ryzyko (RAI) osiągnął najwyższy poziom od 2021 r. Wysoko wzrósł również czynnik momentum (tzw. Z-score). Takie połączenie wygenerowało zaś bardzo rzadki sygnał giełdowy, który odnotowano dopiero dziewiąty raz od roku 1950. W ośmiu wcześniejszych przypadkach sygnał też zapowiadał ograniczone wzrosty na giełdach i mocno podwyższoną zmienność. Czy to oznacza, że w czerwcu do akcji wkroczą niedźwiedzie czy może nadal na parkietach królować będą byki? Przekonamy się w najbliższych tygodniach.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska ofiarą przekory

Uwielbiam publicystyczną przekorę i sam czasami po nią sięgam. Wszelako jedynie pod warunkiem, że nie przekracza granicy, którą wyznacza zdrowy rozsądek.

A z tym u niektórych bywa różnie, co niedawno dało o sobie znać przy okazji publicznej debaty o potrzebie – czy wręcz konieczności – pilnego sprawienia Polsce nowej konstytucji; debaty wywołanej przez prezydenta Karola Nawrockiego, który powołał do życia swoją Radę Nowej Konstytucji.

Być może właśnie z tego powodu, że już sama nazwa nowej rady nie pozostawia cienia wątpliwości, w czym ma wspierać głowę państwa – nie w debatowaniu nad jakością obecnej konstytucji czy jej udoskonaleniu, lecz w stworzeniu nowej ustawy zasadniczej – od razu pojawiły się pełne przekory głosy, że może jednak nie ma sensu tworzyć i przyjmować nowej konstytucji, bo przecież obecnie obowiązująca jest całkiem dobra, a tylko rządzący Polską politycy „do niej nie dorośli".

No i właśnie to jest jeden z tych przykładów publicystycznej przekory, który mnie irytuje, bo przecież dysfunkcjonalność polskiej konstytucji z 1997 r. jest „oczywistą oczywistością". A jej kardynalna wada – powodowana zapisanym w tej konstytucji, atomowym wetem prezydenta, mogącym unicestwić każdą reformę zamierzoną przez rząd, który nie dysponuje w Sejmie większością trzech piątych głosów, pozwalającą to weto odrzucić – znacząco uniemożliwia skuteczne rządzenie Polską, prowadząc ponadto do już dziś widocznej gołym okiem dwuwładzy w sądownictwie i w prokuraturze, a wkrótce zapewne także w wojsku i w policji.

Oczywiście – idąc za radą owych przekornych publicystów – można się uzbroić w anielską cierpliwość i do upadłego czekać, aż nasi politycy „dorosną" do tej konstytucji, która dziś obowiązuje; wszelako wydaje mi się to pomysłem na wskroś szalonym, którego – właśnie z powodu niemożności skutecznego rządzenia Polską przez wybrane do tego władze – Polska może po prostu nie doczekać, bo się rozpadnie albo upadnie.

Aby tego nie musieć doczekać, warto szukać partii, które podjęłyby się wspólnego – bo inaczej niż wspólnie się nie da – zadania zamiany obecnej, złej konstytucji – z jej niewystępującym chyba w żadnym innym państwie ustrojem prezydencko-kanclerskim – na nową, dobrą.

Przy czym – jak sądzę – dużo łatwiej dałoby się znaleźć w parlamencie potrzebną większość nie dla projektu forsującego rządy prezydenckie, czego chciałby prezydent Nawrocki, lecz dla projektu forsującego rządy kanclerskie, czyli parlamentarno-gabinetowe z silną władzą premiera – rzecz jasna, kosztem części uprawnień prezydenta, w tym owego prawa silnego weta. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Hipokryci z PiS i KO

W ramach Ogólnopolskiej Konferencji Kultury przygotowany został projekt Ustawy o statusie artysty zawodowego, który pozwala precyzyjnie wyodrębnić tę grupę zawodową i zapewnić jej elementarne bezpieczeństwo socjalne poprzez finansowany ze środków pozabudżetowych (głównie z opłaty reprograficznej) fundusz wsparcia składek na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne dla najniżej zarabiających, pozostających obecnie poza systemem ubezpieczeń i ochrony zdrowia".

W detalach propozycje się różnią, ale to didaskalia

To nie fragment uzasadnienia nowego projektu ustawy, firmowanej przez minister Martę Cienkowską, który wzbudził jak najsłuszniejsze powszechne oburzenie. To fragment programu Prawa i Sprawiedliwości z 2019 r. Trzeba przyznać, że PiS okazał się słowny. W drugiej kadencji prof. Gliński pracowicie przepychał projekt, robiący z artystów uprzywilejowaną kastę. Ba, stał się on nawet w pewnym momencie elementem Polskiego Ładu. Ostatecznie rzutem na taśmę udało się gotową ustawę przesłać do Sejmu w listopadzie 2023 r., a więc w czasie trwania krótkotrwałego powyborczego rządu Mateusza Morawieckiego. Na początku kolejnego roku wycofał ją z parlamentu już nowy rząd.

Trudno o bardziej jaskrawy przejaw hipokryzji polityków PiS niż oburzanie się na propozycję dopłacania artystom do socjalu, zaprezentowaną przez obecną minister kultury. Wszak pani Cienkowska buduje na tym, co wcześniej stworzył właśnie PiS. Owszem, w detalach propozycje się różnią – np. w inny sposób miałby zostać stwierdzany status „artysty zawodowego", nieco inaczej też kształtują się poziomy dopłat. Ale to didaskalia.

Co do zasady oba projekty bazowały na tym samym: uznaniu artystów za uprzywilejowaną grupę, której należy dorzucić z publicznych (lub naszych, „pozabudżetowych") pieniędzy, bo bidulki same były za głupie, żeby przewidzieć, że ze swoich nielichych dochodów dobrze byłoby się zabezpieczyć na przyszłość.

Politykom PiS przy tej okazji zacytuję zatem Valery'ego Giscarda d'Estaing: straciliście okazję, aby milczeć. Pani Cienkowskiej zaś przypomnę, że to jej obecny szef Donald Tusk w 2011 r. odebrał przedstawicielom wolnych zawodów prawo do nieograniczonego odliczania 50 proc. kosztów uzyskania przychodu, co było znacznie lepszym rozwiązaniem niż dopieszczanie „artystów" z naszych podatków. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

FOT. PIOTR HUKALO/EAST NEWS

Handel na bruku

Radosław Wojtas

Objęcie drobnych kupców bazarowych rygorystycznym systemem inwigilacji SENT to kolejny triumf urzędniczej gorliwości nad zdrowym rozsądkiem. Chociaż po fali wielotysięcznych protestów Ministerstwo Finansów wykonało pozbawiony wdzięku krok w tył, to mikroprzedsiębiorcy wciąż muszą udowadniać aparatowi skarbowemu, że nie są zorganizowaną grupą przestępczą

Kiedy rząd podnosi im podatki – zaciskają zęby i robią swoje. Kiedy znów rosną składki na ZUS – tną koszty lub szukają możliwości dodatkowego zarobku. Kiedy wyrasta im konkurencja w postaci sklepów wielkopowierzchniowych albo chińskiej taniochy – próbują przetrwać. A kiedy nakłada się na nich, tak jak na wszystkich przedsiębiorców, kolejne biurokratyczne obowiązki – wykonują je. Ale kiedy państwo zaczęło traktować ich jak przestępców, którzy muszą udowadniać swoją niewinność, i narzuca obowiązki mogące skutkować zmuszeniem do porzucenia biznesu – zdecydowanie się temu sprzeciwili.

Drobni przedsiębiorcy zajmujący się handlem na bazarach protestują przeciwko objęciu ich przez Ministerstwo Finansów regulacjami SENT. Przepisy, które w założeniu mają służyć do walki z potężnymi mafiami paliwowymi, tytoniowymi czy organizatorami nielegalnych składowisk odpadów, uderzyły w mikroprzedsiębiorców handlujących tekstyliami.

GPS W MAJTKACH

System Elektronicznego Nadzoru Transportu (SENT) to w założeniu sieć na grube ryby. Został stworzony w 2017 r. Służy do monitorowania przez Krajową Administrację Skarbową przewozu „towarów wrażliwych" – m.in. paliw, alkoholu, suszu tytoniowego. Przedsiębiorcy muszą zgłaszać ilość i wagę transportowanego towaru, wysyłać sygnał GPS o lokalizacji transportu i liczyć się z możliwością kontroli w każdej chwili. Wszystko w imię walki z wyłudzeniami VAT i akcyzy oraz ograniczania szarej strefy.

W marcu na listę „towarów wrażliwych" wpisano także odzież i dodatki odzieżowe oraz obuwie. Co więcej, wpisano je tak, że skomplikowanymi formalnościami objęci zostali najdrobniejsi przedsiębiorcy. Przewóz odzieży i obuwia należało zgłosić do systemu SENT, jeśli przesyłka waży brutto ponad 10 kg lub zawiera więcej niż 10 par butów. A wtedy przewóz ponad 10 kg np. majtek czy skarpetek był już traktowany przez państwo polskie z pełną powagą. Przedsiębiorca każdy taki przewóz musiał zgłaszać do rejestru na specjalnej platformie PUESC. Towar musiał być ważony i skatalogowany. Przewoźnik z kolei musiał udostępniać na bieżąco swój sygnał GPS, a w razie wezwania – zgłosić się do kontroli transportu.

Dla drobnego kupca wymogi systemu SENT okazały się niemożliwe do spełnienia bez radykalnego wzrostu kosztów operacyjnych. Przedsiębiorcy targowiskowi, którzy często zaopatrują się w towar osobiście u producentów i przewożą go własnymi, wysłużonymi samochodami dostawczymi, odebrali te regulacje jako dowód skrajnego oderwania administracji państwowej od realiów gospodarki. Sytuację tę doskonale obrazują postulaty kupców, którzy podkreślają absurdalność sytuacji: państwo, posiadając pełne dane z rejestru CEIDG traktuje obywateli jak członków zorganizowanych grup przestępczych.

– SENT był wycelowany w import towarów do kraju, przy pierwszej strefie

eprasa.pl b1c25d5852

kontaktu z innym państwem. To rozumieliśmy. A teraz okazuje się, że uderzyli w nas. Chyba po to, żeby nas zniszczyć – mówiła kobieta zajmująca się drobnym handlem, cytowana przez Onet.

Podkreślała przy tym, że przepisy zostały stworzone bez jakiegokolwiek zrozumienia realiów handlu obwoźnego. Większym problemem niż nadawanie na żywo sygnału GPS z samochodu przewożącego kilkanaście kilogramów majtek czy skarpetek okazała się konieczność ważenia towaru. – Nawet jak się zarejestrujemy, to kilogramy mogą się nie zgodzić. Jak i gdzie mamy to ważyć? My jesteśmy o 4.30 rano już na rynku. Na jakiej wadze mamy to robić? Łazienkowej? Koszulki osobno, majtki osobno? To się mija z celem. Jeżeli towar kupujemy na fakturę na sztuki, to obowiązują nas sztuki. To jeden wielki absurd – mówi rozmówczyni portalu. I dodaje: – Ministerstwo Finansów robi z całej branży odzieżowej idiotów. Ale my się na to nie zgadzamy. Chcemy uczciwie zarobić na życie, zapłacić ZUS i podatki. Nie jesteśmy mafią. Sieciówki są zwolnione, a my jesteśmy traktowani jak szkodniki.

Wiceminister finansów, Zbigniew Stawicki, mówił, że szara strefa w handlu odzieżą i obuwiem to według ocen rządu od 10 do 20 proc. rynku. Samymi kontrolami nie dało się tego zmienić, dlatego właśnie branża ta została włączona do systemu monitorowania. Jak często w Polsce bywa w takich przypadkach, rykoszetem oberwali uczciwi przedsiębiorcy, którzy po prostu muszą sobie jakoś z tym wszystkim poradzić.

„My nie negujemy intencji walki z szarą strefą, ponieważ zaburza ona konkurencję i uczciwość wobec podmiotów działających legalnie, rozliczających się i wystawiających faktury" – mówi w rozmowie z OKO.press Dominika Ćwiek, producentka odzieży należąca do inicjatywy »Nie dla SENT – odzież i obuwie«. – Widzimy problem w tej konkurencji, produkty nieopodatkowane są tańsze, co stanowi wyzwanie dla branży. Wielokrotnie zgłaszaliśmy problemy wynikające z szarej strefy" – dodaje.

BRANŻA PROTESTUJE

Kupcy postanowili walczyć. Zorganizowali protesty, w których ramię w ramię z Polakami handlującymi na bazarach stanęli bułgarscy handlarze. „Potężnie zbudowany, śniady Bułgar stoi z kolegami na chodniku przy Nowym Świecie w Warszawie. Zaciągając się papierosem, ciężko wzdycha. – To ty mi powiedz, czemu oni nękają zwykłych ludzi, tych, którzy pracują. Bo tutaj nikt nie kradnie. Popatrz na tych ludzi. Sami normalni – mówi, ale nazwiska podać nie chce [...]. Marszczą brew urażeni, kiedy pytam ich o działalność z fakturą, paragonem czy kasą fiskalną. – Ale tam, panie... wszystko legalnie – słyszę zapewnienie" – relacjonuje WP.pl.

„Nie jesteśmy przestępcami!" – nieśli na transparentach i na ustach protestujący, którzy 13 maja manifestowali w Warszawie przeciwko SENT. Wśród nich widoczni byli handlarze nieco starsi, dla których zastosowanie się do nowych wymogów może stanowić problem również ze względu na konieczność użycia kolejnych systemów informatycznych.

– To zabija mikroprzedsiębiorców. Wymyślił to ktoś, kto nie ma pojęcia o handlu detalicznym. Liczenie, ważenie, śledzenie GPS-em… A jak auto mi się zepsuje w lesie i nie dojadę do punktu docelowego? To co? Będą podejrzewać, że przerzucam towar na lewo? – zastanawia się sprzedawca obuwia cytowany przez Onet. Inny zwraca uwagę na fakt, że ludzie trudniący się handlem obwoźnym często zostawiają towar w samochodach, których przed pracą lub po pracy używają prywatnie. W takim wypadku pojechanie po dziecko do przedszkola czy na wizytę lekarską busem, który wyładowany jest ubraniami lub butami, też powinno być zgłaszane? A może trzeba te auta rozładowywać i załadowywać za każdym razem? – zastanawiają się kupcy.

Jedna z protestujących, Lidia z Konina w Wielkopolsce, komentuje, że Ministerstwo Finansów uderza przede wszystkim we właścicieli małych firm. – To wygląda tak, jakby wszystko w Polsce miało być korporacyjne albo państwowe – mówi WP.pl. Dodaje, że plajta drobnych handlarzy bazarowych będzie pierwszym klockiem domina, które szybko posypie się dalej. Przekonuje, że jeśli bazary upadną pod ciężarem nowych przepisów, to znikną także ostatni polscy producenci odzieży. – Sieciom handlowym i galeriom nie zależy na promowaniu polskiego produktu. Będzie tylko chłam z importu. W Warszawie może się wydawać, że galerie są najważniejsze, ale w małych miastach to my wciąż jesteśmy alternatywą – tłumaczy.

KROK W TYŁ

Protest przeciwko SENT był jednym z największych pojedynczych protestów przedsiębiorców w ostatnich latach. Wzięło w nim udział kilka tysięcy osób, niewykluczone, że ich liczba zbliżyła się do 10 tys. Resort finansów zrobił krok w tył, ale to zdaniem mikroprzedsiębiorców nie rozwiązuje wszystkich stworzonych przez urzędników problemów. Zwolnieni z obowiązku raportowania będą najmniejsi handlowcy, ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, przewóz musi się odbywać na trasie ze stałego miejsca wykonywania działalności gospodarczej lub miejsca jego zamieszkania na targowisko i z powrotem. Zatem wspominana wyżej sytuacja, w której przedsiębiorca używa prywatnie samochodu zapakowanego towarem, nie jest możliwa bez składania raportu. Handlujący, którzy przemieszczają się z jednego miejsca sprzedaży na inne, też mają problem, muszą zapewne wstąpić po drodze do domu, choćby było im nie po drodze.

Po drugie, przewóz towarów musi być wykonywany w celu dokonania sprzedaży na targowisku podlegającemu opłacie targowej. Po trzecie, są ograniczenia ilościowe. Ładunek odzieży nie może przekraczać 500 kg, a butów – 350 par. Kolejne ograniczenie to wystawienie przez przedsiębiorcę dokumentu do przewozu z takimi danymi, jak np. imię i nazwisko lub nazwa firmy, adres siedziby, NIP, rodzaj towaru; to wystawienie przez jadącego własnego dokumentu do przewozu. Miałby on zawierać imię i nazwisko (albo nazwę) przedsiębiorcy, adres jego zamieszkania albo siedziby, numer identyfikacji podatkowej (NIP), rodzaj towaru będącego przedmiotem przewozu, numer rejestracyjny środka transportu, datę przewozu oraz dane adresowe targowiska.

To dalej jedne z najbardziej restrykcyjnych przepisów w Europie. Kupcy liczą na to, że urzędnicy, wzorem choćby Niemiec, skupią się bardziej na kontroli przedsiębiorców sprowadzających towary z zagranicy, zwłaszcza z Dalekiego Wschodu, a drobni kupcy, handlujący towarami uszytymi w kraju, przestaną być traktowani jak potencjalni przestępcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b1c25d5852

JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Szarża Połubińskiego

Aleksander Hilary Połubiński był jednym ze znanych dowódców jazdy w amii litewskiej czasów potopu. Dowodził sławną szarżą husarii w 1656 r. pod Warszawą. Starcie zostało przegrane przez króla Jana Kazimierza, ale jego przeciwnik, król Szwecji, Karol Gustaw, który zawarł sojusz z elektorem pruskim, przegrał ostatecznie kampanię, wycofując się z Polski. Bitwa rozpoczęła się 28 lipca, kiedy siły szwedzko-brandenburskie natarły na polskie umocnienia polowe znajdujące się na prawym brzegu Wisły, w korytarzu między rzeką a lasem rosnącym na terenie dzisiejszego Targówka. Ponieważ nie udało się ich zdobyć, w następnym dniu Karol Gustaw zdecydował się obejść obóz polski przez Białołękę i zaatakować go od wschodu. Manewr ten zaskoczył nasze dowództwo, które zdecydowało się odpowiedzieć szarżą sześciu lub ośmiu najlepszych chorągwi husarskich koronnych i litewskich, liczących w sumie nie więcej niż 800 koni. Uderzenie to poprowadził Aleksander Połubiński, wówczas pisarz polny litewski i porucznik królewskiej chorągwi husarskiej. Uderzenie przełamało częściowo szyk szwedzki, rozbijając i zmuszając do odwrotu dwa regimenty jazdy – smalandzki i uplandzki, zadając duże straty gwardii króla Karola Gustawa i królowej szwedzkiej. Nie zdołało jednak złamać szyku składającego się z trzech linii jazdy. To właśnie wówczas zginął Jakub Kowalewski, przedstawiony przez Sienkiewicza jako Roch Kowalski, który uderzył z kopią na króla szwedzkiego.

Husaria oskrzydlona i ostrzeliwana z boków musiała się w końcu wycofać, ponosząc duże straty w koniach, nieco mniejsze w ludziach – ok. 150 zabitych towarzyszy i pocztowych.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dzięki tej bitwie Połubiński przeszedł do historii jako zawodowy oficer jazdy. Jak pisał o nim szwedzki badacz Peter Englund: „Dla Połubińskiego i innych polskich szlachciców ubranych w husarskie zbroje, pędzących na wspaniałych koniach przez bródnowskie pola, walka była jedynym zajęciem godnym prawdziwego szlachcica. Ich zawołania bojowe miały pokazać, jacy są odważni, a wojaczka miała dla nich specyficzne znaczenie – będąc jak niegdyś zabawą i sportem". Englund mylił się jednak, gdyż nasz bohater miał także dobre wykształcenie. Natomiast podobną motywację – służbę dla honoru i przeżycia wojennych przygód – miało w połowie XVII w. wielu oficerów i żołnierzy w armii szwedzkiej i brandenburskiej.

Połubiński urodzony w 1626 r. naukę rozpoczął w Akademii Wileńskiej, następnie uczył się w Zamoyskiej i Krakowskiej. W 1643 r. oddany został na dwór Władysława IV i jako dworzanin, a rok później wysłany za granicę, do Holandii i Francji w celu nauki języków i tutejszych zwyczajów. Na polu bitwy pod Warszawą był zatem lepiej wykształcony od wielu dowódców szwedzkich i brandenburskich. Karierę wojskową rozpoczął w 1648 r., otrzymując od hetmana Janusza Radziwiłła list przypowiedni na chorągiew husarską. Brał udział w 1649 r. w bitwie pod Łojowem i wszystkich późniejszych walkach z Kozakami i Moskwą, otrzymując w 1651 r. dowództwo pułku.

W czasie najazdu szwedzkiego został wezwany przez Jana Kazimierza, aby bronić Warszawy, jednak zdradził króla i przyjął protekcję Karola Gustawa, a 26 października razem z chorągwiami Aleksandra Koniecpolskiego złożył pod Krakowem hołd nowemu władcy. Ciekawe, że otrzymał wówczas od niego znaczne środki na wsparcie swej chorągwi husarskiej, która miała od tej pory przejść na służbę do króla Szwecji. Nie doszło do tego, bo już 2 lutego 1656 r. Połubiński opuścił nowego pana i połączył się z siłami litewskimi Pawła Sapiehy.

To właśnie Połubiński brał udział w oblężeniu Tykocina i 26 stycznia 1657 r. poprowadził spieszoną husarię do szturmu, który skończył się zdobyciem zamku. Brał później udział we wszystkich wojnach Rzeczypospolitej – przede wszystkim z Moskwą i Kozakami, a także w bratobójczym rokoszu Lubomirskiego, gdzie opowiedział się po stronie królewskiej. Jednak w bitwie pod Częstochową został wzięty do niewoli i złożył przysięgę rokoszanom, że nie wystąpi ponownie przeciwko Koronie. Połubiński był kilkakrotnie kandydatem do buławy polnej litewskiej, nie uzyskał jej jednak i zmarł w Wohyniu w ekonomii brzeskiej w 1679 r., pozostawiając cztery córki i dwóch synów. Karierę wojskową kontynuował Dominik Jan Michał, który niestety zmarł w czasie wyprawy wiedeńskiej 1683 r. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

SUZUKI SWIFT 1.2 DUALJET MILD HYBRID

FOT. JAP

Sprawdzony, ambitny japoński samochodzik doczekał się już siódmej generacji. I nadal niczego nie udaje. To klasyczny miejski hatchback. I choć nie przyspiesza jak rakieta, to potrafi dać więcej radości z jazdy niż niejeden modny crossover czy SUV.

Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to wielorybi pysk i uniesiona maska nad silnikiem mają dodawać urody i prestiżu. O gustach dyskutować nie zamierzam. Zwłaszcza że w testowanym modelu ważniejszych jest kilka innych elementów. Po pierwsze, nowy Swift w kabinie przeszedł udaną ewolucję (a może nawet rewolucję). Tak czy owak, jest to prawdziwa dobra zmiana. Wszystko jest ergonomicznie zaprojektowane, a do tego wnętrze Swifta nagle zaczęło wyglądać nowocześnie. Główną rolę gra dziewięciocalowy ekran centralny z niezłą jakością obrazu. System multimedialny działa sprawnie, a do tego współpracuje bezprzewodowo z Android Auto oraz Apple CarPlay. Przewagą tego „japończyka" nad coraz popularniejszymi „chińczykami" jest to, że konstruktorzy zachowali większość wygodnych przełączników, pokręteł czy guzików. Da się? Da się. Do tego odmieniony Swift zyskał dwukolorową deskę rozdzielczą. Plastiki nadal są jednak twarde. Z kolei satynowe ozdobne wstawki nie wyglądają tak luksusowo jak imitacje drewna czy aluminium w „chińczykach", choć i tak robią dobrą robotę.

Przednie fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało kierowcy podczas sportowej jazdy. Z kolei z tyłu nawet wysocy pasażerowie nie powinni zawadzać o podsufitkę ani marudzić, że mają za mało miejsca na nogi. Swift wydłużył się bowiem o 1,5 cm (do 3,86 m). Czterech dorosłych może nim zatem wyruszyć nawet w bardzo daleką podróż. Aby jednak z tyłu był zamontowany nawiew, trzeba wybrać najdroższą wersję Elegance. Kuferek ma 265 l pojemności. Na weekend we dwoje da radę. W kabinie jest też sporo schowków. A po złożeniu tylnej kanapy przestrzeń transportowa powiększa się do 589 l.

Jak się tym jeździ? Całkiem dynamicznie. I chociaż miejska dżungla to środowisko naturalne Swifta (średnica zawracania to jedynie 9,6 m), to japoński maluch ani trochę nie boi się autostrad. Dzięki ulepszonej kontroli toru jazdy fajnie się nim też śmiga po zakrętach.

Trzeci plus: w odmianie hybrydowej pod maską znajduje się wolnossący silnik DualJet o pojemności 1,2 l i mocy 83 KM, który wspomagany jest przez akumulator (napęd hybrydowy dodaje do możliwości spalinowej jednostki aż 60 Nm). Efekt? Niezła dynamika, a jednocześnie niskie spalanie. Najniższa średnia, którą udało mi się osiągnąć na drodze krajowej, wyniosła 3,8 l/100 km. Przy dynamicznej jeździe po mieście na drogach krajowych i autostradach średnia wzrośnie do ok. 5,5 l/100 km. Udoskonalona skrzynia CVT pracuje sprawnie, czyli bez zbędnej zwłoki i bez wycia przy nagłym dociśnięciu gazu. Wersja z automatem jest też bardziej dynamiczna niż manual (11,9 s od zera do setki, czyli o 0,6 s szybciej).

Testowane hybrydowe Suzuki Swift 1.2 DualJet CVT Elegance kosztuje w promocji 87,9 tys. zł. Cena tańszej wersji (Premium Plus) wynosi 83,9 tys. zł. ©℗

EPSON EF-72

Dobra jakość obrazu, eleganckie wzornictwo, kompaktowe wymiary, Google TV, fajny dźwięk od Bose oraz banalnie prosta obsługa – to największe zalety projektora japońskiej marki Epson.

Na pochwałę zasługują zarówno eleganckie, minimalistyczne wzornictwo, jak i solidna jakość wykonania. Te cechy sprawiają, że ta mała, ważąca zaledwie 4 kg, łatwa do przenoszenia „kostka" może dodać prestiżu salonowi czy sali konferencyjnej. Podstawa jest regulowana (180 stopni w poziomie, 90 stopni w pionie) – można zatem rzucać obrazy na ściany, skosy na poddaszu, sufit albo nawet na podłogę (np. podczas imprezy). Przydaje się wówczas automatyczna korekcja obrazu czy błyskawiczne ustawianie ostrości. Google TV na pokładzie sprawia zaś, że aby oglądać ulubione filmy i seriale, wystarczy ten projektor wieczorem podłączyć do prądu.

Dzięki technologii 3LCD (3 Liquid Crystal Display) połączonej z obsługą HDR wyświetlany obraz jest wysokiej jakości. Kolory są żywe, ale nie są przepalone. Kontrast wynoszący aż 5 000 000:1 nadaje z kolei odtwarzanym scenom ciekawą filmową głębię. Ruch jest płynny. Nie można też narzekać na odwzorowanie detali podczas filmowych seansów. Epson EF-72 powinien zatem sprawdzić się zarówno w biznesie (np. do barwnych prezentacji), jak i rozrywce (jako główny element kina domowego). Rozdzielczość obrazu wynosi 4K UHD (3840 x 2160), co pozwala na oglądanie filmów i uruchamianie najnowszych gier na ekranie o wielkości do 150". Graczy ucieszy też tryb AALM (Auto Low Latency Mode), który zwiększa płynność gier.

Wbudowane głośniki Bose+ Dolby Audio odtwarzają dźwięk na tyle dobrej jakości, że nie ma konieczności podłączania zewnętrznego zestawu audio (choć w połączeniu z profesjonalnym zestawem brzmienie będzie jeszcze lepsze). Projektor można nawet wykorzystać jako odtwarzacz Bluetooth. Testowany model obsługuje wi-fi i Miracast. Jest też wyposażony w port USB i w wejście HDMI z eARC – można zatem łatwo podłączyć do niego konsolę, laptopa czy odtwarzacz Blu-ray. Laserowe źródło światła powinno zaś posłużyć długi czas (Epson daje gwarancję na pięć lat lub 12 tys. godzin pracy).

Wady? Brak trybu Dolby Vision. Druga: osoby przyzwyczajone do obrazu z telewizorów OLED zobaczą szybko, że w mrocznych scenach czerń mogłaby być bardziej czarna. Z kolei maksymalna jasność (1000 lumenów) sprawia, że dobrą jakość gwarantuje zaciemnienie pomieszczenia (choć na upartego da się używać tego projektora w słoneczne dni bez zasłaniania okien).

Cena: 4699 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl b1c25d5852

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Uprawiali je Indianie

Młode ziemniaki. Korzystajmy z nich tak długo, jak trwa sezon. Możemy je przygotowywać na wiele sposobów, ale najlepiej smakują w towarzystwie zsiadłego mleka i sadzonego jajka. W naszym domu zawsze posypywano ziemniaki młodym świeżym koperkiem i szczypiorkiem.

Trafiły do Polski za sprawą króla Jana III Sobieskiego tuż po odsieczy wiedeńskiej w roku 1683. Pierwotne źródło ich pochodzenia to jednak Ameryka Południowa. Historia głosi, że już 4–6 tys. lat przed naszą erą uprawiali je Indianie i stanowiły one podstawę ich diety.

Młode ziemniaki to nic innego jak bulwy zebrane, zanim osiągną pełną dojrzałość. Dzięki temu zachowują wyjątkowy delikatny maślany smak i bardzo cienką skórkę. Dobrze smakują gotowane i polane ziołowym masłem. Bardzo smaczne są pieczone z delikatnym dressingiem na bazie oliwy oraz soku z cytryny i miodu oraz podane ze szparagami oraz pomidorami malinowymi. To doskonały pomysł na wiosenny obiad. Możemy je również upiec na grillu. Wtedy są doskonałe do mięs.

FOT. ADOBE STOCK

Ziemniaki dobrze jest czymś „omaścić". My podajemy je często z jogurtem, tartym zielonym ogórkiem, czosnkiem i pokruszoną fetą – taki sos trochę przypomina greckie tzatziki, do młodych ziemniaków pasuje wyjątkowo dobrze.

Właściwie tylko wczesną wiosną i latem możemy się delektować tak wyjątkowym smakiem młodych ziemniaków, bo już potem, w ciągu roku, stają się zwyczajne.

A jak je ugotować, by zachowały wszystkie wartości? Najlepiej zagotować wodę z łyżką stołową soli i do wrzątku wrzucić oczyszczone ziemniaki (wystarczy oczyścić je szczotką z zabrudzeń i przepłukać). Następnie poczekać, aż woda ponownie zakipi, i gotować do 20 min. Przed wyjęciem nakłuć i sprawdzić, czy są miękkie. Dziś podajemy przepis na sałatkę, której są jednym ze składników.

Sałatka z młodych ziemniaków i szparagów

• 500 g ziemniaków • ½ pęczka szparagów • 2 młode cebulki lub 1 czerwona cebula • pomidor malinowy lub kilka koktajlowych • ser feta

Sos:

• ¼ szklanki oliwy z oliwek • ½ łyżeczki miodu • ½ łyżeczki musztardy francuskiej • sok z ½ cytryny • sól, pieprz do smaku

Ziemniaki ugotować, odcedzić i ostudzić. Pokroić na ćwiartki. Szparagi: odciąć końcówki i podgotować ok. 5 min we wrzątku lub podsmażyć na oliwie, również ok. 5 min. Ostudzić. Ziemniaki ułożyć na półmisku, szparagi pokroić na mniejsze kawałki, pomidory, ser feta i cebulkę również pokroić. Przygotować sos i polać obficie całość. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Truskawki w Milanówku

Piosenka Wojciecha Młynarskiego, która stała się nieoficjalnym hymnem Milanówka, to piękno poezji i tęsknota za idyllicznym minionym czasem, być może lat 50. i 60., kiedy autor tu przyjeżdżał, a truskawki były nie z Maroka, nie z Andaluzji, tylko z ogrodu. Wtedy Milanówek jeszcze trochę przypominał miejsce, którym był „przed wojną". Cudzysłów jest dlatego, że wzrastałam w otoczeniu ludzi, dla których „przed wojną" było czarodziejskim przywołaniem przeszłości tych okolic: Milanówka, Podkowy Leśnej, Komorowa. Przywołaniem lepszych, minionych czasów, które miały nigdy nie wrócić.

W dwudziestoleciu międzywojennym Milanówek przyciągał zamożnych ludzi, ale i inteligencję pięknym lasem i bliskością Warszawy. Po wojnie przygarnął mieszkańców Warszawy, którzy nie mieli dokąd wrócić. Mieszkaliśmy w jednej z pięknych milanowskich willi z lat 20., wybudowanych przez zamożnych Warszawiaków na letniska. Ale nowy porządek wyrażał się w zaludnieniu tej niegdyś elitarnej miejscowości lokatorami z nadania, czyli z tzw. kwaterunku. Kwaterunek obsadzał wille, mieszkania, domy ludnością ze wsi, z podmiejskich osiedli robotniczych. Wszyscy wymieszani zgodnie z przyświecającą władzy ludowej zasadą tępienia inteligencji i popierania tzw. awansu społecznego.

Nasza jednorodzinna niegdyś Willa Jasna była pełna lokatorów, głównie popowstańczych uchodźców z Warszawy, którzy trafili do Milanówka, bo stracili warszawskie mieszkania, a także lokatorów dokwaterowanych z klucza politycznego – mieszkał tu przez pewien czas milicjant, a z dziećmi robotnika z Ursusa spędzałam czas na podwórkowych zabawach.

W niedzielę kolejką EKD (od 1951 r. nazwę zmieniono na WKD), która miała jeszcze przedwojenny szynt – drewniane ławki i mosiężne okucia – przyjeżdżali do Milanówka krewni i znajomi. Na obiad, na podwieczorek. To był skromny czas Gomułki. Nie było prywatnych samochodów, dacz ani weekendowych wyjazdów city break. Kulka lodów kosztowała złotówkę.

Wojciech Młynarski nie mieszkał w Milanówku, ale był związany z okolicą. Przyjeżdżał tu towarzysko i rodzinnie. W roku 1963 pojawił się nawet w milanowskim liceum, towarzysząc kuzynce, Marii Kaczurbinie.

W swoich tekstach często wracał do świata przedwojennej inteligencji, muzyki domowej i rodzinnych spotkań. Ja także pamiętam tę atmosferę, chociaż jestem młodszym pokoleniem niż piosenkarz. Bo w Milanówku klimat „sprzed wojny" utrzymywał się jeszcze wiele lat po roku 1945. W tym klimacie się wychowałam. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zgubnej wierze w statystykę

We Włoszech 24 i 25 maja odbyły się wybory komunalne, w których do głosowania uprawnionych było 6,6 mln osób. Frekwencja wyniosła 60 proc. Naturalnie z wielu oczywistych powodów rezultaty wyborów komunalnych niezbyt często przekładają się na wyniki wyborów parlamentarnych i są bardzo zawodnym miernikiem popularności największych ugrupowań politycznych, szczególnie gdy głosy oddają niecałe 4 mln mieszkańców 60-milionowego kraju.

Głosowano w 882 ośrodkach, ale najcenniejszym skalpem była Wenecja. Dotychczasowy burmistrz Luigi Brugnaro po 11-letnich rządach w Ca' Farsetti przy Canale Grande nie wystartował. Było jasne, że walka rozegra się między Simone Venturinim (centroprawica) i Andreą Martellą (centrolewica). Sondaże najpoważniejszych instytutów badania opinii społecznej od kilkunastu tygodni wskazywały, że wygra w cuglach lewicowiec Martella. Ostatni sondaż przedwyborczy dawał mu bezpieczne zwycięstwo w pierwszej turze z przewagą co najmniej 7 punktów procentowych.

Niepomni ostrzeżeń Marka Twaina, który powtarzał za sir Charlesem Dilke'em (brytyjskim wiceministrem spraw zagranicznych). „Są trzy rodzaje kłamstw: kłamstwo pospolite, kłamstwo bezczelne i statystyka" – postępowcy w te sondaże uwierzyli! I od wielu tygodni zapowiadali, że premier Meloni, po przegranym referendum dotyczącym reformy wymiaru sprawiedliwości, przegra w Wenecji, a w przyszłym roku poniesie klęskę w wyborach parlamentarnych i jaśnie oświecone siły postępu będą kierować państwem. Słowem, zwycięstwo w Wenecji stało się nagle jednym z najważniejszych etapów i kamieniem milowym na drodze przejmowania władzy. Postępowcy perorowali o tym w mediach i w parlamencie. Puszyli się w najważniejszych programach publicystycznych i informacyjnych: „Po Wenecji eksmisja Meloni z Palazzo Chigi!" [siedziba włoskiego rządu – P.K.].

Wynik wyborów w Wenecji był gromem z jasnego nieba. Cetroprawicowy Simone Venturini dostał 51 proc. głosów, a murowany faworyt postępowców – zaledwie 30 proc. Z zapowiadanego bezpiecznego zwycięstwa o 7 proc. wyszła 20-procentowa klęska. Wszyscy zachodzą w głowę, co się stało (oprócz kompromitacji statystyków i sondażystów). Pojawiają się głosy, że jedną z przyczyn było to, że największa opozycyjna Partia Demokratyczna na swoich listach umieściła wyznawców islamu, a jej aktywiści prowadzili kurs głosowania dla niewładających językiem włoskim.

Islamscy kandydaci agitowali planszami z napisem: „Jest tylko jeden Bóg, Allah". I przegrali sromotnie. Ani jeden nie został wybrany. ©℗

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Telefony w mojej głowie

Najważniejszym tematem politycznym stały się fałszywe alarmy. W mediach królują fałszywe telefony, SMS-y i e-maile. Odbywają się na ten temat całe debaty, piętrzą się warianty, w których namierzani są sprawcy już wręcz na poziomie światowej polityki.

Istnieje na ten przykład wersja, że to Rosjanie robią, w dodatku w porozumieniu z… PiS. Idzie to tak: afera osłabia rząd, który nie podoba się Putinowi. Aby zamieszać w polskim garze, prowokuje się takie fałszywe zajścia, aparat państwa reaguje beznamiętnie, co jest wykorzystywane, by go ośmieszyć. Zyskuje na tym pośrednio PiS, bo wiadomo, że jak traci KO, to Kaczyński musi zyskiwać – tu są naczynia połączone i gra o sumie zerowej. Autorzy tej wersji jeszcze łaskawie nie rozstrzygnęli, czy proceder odbywa się przypadkiem w tajnym porozumieniu Putin-Kaczyński, ale zasada qui prodest wskazuje nieubłaganym palcem logiki na zmowę. Ale można pociągnąć te łamańce: Czemu tylko Rosja miałaby w tym interes? I zacząłem mnożyć inne warianty.

To Trump, który chce pozbyć się znienawidzonego Donka i ludzie ambasadora Róży wydzwaniają z nielicznych budek telefonicznych. Drugi wariant – Niemcy. Ci, a zwłaszcza ichni kanclerz, też chcą się pozbyć niedowożącego Tuska i pompują jego niepopularność. A może to Ukraińcy, którzy chcą rozprzęgnąć państwo polskie, aby je zająć za chwilę swoimi zdemobilizowanymi żołnierzami? Jest jeszcze Izrael – ten ma interes jak zawsze: pokazać bezradność słabego polskiego państwa antysemitów.

Może to być też ruch z wewnętrznego rynku politycznego. Taki Mentzen, zamiast wiecować o Kukułach, mógł po prostu parę razy zadzwonić, gdzie trzeba, Braun (à propos – same niemieckie nazwiska w tej opozycji…) też mógłby tu zagrać antysystemowo i pokazać, że to i tak POPiS winny temu bałaganowi. Nie zapominajmy o ambitnym Czarzastym, w końcu drugim człowieku w państwie, co to może tęsknić za tym, by stać się nr 4 w III RP, czyli premierem. Redaktor Sakiewicz mógł też sam na siebie donieść, gdyż ostatnia afera z gnębieniem jego i jego dziennikarzy podbiła mu znacznie słupki oglądalności.

Najmniej popularna, bo chyba fantasmagoryczna, jest wersja, że to PiS sam zrobił. O, gdybyśmy mieli tak sprytną opozycję… Ale tu nikt nie bierze tego pod uwagę – albo PiS jest za słaby, by takie coś wymyślić, albo nic nie jest w stanie zrobić bez swego odwiecznego poplecznika – Kremla. A może wszystkie warianty są realne naraz? W końcu na niczym tak całemu zazdrosnemu światu nie zależy, jak na osłabieniu naszej 20. na globie potęgi… ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Jak być kochaną?

Coraz ciekawszy sposób przedstawiane są w Polsce relacje z naszym najbliższym strategicznym sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Można to było zaobserwować w czasie ostatniej dyskusji nad ewentualnymi planami ograniczenia obecności wojskowej USA w Polsce. Przybrała ona formę gorączkowej licytacji, w której polscy politycy na wyścigi przekonywali nas o łączących ich z Amerykanami więzach osobistej przyjaźni i zaufania. Kiedy, po kilkudniowej konfuzji, prezydent Donald Trump zapewnił w internetowym wpisie o zamiarze utrzymania, a nawet powiększenia liczby żołnierzy USA stacjonujących w naszym kraju, radości nie było końca. „Mamy prezydenta Stanów Zjednoczonych, który Polskę kocha, który szanuje polskiego prezydenta, który buduje z nim odpowiedzialność za całą wschodnią flankę NATO. Teraz już wszyscy wiemy, że to nie są tylko słowa, ale konkretna współpraca, która przynosi realne efekty" – ogłosił prezydent Nawrocki.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Doszukiwanie się w wydarzeniach politycznych wyników osobistych emocji, zwłaszcza takich jak „miłość", może być dla rządzących nadzwyczaj ryzykowne. Przekonanie, że „prezydent USA Polskę kocha", wydaje się ekstremalnym wyrazem tego rodzaju naiwności. Jak zapewniła w internetowym wpisie Agnieszka Romaszewska, jej mąż, do niedawna ważny polski dyplomata, Jarosław Guzy, już tydzień przed ostateczną decyzją Trumpa „przedstawił bardzo dokładnie mechanizm rozstrzygnięcia sprawy wojsk amerykańskich w Polsce". „O wszystkim ostatecznie będzie i tak decydował prezydent Trump, a on akurat lubi Polskę i prezydenta Nawrockiego, i na to w ostateczności możemy liczyć" – przewidywał były ambasador. W opisie ciepłych uczuć, mających powodować zachowaniem amerykańskiego prezydenta, pojawiają się słowa „kocha", „lubi", „szanuje" – jak wyjęte z dziecięcej rymowanki, towarzyszącej obrywaniu płatków z zerwanego kwiatka. Tego rodzaju wróżby są zapewne pomocne w uspokajaniu dziewczęcych serduszek, jednak ich przydatność w analizie politycznej wydaje się wątpliwa.

Wiara, że na czele dominujących w świecie państw stoją osoby z powodów osobistych sprawie polskiej życzliwe, nie jest w naszej historii postawą niespotykaną. Podzielał ją zapewne Stanisław August Poniatowski, żywiący się rojeniami o bijącym dla niego serduszku carycy Katarzyny. Wyznawali ją też pewnie Polacy, przekonujący się wzajem o sile namiętności cesarza Napoleona do pani Walewskiej. Realia międzynarodowej polityki już w tak odległych czasach nie dały się, niestety, zaprząc do powozu Kupidyna. Skutkiem były bolesne rozczarowania.

Jako wielokrotny rozwodnik i bohater licznych skandali obyczajowych amerykański prezydent nie może niestety uchodzić za osobę przykładnie wierną w uczuciach. Jeśli oddzielimy osobiste doświadczenia Donalda Trumpa od deklaracji o charakterze politycznym, to łatwo dojdziemy do wniosku, że także w polityce jest on osobą niestałą. Najbardziej liryczne wyznanie, wygłoszone dotychczas przez amerykańskiego prezydenta, dotyczyło koreańskiego przywódcy Kim Dzong Una. „Napisał do mnie przepiękne listy, naprawdę wspaniałe listy. Zakochaliśmy się w sobie" – zapewniał Donald Trump we wrześniu 2018 r., podczas wiecu wyborczego w stanie Wirginia. Uczucia tego, roznieconego korespondencją, nie udało się obu przywódcom konstruktywnie skonsumować.

Jedynym stałym obiektem deklarowanej publicznie miłości Donalda Trumpa jest, poza Stanami Zjednoczonymi, Państwo Izrael. Frazę „I love Israel" wypowiadał on w swojej karierze chętnie i wielokrotnie. Zapewnienie to padło zarówno w kontekście osobistych doświadczeń – takich jak przejście jego córki, Ivanki, na judaizm – jak i w oficjalnych wystąpieniach prezydenta USA dotyczących sytuacji na Bliskim Wschodzie. Czy miłość Donalda Trumpa do Polski, o której zapewnia nas prezydent Nawrocki, zdoła w cieniu tak dojrzałego, wypróbowanego uczucia rozwinąć się i rozkwitnąć? Warto rozważyć tę kwestię, zanim weźmiemy się do okrzyków „gorzko", „gorzko". ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Frollo i Chartres

Przeglądając wiadomości, w ciągu jednej minuty trafiłem na dwa niezwykle różne, ale jakoś łączące się zapowiedzi – pielgrzymki do Chartres oraz musicalu „Notre Dame de Paris".

W Krakowie ma zostać wystawiony spektakl nazywany „legendarnym", w którym prawie 30 lat temu rolę sławnego Dzwonnika odgrywał popularny Garou. Niejedna piosenka z tego musicalu podbiła serca międzynarodowej publiczności, parę lat temu Teatr Muzyczny w Gdyni wystawił „Notre Dame de Paris" po polsku, na początku roku 2027 natomiast Polacy będą mogli zobaczyć oryginał z polskimi napisami.

Wśród medialnych zapowiedzi brakowało informacji, o czym opowiada musical. Czasem ktoś przebąknął tylko, że oto „słynna historia miłosna napisana przez wielkiego Victora Hugo". Ale to tylko część prawdy. „Katedra Najświętszej Maryi Panny w Paryżu" to przecież opowieść o czymś znacznie większym niż li tylko historia trzech mężczyzn zakochanych w tej samej kobiecie. Otóż dzieło Hugo to również epos o pęknięciu cywilizacyjnym – o nadchodzącej nowej erze, która zakończy średniowieczną cywilizację wiary i jej symboli, świat zbudowany wokół Kościoła i kościoła.

Zarówno autor, jak i późniejsi adaptatorzy jego dzieła tworzyli tę historię jako stronnicy postępu i radykalni przeciwnicy średniowiecza. Dlatego zarówno w powieści, jak i w musicalu przedstawili katolickiego księdza jako grzesznego obłudnika, pożądającego Esmeraldy i knującego spiski. Jakby tego było mało, obawia się on również, że druk zmieni świat, rozum zastąpi autorytet religii, a świeckie prawa podważą dawny porządek. Archidiakon Frollo jest strażnikiem gotyckiej katedry, której symboliki człowiek nowoczesny nie będzie już w stanie pojąć.

W istocie Claude Frollo pozostaje uosobieniem archetypicznego przesądu o człowieku średniowiecza, o wierzącym, o konserwatyście, o tradycjonaliście. Musi on być fałszywym draniem, w dodatku dość zakutym łbem, robiącym wszystko, aby żaden postęp nigdy nie nadszedł – w ten sposób właśnie ukazuje go musical, przyznajmy bowiem, że sam Victor Hugo był przecież nieco mniej nachalny i kreślił swych bohaterów znacznie cieńszą kreską.

W tej samej Francji jednak, w której duma z oświeceniowego dorobku pozostaje głównym elementem XXI-wiecznej tożsamości, której władze wpisały „prawo" do dzieciobójstwa do konstytucji i która uważa za swe narodowe święto rocznicę rozpoczęcia antykatolickiej rzezi, co roku dochodzi do niezwykłego wydarzenia, opisywanego przez tamtejsze media lokalne i niektóre – te mniej zacietrzewione – międzynarodowe media katolickie. Oto w Zesłanie Ducha Świętego przez kraj ten przechodzi coraz liczniejsza pielgrzymka – tym razem jej uczestników było ok. 20 tys.

Przyjeżdżają z całej Europy i spoza niej, by przez trzy dni w rytmie modlitwy, śpiewu, konferencji duchowych modlić się i przypominać Francji i światu o Bogu oraz – co szczególnie istotne – o liturgii sprawowanej w dawnym rycie rzymskim.

Ich celem jest katedra Notre-Dame de Chartres, jedno z najważniejszych sanktuariów maryjnych i arcydzieło gotyku. A średnia wieku pielgrzymów wynosi – UWAGA! – zaledwie ok. 20 lat. Pielgrzymują nastolatkowie, studenci, ale i całkiem dorośli ludzie, za to z kilkuletnimi dziećmi. Zwykle nie pierwszy raz.

Idą, niosąc ze sobą tradycyjną pobożność, a także tradycyjną katolicką formację; idą, niosąc marzenie o powrocie do dawnych, pięknych praktyk religijnych. Widzą bowiem, że Kościół, coraz częściej błogosławiący postęp i pragnący iść ręka w rękę ze światem, zagubił nie tylko dawne piękno, dawną liturgię, lecz także poczucie własnej misji.

Ci młodzi ludzie mają w rękach smartfony, używają social mediów, jeżdżą Uberem, zamawiają jedzenie w aplikacjach, podróżują po świecie samolotami, korzystają ze sztucznej inteligencji. Wcale nie są jak archidiakon Frollo z musicalu.

Czy ich świadectwo ma jednak szansę przebić się do szerszych mas tak skutecznie, jak wykrzywiona we wrednym grymasie musicalowa twarz księdza, który więzi upośledzonego dzwonnika w katedralnej wieży? ©℗

Przez tę samą Francję, której władze wpisały „prawo" do dzieciobójstwa do konstytucji, co roku w Zesłanie Ducha Świętego przechodzi coraz liczniejsza pielgrzymka

eprasa.pl b1c25d5852

POZYTYWY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Co tam, panie, w Ameryce? Doniesień negatywnych mają Państwo w bród, to ja opowiem o tym, co tu się dzieje dobrego. Zdecydowanie i definitywnie skończyła się w Ameryce polityczna poprawność. Tu już nikt się nie gryzie w jęzor – ludzie rozmawiają i żartują otwartym tekstem bez obawy, że ktoś ich podkabluje i stracą pracę lub zasięgi. Nawet korporacje przestały udawać, że świat jest inny niż naprawdę.

W czasach, gdy polityczna poprawność jeszcze terroryzowała USA, w parkach Disneya przestali stosować frazę „Panie i Panowie…". Bo poza panami i paniami istniały dziwactwa i choroby umysłowe, które trzeba było wtedy szanować – ponad 50 różnych opcji i płci, i zaimków wykraczających daleko poza dwa normalne „on" i „ona". Parki rozrywki wybudowane dla rodzin z dziećmi unikały frazy „Szanowni Panie i Panowie…" na rozpoczęcie przedstawienia, bo nie każdy chciał być nazywany panem lub panią. Idiotyzm pod hasłem „inkluzywność". Ameryka to nareszcie odrzuciła, pukając się w czoło. A korporacja Disneya wróciła do normalnych „pań i panów".

***

Komedia też wróciła do normy. Do obiegu publicznego znów trafiają zdrowe dowcipy o Murzynach, o Żydach, o Niemcach, o Ruskich i o Polakach, o Hindusach. Ma być śmiesznie, a śmiech buduje się na stereotypach i wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że nie każdy Murzyn jest leniwy, nie każdy Szkot skąpy, nie każdy Anglik ma krzywe zęby, nie każdy Kanadyjczyk jest tępy, nie każdy Rusek jest wiecznie pijany.

Przykład z amerykańskiej sieci: „W odpowiedzi na maile w sprawie naszego psa zawiadamiamy, że mamy już serdecznie dość i przestajemy odpisywać. Tak – pogryzł dwie osoby w burkach, 10 osób w turbanach, dwóch taksówkarzy, którzy na cały regulator puszczali RAP, czterech świadków Jehowy, dwóch mormonów, dziewięcioro nastolatków w spodniach tak obwisłych, że im wystawały tyłki, trzech muzułmanów oraz pakistańskiego kierowcę Ubera. Ale zawiadamiamy po raz ostatni i definitywny: ten pies NIE jest na sprzedaż!"

***

Biali ludzie w USA przestali przepraszać za to, że są biali. To nie ich wina. Wcześniej brali tę winę na siebie, ale to się właśnie kończy. Niewolnictwo to też nie ich wina. To że praprapra… dziadek miał niewolników, nie oznacza, że ja mam teraz za to przepraszać i płacić odszkodowania. A poza tym komu miałbym płacić? Współczesnemu Murzynowi, który już niewolnikiem nie jest?

Arabscy handlarze niewolników w Afryce Zachodniej zatrudniali miejscowych Murzynów do łapania innych Murzynów, a potem ci arabscy, a ściślej mówiąc muzułmańscy, handlarze sprzedawali swoich niewolników do Ameryki, w czasach gdy Ameryka była częścią imperium brytyjskiego… Z jakiej racji współczesny biały obywatel USA miałby wypłacać odszkodowanie współczesnym czarnym obywatelom USA?

Albo Indianom… Chodzi o tych czerwonoskórych z amerykańskiej prerii. To byli okrutni, bezwzględni ludzie. Porywali baby i dzieci z sąsiednich indiańskich plemion. Porywali jako tanią siłę roboczą, a baby porywali – nazwijmy to – „na żony". Potem do Ameryki przybył biały człowiek ze swoimi wartościami chrześcijańskimi i gdy zobaczył, co te indiańskie prymitywy wyprawiają – jak traktują siebie nawzajem – to ich postanowił ucywilizować. Z jakiej racji współczesny biały człowiek ma przepraszać za zdarzenia z tamtych czasów?

W amerykańskich muzeach można znaleźć skalpy. Skalp, czyli nacięta nożem skóra, a potem zerwana z głowy ofiary „peruka". Indianie przypinali sobie skalpy do pasków jako trofea. Indianie skalpowali Indian, czyli siebie nawzajem, oraz Indianie skalpowali białych. Biali osadnicy nie skalpowali Indian poza naprawdę sporadycznymi aktami zemsty. Bo kim trzeba być, aby zerżnąć komuś skórę z czaszki? Kim trzeba być? Indianinem z amerykańskiej prerii, ha ha. W tej sytuacji ja nie mam zamiaru wypłacać żadnych odszkodowań żadnym Indianom.

Narracja o tym, że wszyscy Amerykanie żyją na ziemi ukradzionej Indianom, też odeszła w niebyt. Ogólnie cała masa głupot odeszła w niebyt.

***

Na igrzyskach olimpijskich w USA nie będzie „kobiet" z siurkami. I to nie Komitet Olimpijski nagle wrócił do rozumu, tylko Trump to wymusił na Komitecie Olimpijskim. Pamiętają Państwo faceta boksera, który stłukł polską zawodniczkę, niszcząc jej twarz? Nie miała szans w starciu z facetem, którego Komitet Olimpijski uznał za kobietę pomimo obecności siurka w gaciach, o którym to siurku Komitet Olimpijski doskonale wiedział!

***

W Ameryce jest cała masa zmian pozytywnych, a ich motorem jest Trump. Jego administracja jest najlepszą od dziesięcioleci, a być może w całej historii USA. Nadal mam kolosalny problem z listą Epsteina i wojną w Iranie, ale mnie to nie zaślepia.

Granica USA jest szczelna – zero nielegalnej imigracji. Masowe deportacje nielegalnych. Podatki w dół, a niektóre zlikwidowane całkowicie. Trump uchylił też wszystkie ustawy składające się na Zielony Ład oraz wezwał Kongres do likwidacji podatku dochodowego. Rzeczy pozytywnych jest cała masa.

Jednocześnie wiem, że ludzie nie chcą słuchać o faktach sprzecznych z ich emocjami. Ktoś nie lubi wrednej baby – trudno mu słuchać pochwał na jej temat, nawet jeżeli są to pochwały uzasadnione. Baba jest wredna, a jednocześnie ma obiektywne zalety – buduje sierociniec, odnowiła groby na cmentarzu… Nie chcemy tego słuchać, bo ona nas denerwuje, a jeszcze bardziej denerwują nas pochwały, jeżeli sami wiemy, że są obiektywnie uzasadnione.

TEGO NIE CHCEMY SŁUCHAĆ – wolimy, gdy wredna baba robi coś złego. Wtedy z radością słuchamy, co znowu złego zrobiła, swołocz jedna.

No a teraz Trump jest w roli tej wrednej baby. ©℗

eprasa.pl b1c25d5852

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~725~~ ZŁ

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 418 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b1c25d5852

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl b1c25d5852